



Filip Springer
Miedzianka.
Historia znikania





Wołowiec 2012

WYDAWNICTWO CZARNE SP. z o.o.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl,
tomasz@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl, iza@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, mtm Firma

ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: D2D.pl ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel.
+48 12 432 08 52

e-mail: info@d2d.pl

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce © by FILIP SPRINGER

Fotografie wewnątrz tomu:

s. 30, 31, 181 – z archiwum Autora s. 244, 245, 259 – © by FILIP
SPRINGER

s. 94, 231, 233 – z archiwum Hanny Gębuś

Copyright © by FILIP SPRINGER, 2011

Redakcja JUSTYNA WODZISŁAWSKA

Korekty MAŁGORZATA POŹDZIK, ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Skład MAGDALENA KĘDZIERSKA / D2D.PL

Książka powstała przy wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa
Narodowego.

ISBN 978-83-7536-379-1

Konwersja do formatu MOBI: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu



Spis treści

- [Wszystkie zmartwychwstania](#)
- [Butelka](#)
- [Kupferberger Gold](#)
- [Vatti ist nicht da](#)
- [Nie zwlekaj, o Panie](#)
- [Pojechali sobie](#)
- [Fotografie I](#)
- [Na zachód, czyli wszystkie śmierci Barbary Wójcik](#)
- [Grób Ueberschaera](#)
- [Ten drugi cmentarz](#)
- [Niech żyje Mikołajczyk!](#)
- [Post scriptum](#)
- [Ostatni](#)

- [Grobów nie ruszać](#)
- [Była taka obawa](#)
- [Niemcy idą](#)
- [Czyja wina](#)
- [Ta zła](#)
- [Kościół](#)
- [Pałac](#)
- [Browar](#)
- [Fotografie II](#)
- [Wszystkie skarby Miedzianki](#)
- [Nie ma miasteczka](#)
- [Wybrana literatura](#)
- [Podziękowania](#)
- [Przypisy](#)

Wszystkie zmartwychwstania

Po raz pierwszy ziemia zapada się pod budynkiem kuźni Preusa i kupca Reimanna. Powstaje krater tak duży, że zmieściłaby się w nim furmanka. Także w szeregu domów – od piekarza Flabego do fryzjera Friebego – utworzyła się ryna na murach spowodowana zapadnięciem się sztolni.

Pewnego dnia konie ciągnące pług po polu pana Franzkiego zapadają się w ziemi po piersi i wydają z siebie tak przerażający kwik, że ci, którzy są akurat w pobliżu, rzucają swoją robotę i wybiegają na pole z pobladłymi twarzami. Tylko niektórzy mają odwagę ruszyć z pomocą i ratować zwierzęta, inni patrzą z daleka na wystające z ziemi końskie łby i niezwykle, lejkowate zapadlisko wokół nich.

Zabobonni mówili, że to wszystko przez to, że w Kupferbergu przed laty brat zabił brata. Przelanie braterskiej krwi miało ściągnąć na miasteczko klątwę. Przypominały o tym dwa kamienne krzyże postawione śląskim zwyczajem przez samego zbrodniarza tuż obok drogi biegnącej do Johannesdorfu. „Memento” na jednym z nich nie pozwalało zapomnieć. Wystawało zza traw za każdym razem, gdy ktoś spojrzał w tamtą stronę. Ludzie nauczyli się więc nie patrzeć. „Memento” „pamiętaj” – jakby wszystkie nieszczęścia, które przez całe stulecia spadały na zielony Kupferberg, były zaledwie przygrywką do tego, co miało się tu jeszcze wydarzyć. „Memento” – jak ostrzeżenie, że za niektóre błędy przyjdzie płacić przez całe stulecia. A rachunki nigdy nie zostaną wyrównane.

Historia nigdy na dobre tu nie zawitała, raczej wałęsała się po okolicy. Z perspektywy ludzi mieszkających w tych kilku domkach ustawionych buńczucznie na szczycie góry wyglądała jak bestia, która umie tylko siać chaos i zniszczenie i której nigdy nie jest tu po drodze.

To byli odważni ludzie. Ktoś lękliwy nie mógłby założyć miasta w takim miejscu. Nikt taki nie rzuciłby też zuchwałego wyzwania naturze i nie zacząłby drążyć krecich korytarzy w kamienistym zboczu, szukając w ciemnościach cennych kruszców. Pierwszym z tych najodważniejszych miał być Laurentius Angelus – półlegendarny śląski mistrz górniczy, przybysz z dalekiej Walonii. W dwunastym wieku odkrył tu podobno drogocenne złoża. Niewiele więcej o nim wiadomo, być może jest tylko zlepkiem wyobrażeń i historii, które krążyły tu wśród gwarków w zimowe wieczory. Takich opowieści rozpalających wyobraźnię było zresztą więcej, jak choćby ta o Srebrnym Kuszniku siejącym postrach wśród tych niemieckich osadników, którzy źle odnosili się do Polaków.

To, co pewne, jest w kronikach. Na początku czternastego wieku właścicielem góry i przyległych jej ziem jest Albert der Baier de Cuprifodina in montanis, czyli Albert Bavarus. Być może to on sprawia, że okolica już wkrótce słynie z wydobywania srebra. W 1370 roku osada nazywająca się wówczas Cuprifodina zostaje sprzedana przez jednego z potomków Alberta – Heinricha Bavarusa – rycerzowi na dworze książąt świdnicko-jaworskich Clericusowi Bolczemu. To właśnie on w pobliskich lasach wzniesie tu zamek, przez Polaków nazywany później Bolczowem, przez Niemców zaś Bolzenstein.

Później posiadłości i sama osada przechodzą z rąk do rąk. Panami są tu kolejno: po 1375 roku Puta z Castolovic (von Tschastolowitz) i Hannos Wiltberg, od 1397 roku bracia von Ylenburg, od 1398 roku bracia Konrad i Reinhard von Boralowicz (Borawecz, Borrwitz). W 1433 roku kroniki odnotowują Hermanna von Czettritza, a w 1434 roku braci von Liebenthal. Podczas wojen husyckich następuje upadek górnictwa, które podźwignie się dopiero w szesnastym wieku.

W 1512 roku włości te kupuje Dippold von Burghaus. To pierwszy prawdziwy fachowiec górniczy w okolicy, w nie tak znów odległym

Reichensteinie rozwinął górnictwo i hutnictwo złota na tyle, że zęby na ten łakomy kąsek ostrzyły sobie najzamożniejsze spółki górniczo-hutnicze Europy. W szczytowym okresie działa tam aż 145 kopalni, Dippold zaczyna jednak rozglądać się za nowym wyzwaniem, sprzedaje więc nadane mu przez księcia prawa do wydobywania rodem Fuggerów i Turzonów. Wkrótce odkrywa Kupferberg i wie, że tu powtórzy swój sukces. Z pobieżnych tylko oględzin wnioskuje, że wewnątrz góry kryje w sobie przede wszystkim miedź, w postaci czystej rudy i rudy smolistej, ale też srebro i blendę cynkową. Aby do tych wszystkich bogactw mógł się Dippold dostać, musi być jednak spełniony jeden warunek – status Wolnego Miasta Górniczego dla osady. Dippold zabiega o to przez trzy lata u młodziutkiego czeskiego króla Ludwika Jagiellończyka. W końcu w 1519 roku udaje mu się zdobyć przywilej, na mocy którego właściciel Kupferbergu ma nie tylko pełne prawa do prowadzenia wszelkich robót górniczych na terenie swoich dóbr, lecz także uzyskuje zwolnienie z olbory – specjalnej dziesięciny płaconej za produkcję miedzi, ołowiu, żelaza i cyny. Ta szczodrość albo krótkowzroczność Ludwika stanie się przyczyną licznych zatargów między kolejnymi właścicielami Kupferbergu a kamerą królewską.

Dippold może więc rozwinąć skrzydła: w ciągu ponad dwudziestu lat na zboczach góry stawia blisko sto sześćdziesiąt szybów i sztolni. Wydobyty w nich kruszec od razu przetwarzany jest w miejscowych hutach. Zarobione w ten sposób pieniądze Dippold inwestuje, odbudowuje między innymi zniszczony w czasie wojen husyckich pobliski zamek Bolzenstein.

Jednak gwałtowny rozwój wydobywania i bogacenie się Dippolda budzą opór gwarków i mieszczan. Wiedzą oni, że w sukcesie swojego mocodawcy mogą mieć większy udział, i zaczynają się go otwarcie domagać. Dippold zaś wie, o co toczy się gra, i idzie im na rękę. Lepiej zarobić trochę mniej niż mieć na głowie bunt górników i obrażonych kupców – to mogłoby go zupełnie wysadzić z siodła. Zwleka jeszcze kilka lat, a gdy widzi, że uporem nic nie wskóra, przekazuje im jedną z hut i część udziałów górniczych. Przeklinać go będą za to ustępstwo wszyscy kolejni właściciele Kupferbergu.

Jednym z nich zostaje Ludwik Decjusz – sekretarz Zygmunta Starego, Alzatzczyk z pochodzenia, postać niezwykle wpływowa i szanowana w Krakowie. Jest erudytą, dyplomata, wybitnym humanistą, ale też finansistą. Dzięki znajomości z wszechwładnym w Krakowie Jakubem Bonerem, twórcą i zarządcą żup solnych Wieliczki i Bochni, Decjusz zwraca uwagę na możliwości zwielokrotnienia majątku, które niesie za sobą wydobywanie kruszców. Marzy mu się też zapewne start na własny rachunek; rozglądając się za dogodną inwestycją i korzystając ze znajomości z wydobywczymi rodami Fluggerów i Turzonów, zauważa Kupferberg. Dippold chce się tych dóbr pozbyć, sprawa wygląda nad wyraz obiecująco.

Do transakcji dochodzi w 1538 roku. Decjusz liczy, że konflikty z mieszczanami i gwarkami, na które uskarżają się kolejni właściciele Kupferbergu, uda mu się załagodzić, a wysiłek ten zrekompensuje sobie eksploatacją nienaruszonych jeszcze przez Dippolda złóż. Nie jest przecież amatorem i nie kupuje kota w worku. Wysłani w teren rzeczoznawcy przynieśli mu same dobre wieści. Nie wie, że właśnie daje się złapać w pułapkę tego, co w przyszłości wiele razy stanie się powodem rozlicznych dramatów Kupferbergu. Tutejsze złoża charakteryzują się bowiem tym, że w swych przypowierzchniowych warstwach wykazują zaskakujące wręcz ilości miedzi, a nawet srebra. Ich badaniu towarzyszy więc zawsze podniecenie równe gorączce złota. Analizy próbek dają jednak zbyt optymistyczne wyniki i są fałszywą zapowiedzią wielkich bogactw kryjących się wewnątrz ziemi.

I rzeczywiście, szacunki Decjusza okazują się przesadzone – wydobywanie nie przynosi spodziewanych zysków, a gwarkowie co rusz domagają się większych udziałów. Po zaledwie pięciu latach Decjusz sprzedaje Kupferberg wraz z kopalniami i szuka szczęścia po drugiej stronie gór, w Cukmantl (dzisiaj Zlaté Hory). Chyba go nie znajduje, bo w 1545 roku umiera jako człowiek majątny, ale nie do końca spełniony.

Teraz Kupferberg trafia w ręce braci Hellmannów. Ci jednak stawiają na eksploatację licznych hałd, którymi przez ponad dwa wieki wydobywania zdążyło obrosnąć miasteczko. Wprawiają w zdumienie, a pewnie także

i w oburzenie gwarków, którym zamiast wchodzić do sztolni każą zwozić urobek z hałd do dolinki pobliskiego potoku. W wyniku zaawansowanej jak na tamte czasy technologii hydrometalurgii Hellmannowie rozkręcają w Kupferbergu produkcję witriolu miedzi, którego w całej Europie używa się w farbiarstwie i przy wyprawianiu skór. W 1553 roku Hellmannowie stają się liderami w produkcji tego środka w państwie Habsburgów.

Na działalność nowych właścicieli miasteczka niechętnie patrzą mieszkańcy. Oni wszystkie swoje przywileje i wynikające z nich niemałe profity czerpią z działalności górniczej. Jeden z nich, Walentin Krün, stawia sobie przy „dolnej uliczce”! pod numerem dwudziestym piątym, dom, który pięknym kunsztownego portalu oraz pełnym przepychu wnętrzem będzie onieśmiał mieszkańców i zachwycał gości jeszcze przez ponad pięć stuleci. Ludzie opowiadają sobie, że tajemne przejście podziemne prowadzi z tego domu do klasztoru żebraczego stojącego w dolnej części miasteczka, a dalej aż do zamku Bolczów. Krün z niepokojem patrzy na powolne umieranie kolejnych kopalni, znikanie gwarków, a wraz z nimi także i surowca, na którego obrocie on i jemu podobni dorabiają się fortun. Hellmannowie ze sprzedażą swojego witriolu radzą sobie zdumiewająco dobrze sami.

W 1579 roku objęcie aresztem mienia nielicznych tutejszych gwarków, niemogących się rozliczyć przed królem z odpowiedniej ilości wydobytego kruszcu, po raz pierwszy kładzie kres górnictwu w Kupferbergu. Zamknięte zostają ostatnie kopalnie, a ci, którzy jeszcze liczyli na odwrócenie się losu, zaczynają rozumieć, że przed nimi chude lata. I że czas poszukać sobie innego zajęcia.

Nie wiedzą, że najgorsze dopiero nastąpi. Z początkiem nowego stulecia do Kupferbergu zaczynają docierać pierwsze groźne pomruki bestii. Czy ludziom, coraz trudniej wiążącym koniec z końcem, przypomina się klątwa? Zapewne z trwogą spoglądają w stronę kamiennych krzyży. „Memento” – pamiętaj, być może najgorsze jeszcze przed tobą.

Od 1618 roku przez Europę zaczynają przetaczać się zbrojne hordy uwikłane w coś, co historycy nazwą później wojną trzydziestoletnią. Bestia szaleje przez trzydzieści lat pełnych trwogi, rozpacz i smutku. Najpierw

jest zaraza, która zbiera w całej okolicy śmiertelne żniwo. Kupferberg opłakuje śmierć prawie połowy mieszkańców. Ludzie jeszcze na dobre nie zdążą o tym zapomnieć, gdy w nocy z 18 na 19 lipca 1634 roku wyjdą przed domy obudzeni biciem dzwonów i z trwogą popatrzą ze szczytu swojej góry na zachód. Tam, na tle rozgwieżdżonego nieba jaśnieć będzie luna płonącego Hirschbergu. To znów bestia upomina się o swoje. Od bomb zapalających stają w ogniu wszystkie kościelne wieże, od gorąca topią się dzwony. W ciągu kilku godzin z miasta zostaje tylko pogorzelisko. Płonie 341 domów, a w nich ludzie. Ich krzyków nie słychać w Kupferbergu, jednak jego mieszkańcy z przerażeniem wypatrują już wroga.

Teraz są nim Chorwaci, walczący po stronie Habsburgów. To oni oblegają Hirschberg. Gdy w końcu pojawiają się w Kupferbergu, miasteczko znika po raz pierwszy. Ci, którym udaje się przeżyć pogrom, chowają się w gęstych lasach. Najpierw dziesiątkują ich tam głód i choroby, wkrótce swoje robi także wyjątkowo mroźna zima. Gdy Chorwaci odejdą, na zgłiszczach Kupferbergu pojawią się nieliczni mieszkańcy gotowi go odbudować.

W maju 1641 roku dowódcą szwedzkich wojsk walczących przeciw Habsburgom po stronie Unii Protestanckiej zostaje feldmarszałek Lennart Torstensen. Rozkazuje on generałowi Koenigsmarckowi zdobyć, odbudowany z takim wysiłkiem ponad sto lat temu przez Dippolda, zamek Bolzenstein. Ci, którym udało się przetrwać najazd Chorwatów, znów muszą uciekać, tym razem przed Szwedami. Zaczyna się oblężenie, w czasie którego szwedzkie wojska stacjonują na zgłiszczach niemal wszystkich pobliskich wiosek – Johannesdorfu, Rohrlachu, Waltersdorfu. A Kupferberg nie znika po raz drugi tylko dlatego, że po najeździe Chorwatów nie zdążono go jeszcze na dobre odbudować.

Tragedię czasów, w których przyszło im żyć, ludzie próbują tłumaczyć w legendach opowiadanych przy świetle rozpalanych ukradkiem ognisk. Mówią o bohaterskim księdzu z zamku Bolczów, który widząc, że sprawa jest beznadziejna, wymknął się z rąk protestanckich oprawców, skacząc z zamkowego okna w przepaść. Jego duch jeszcze przez wiele lat miał pojawiać się w zaułkach zamku, jęczeć, nawoływać i przeganiać tych, co

odważyli się burzyć jego spokój. Niektórzy mówią też o żałobnym kondukcie, błakającym się w bezchmurne noce między Kupferbergiem a Johannesdorfem. Kondukcie o tyle osobliwym, że żaden z jego uczestników nie ma głowy. Zwykle rozpływa się on przed świtem we mgle.

Szwedzi w końcu zdobywają zamek i okupują go przez cztery lata. W tym czasie odpierają kilka prób odbicia twierdzy przez cesarskich, w końcu sytuacja na frontach zmienia się na tyle, że zajmowanie fortecy nie ma większego sensu, wycofują się więc z niej. Zgodnie jednak z panującym wówczas wojennym zwyczajem pozostawiają po sobie dymiące ruiny.

Wojna obraca w pył nie tylko całe miasto, lecz także coś o wiele cenniejszego, czym mieszkańcy Kupferbergu mogli się cieszyć przez całe dziesięciolecie: komisja redukcyjna odbiera ewangelickim mieszkańcom ich świątynię oraz zakazuje posługi kapłańskiej. Przez następnych kilkanaście lat najsilniejszego ucisku ewangelików na Śląsku przez Austriaków protestanci z Kupferbergu, by posłuchać kazań swoich kaznodziejów, znów będą musieli ukrywać się w lasach otaczających pobliskie góry i ruiny spalonego zamku. Świątynię odzyskają dopiero wraz z przejęciem tych terenów przez Prusy w 1742 roku. Pastor Fibiger z pobliskiego Rudelstadtu tak pisze w swoich wspomnieniach o tych czasach: „O Boże! W jakich czasach Ty nam żyć kazałeś! Przyjdź, dobry duchu, ratuj ten biedny naród. Spójrz, ile spustoszenia, ruin leży wokół! Śląsk jest w żałobie i płacze nad swoim gorzkim losem”¹.

Wraz z końcem wojny nie kończą się plagi nawiedzające miasteczko. Po latach katastrof nikt tu już nie wierzy w przypadek. Kwitnące niegdyś górnictwo nie może się odrodzić, ludzie przymierają głodem i próbują szczęścia w uprawie i hodowli. Skazani są jednak na klęskę. Ziemia tu jałowa, a klimat surowy. Kronikarze notują, że w sierpniu 1693 roku na całą okolicę spada ogromna ilość śniegu, a liczne kałuże pokrywają się warstwą lodu. Wkrótce potem zaś w miasteczku i okolicznych wsiach pojawia się szarańcza „w strasznych ilościach”! W kościołach rozpoczynają się więc modły o „odwrócenie tej klęski i palca bożego” W kolejnych latach miasteczko nawiedzają niespotykane wręcz zimy – w 1708 roku

w okolicy zamarza 105 osób, a kolejnych 185 starców i dzieci umiera z powodu dyzenterii i ospy.

Po każdej z tych klęsk i katastrof mieszkańcy zwykli się jednak podnosić. „*Wes die Zeit erlaubte...*” (Gdy czas pozwoli) – mówili zawsze, gdy ktoś snuł odważne i fantastyczne plany wybiegające daleko w przyszłość. Zbyt wiele wiedzieli o przeszłości. Idąc po raz kolejny drogą do Johannesburgu, odwracali wzrok od kamiennych krzyży, lecz pamiętali o „Memento” i o pomrukach bestii czającej się za górami.

Wiedział też o tym wszystkim Johann Martin Stulpe, który w listopadzie 1724 roku pojawił się w Kupferbergu z mocnym postanowieniem wiania odrobiny nadziei w udręczone klęskami dusze mieszkańców miasteczka. Urodził się w 1686 roku w Wartenbergu, w ubogiej rodzinie szewca, która była jednak na tyle bogobojna, że do stanu kapłańskiego przysposobiła aż dwóch swoich synów (starszego Johanna i młodszego Michaela). Już od najmłodszych lat Johann wyróżniał się pilnością w nauce – najpierw w szkole podstawowej w rodzinnej miejscowości, potem w gimnazjum w Leignitz, wreszcie na uniwersytecie w Breslau, gdzie w 1710 roku uzyskał tytuł magistra nauk wyzwolonych oraz bakalaureat z teologii i licencjat. Trzy lata później został wyświęcony na kapłana i rozpoczął posługę w okolicznych parafiach. Po latach tułaczki i w uznaniu zasług został w końcu mianowany proboszczem pogrążonej w marazmie i beznadziei parafii w Kupferbergu. W 1725 roku, mimo braku środków, wyruszył w długą i niebezpieczną podróż do Rzymu, by papieża Benedykta XIII prosić o zezwolenie na założenie bractwa Najświętszego Serca Jezusa w Kupferbergu. Zgodę otrzymał.

Tak rozpoczyna się prawie trzydziestoletnia obecność w miasteczku proboszcza pamiętanego tam przez dwa następne stulecia. Nie zaczyna się jednak dobrze. W 1727 roku, wykładając własne oszczędności, proboszcz przeprowadza całkowity remont kościoła, podupadłego na skutek wojen i zaniedbań ostatnich dziesięcioleci. Świątynia nie raduje jednak oczu wiernych zbyt długo. W mroźną styczniową noc roku 1728 wielki pożar po raz kolejny zamienia w ruinę tak ją, jak i sporą część miasteczka.

Mieszkańcy znów muszą się podnosić z upadku. W pięć lat odbudowują kościół, stawiają też parafialną szkołę.

Dzięki prowadzonym przez księdza Stulpego skrupulatnym zapiskom wiadomo, że przez dwie następne dekady wygłasza 2551 kazań, odprawia 2392 msze solenne i aż 10 077 mszy recytowanych. Udziela 744 chrztów (z tego 374 chłopcom i 370 dziewczynkom). Na cmentarz usytuowany na tyłach trójkątnego rynku odprowadza w ich ostatniej drodze 768 zasłużonych obywateli. Błogosławi też 265 parom, które w gościnnych progach tutejszego kościoła decydują się przyjąć sakrament małżeństwa. Jednak tym, co najbardziej raduje Johanna Martina Stulpego, są coroczne odpusty i święto patronalne, organizowane zawsze w trzecią niedzielę po Wielkanocy. Miasteczko zaludnia się wtedy setkami pielgrzymów z całej okolicy, a album członkowski założonego przez niego bractwa pęcznieje od nowych wpisów. Ksiądz proboszcz nie wie, że zwyczaj spotykania się wiernych w Kupferbergu w każdą trzecią niedzielę po Wielkanocy okaże się w dalekiej przyszłości jednym z nielicznych dowodów tego, że miasteczko kiedykolwiek w ogóle istniało.

Bestia budzi się ponownie w 1740 roku w umyśle Fryderyka II Wielkiego Hohenzollerna, który postanawia odebrać austriackim Habsburgom Śląsk, w tym także zielony Kupferberg. Kolejne wojny o te tereny trwają ponad dwadzieścia lat. Jesienią 1744 roku cesarskie wojska nakładają na mieszkańców miasteczka kontrybucję, dla której alternatywą jest jedynie pacyfikacja. Cena to dziesięć tysięcy guldenów w gotówce, trzydzieści par butów, dwadzieścia koni pociągowych, sześćset porcji owsa, sześćset porcji siana oraz osiemset chlebów, które należy dostarczyć Austriakom w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mieszkańców jest zaledwie tysiąc i każdy z nich dobrze wie, że razem nie zdołają wywiązać się z tych zobowiązań. Spoglądają więc ze smutkiem na pobliskie lasy, przeczuwając, że to właśnie stamtąd przyjdzie im obserwować, jak po raz kolejny ich miasteczko znika. Z niespodziewaną pomocą przychodzi im jednak ich proboszcz Johann Martin Stulpe. Łamiąc wszystkie zakazy, wyrusza do Schömbergu, gdzie stacjonuje dowodzący siłami austriackimi pułkownik Franquini. Uzyskuje zwolnienie z części kontrybucji oraz zgodę na dostarczenie sporej jej części

w dłuższym niż jedna doba terminie. Kupferberg jest uratowany. Bestia odchodzi niepyszna. Wróci za kilka lat w czasie ostatniej rozgrywki o Śląsk, z której zwycięsko wyjdą Prusacy. Kupferbergu nie będzie już miał wtedy kto chronić. 26 stycznia 1753 roku umiłowany przez mieszkańców proboszcz Stulpe odchodzi nagłą śmiercią. Zgodnie ze swoim życzeniem zostaje pochowany pod stopami wzniesionego przez siebie ołtarza.

Tymczasem w miasteczku co rusz pojawiają się nowi właściciele i inwestorzy, którzy skuszeni tym, co leży na powierzchni, próbują drążyć górę w poszukiwaniu szczęścia. Są wśród nich także zwykli hochsztaplerzy i oszuści, jak choćby ten nazwiskiem Herzer, który chcąc udowodnić nowemu królowi, Fryderykowi Wielkiemu, że w tutejszych kopalniach są obiecujące złoża kobaltu, przywozi ten cenny surowiec aż z Saksonii i na nowo „wydobywa” z miejscowych sztolni. Fryderyk płaci więc słono za poszukiwania, których efektem ma być zyskowne, regularne wydobywanie. W końcu dowiaduje się jednak, że cała sprawa jest jedną wielką mistyfikacją. Być może dlatego w 1766 roku osobiście pojawia się na miejscu. Uprowadzony o zdemaskowaniu Herzer ucieka, a wraz z jego ujęciem i przykładowym ukaraniem kolejna śmierć górnictwa na zboczach góry staje się faktem. Wszystkie następne próby wydobywania kryjących się w ziemi bogactw kończą się tu mniejszym lub większym rozczarowaniem, a tych w Kupferbergu było już dosyć.

Przez chwilę szansą dla miasta jest tkactwo, zwłaszcza że nowy typ kołowrotka stosowany w przędzalniach Starego Świata daje nadzwyczajne rezultaty. Dość szybko jednak to, co wydawało się wspaniałym udogodnieniem, okazuje się przekleństwem, produkcja płócien lnianych staje się łatwiejsza, a rynków zbytu nie przybywa. W 1725 roku blisko połowa tkackich rodzin, prosperujących do tej pory w miasteczku, traci środki do życia na skutek wycofania przydziału prac przędzalniczych. Kupferberg zaczyna się wyludniać, w 1785 roku mieszka tu zaledwie 796 osób, z których większość klepie biedę. A wkrótce będzie jeszcze gorzej, w pobliskim Märzdorfie zostaną otwarte przemysłowe przędzalnie i pozostała garstka tkaczy z Kupferbergu straci już zupełnie środki do życia.

Wkrótce o to przekłete miejsce na szczycie góry znów upomni się bestia, tym razem będzie jednak łaskawsza. W sierpniu 1813 roku w miasteczku pojawiają się zagony pruskich partyzantów pod dowództwem Boltensterna. Są wygłodniali, ale trzymają się na uboczu. Polują na małe francuskie oddziały, które w pośpiechu zmierzają na północ, by 26 sierpnia stawić się na polu jednej z najbardziej krwawych napoleońskich bitew. Nad Kaczawą sprzymierzeni z Rosją Prusacy, zostawiając cztery tysiące swoich i piętnaście tysięcy francuskich trupów, odnoszą zwycięstwo nad dowodzonymi przez marszałka Macdonalda wojskami Napoleona.

O tym zwycięstwie mieszkańcy Kupferbergu dowiedzą się później, w czasie bitwy nasłuchują tylko groźnych pomruków i dudnienia dochodzącego zza gór. Cieszą się, że tym razem miasteczko ocalało.

Na kolejne nieszczęścia nie trzeba jednak długo czekać. Jesiennego wieczoru 12 października 1824 roku żona białoskórnik Manschego mieszkającego w domu pod numerem osiemdziesiątym czwartym tak mocno przypieka nad ogniem poleć słoniny, że ten zapala się. Ogień rozprzestrzenia się najpierw po domu, a gdy udaje mu się wypełznąć na zewnątrz, szybko znajduje sprzymierzeńca w wyjątkowo silnym o tej porze roku wietrze. W kilkunastogodzinnym, szalejącym w całym mieście pożarze płonie sześćdziesiąt siedem domów, oba kościoły i przylegające do nich szkoły, a także szpital i ratusz wraz z niemal całym archiwum. Płonie też siedziba Królewskiego Urzędu Górniczego Księstwa Schweidnitz i Jauer, płoną stodoły z plonami i zapasami zgromadzonymi na zimę. Przebywający w miasteczku pastor z pobliskiej miejscowości Alt Kamnitz ze zdumieniem obserwuje rozmiar tragedii: „Sposób budowy i stan budynków, które były całe z drewna, ułatwiły rozprzestrzenianie się płomieni. Z dużą prędkością obejmowały one obie części miasteczka. Ostry, południowy wiatr niósł szalejący żywioł w kierunku katolickiego kościoła oraz stojących obok szkół – katolickiej i ewangelickiej, jak również w kierunku Johannesdorfu, gdzie płomienie zaczęły już obejmować najbliższą Kupferbergowi część wsi. Gdy płomienie przesunęły się już do uliczki Stermierzy, niszcząc wszystko po drodze, kierunek wiatru zmienił się z południowego na wschodni i przyniósł tym samym zniszczenie i zagładę dolnej części miasta.

Coraz szybciej płomienie ogarniały wszystko wokół, tak gwałtownie, jakby kpiły z połączonych wysiłków setek ludzi, którzy spieszyli z bliska i z daleka, aby powstrzymać to szaleństwo. Przez długi czas udawało się chronić znajdujący się w środku miasta kościół ewangelicki, którego główna część opierała się jeszcze naporowi morza płomieni, ale i ona musiała ulec ich niszczycielskiemu działaniu”².

W ciągu jednej nocy cały swój dobytek traci 146 rodzin – 503 osoby. Zostają bez dachu nad głową i pomysłu, gdzie spędzą następną noc. Spośród dymiących jeszcze zgliszczy dolnej części miasteczka i poczerniałych od ognia traw na jego obrzeżach wystają jedynie dwa kamienne krzyże. „Memento” „Pamiętaj”. Trudno powiedzieć jednak, czy ktokolwiek w tych tragicznych dniach myśli o klątwie.

Dwa dni po fatalnym wieczorze w miasteczku pojawia się hrabina Fryderyka von Reden z Buchwaldu. W pamiętnikach pisze: „Zbliłam się do tego smutnego obrazu, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam, nie mogę pojąć, co widzę, jestem jak skamieniała. W pałacu, który doskonale zachował się wśród samych ruin wokół, przyjęli mnie Anton i Graf Gustav Matuschka. Wprowadzili mnie w sam środek małej grupy ludzi – komitetu składającego się z Antona, dwóch duchownych, poborcy dziesięciny górniczej, burmistrza oraz urzędnika, i prosili, abym wzięła udział we wsparciu odbudowy miasteczka. Ustalono, jak rozdzielić środki pomocy oraz że pieniądze na odbudowę muszą zostać zdeponowane”³.

Hrabina jest poruszona widokiem miasta, które po raz kolejny zniknęło. Odwiedza mieszkańców, pociesza zdrowych, z troską pochyla się nad rannymi. Potem jedzie na targ do Bad Warmbrunn i kupuje to, co w zimne październikowe dni wydaje się najpotrzebniejsze tym, którzy stracili wszystko – sześćdziesiąt jeden par butów z cholewami i dwanaście par małych butów. Wszystkie, które tego dnia szewcy z Bad Warmbrunn mogą jej sprzedać. W rodzinnej posiadłości hrabina zapędza do roboty całą swoją służbę, która na drutach robi z ciepłej wełny ubrania dla pogorzalców.

Miasteczko po raz kolejny podnosi się z upadku. W dwa lata po pożarze, 12 listopada 1826 roku pastor Christian Schreck może z dumą konsekrować nową świątynię. W czasie uroczystości wygłasza piękną mowę, a następnie

każe ją wydrukować i sprzedawać wśród mieszkańców i gości. Uzyskane w ten sposób środki przekazuje parafii katolickiej, która swoją świątynię odbudowuje trzy lata dłużej. Jej projektantem jest nie kto inny, tylko sam Karl Friedrich Schinkel, autor berlińskiego Altes Museum. Wszystkie nowe budynki wznosi się w myśl wszelkich prawideł i przepisów przeciwpożarowych. Nikt tu nie chce znów patrzeć na płonące kościoły.

W 1840 roku w miasteczku mieszka 667 osób i tylko dziewięć z nich mówi o sobie, że są górnikami. Mimo to co chwila pojawiają się tu przedsiębiorcy, którzy chcą we wnętrzu góry szukać swojego szczęścia. Nie znajdują go tam kolejno przybyli z Górnego Śląska: pan Tiel-Winklers, pan Rosentiel, panowie Karsten i Grundman. Poszukiwanie szczęścia przez tych ostatnich kończy się wielką eksplozją wieży prochowej oraz maszynowni obsługującej jeden z szybów. To jednak nie zniechęca rodzeństwa Schonfelderów – Richarda, Hermanna i Roberta – którzy w 1880 roku postanawiają spróbować swojej szansy. Po kilku latach bez większego rezultatu, za to z dużą stratą, sprzedają kopalnię Kupferbergu panu Arendowi, Żydowi z Berlina. Po raz kolejny szyby zostają poświęcone, a ich pracownicy maszerują wczesnym rankiem z pochodniami, licząc, że uroczysta inauguracja rozruchu kopalni przyniesie im szczęście i bogactwo. Wydobycie trwa kilka lat, powstają nawet nowe szyby, jednak złoża znów nie przynoszą spodziewanych zysków.

Na udoskonalenie wydobycia i wprowadzenie nowych technologii nie ma już jednak czasu. Bestia zaczyna się wiercić i przypominać o swoim istnieniu. 28 czerwca 1914 roku Gawriło Princip strzela do Franciszka Ferdynanda i jego małżonki, a świat, jaki mieszkańcy Kupferbergu znali do tej pory, rozpada się na ich oczach.

Wielka Wojna nie wkroczy jednak do Kupferbergu, wybierze inną drogę. Żaden z frontów nawet nie draśnię miasteczka. Zabierze jednak ze sobą kilkunastu synów i ojców. Gdy armaty ucichną, na trójkątnym rynku stanie pomnik, który będzie przypominał o ich przelanej krwi.

Mieszkańcy miasteczka są wytrwali. W pięć lat po zakończeniu wojny pod budynkiem kopalni znów ustawiają się w górniczym pochodzie, znów płoną lampy górnicze, znów łopoczą sztandary. Na jednym z szybów

promienieje wielki obraz świętej Barbary namalowany przez brata górniczego asesora – pana Fitznera. Pastor Helmut Eberlein i ksiądz Johannes Kaufmann wspólnie tłumaczą wiernym, że tylko gorliwe modlitwy sprowadzą na nich łaskę i bezpieczeństwo w czasie pracy.

Teraz wydobyciem zajmą się inżynierowie ze spółki Giesche Erben. Na Górnym Śląsku koncern ten jest właścicielem sporej części kopalń i hut oraz jeszcze większej części Kattowitz. Mieszkańcy Kupferbergu z nadzieją nasłuchują wieści z tamtego regionu, dowiadują się między innymi o pięknych i wygodnych miastach-ogrodach, jakie spółka buduje swoim pracownikom. Marzenia ostatnich sześćdziesięciu górników z Kupferbergu są jednak o wiele skromniejsze. Nie chcą luksusowych osiedli ani kolejki dowożącej ich bezpłatnie pod bramę kopalni. Chcieliby tylko, aby uruchomione przez Giesche Erben szyby dały dosyć surowca, by nikt nie musiał się tu martwić o jutro.

Modlitwy, do których namawiają pastor Eberlein i ksiądz Kaufmann, na pewno nie są więc mało gorliwe, jednak po prostu nieskuteczne. Nie wystarcza też doświadczenie inżynierów z Giesche Erben. Z łatwością wznowili oni wydobywanie w Kupferbergu i z jeszcze większą łatwością decydują o jego ostatecznym zakończeniu. W bilansach firmy tych kilka szybów i garstka gwarków nie stanowi zbyt ważnej pozycji. Najpierw staje szyb Toni, wkrótce potem, w 1927 roku, zamknięty zostaje ostatni szyb Adler. Gwarkowie będą mogli już tylko z nostalgią spoglądać na jego szkielet widoczny z niemal każdego domu w mieście.

Górnicza przeszłość miasteczka nie daje jednak o sobie zapomnieć. Góra, na której szczycie stoi Kupferberg, jest podziurawiona jak rzeszoto. Przez całe stulecia drążono w jej wnętrzu tunele, które teraz – niezabezpieczone – zaczynają się zapadać i zagrażać temu, co znajduje się powyżej. Szalunek w starych sztolniach zamienia się w próchno i już nikt przy zdrowych zmysłach nie wejdzie do środka, by ocenić stan zniszczeń i przewidzieć

kolejne zagrożenia. O zabezpieczeniu starych szybów nie może być więc mowy.

Coraz częściej rurociąg doprowadzający do miasteczka wodę aż spod góry Wołek zrywa się. Władze miasta zachodzą w głowę, co jest tego przyczyną, wkrótce okazuje się, że to niewielkie tąpnięcia i osunięcia ziemi powodują rozszczelnianie instalacji.

Pewnego dnia konie ciągnące pług po polu pana Franzkiego zapadają się w ziemi po piersi i wydają z siebie tak przerażający kwik, że ci, którzy akurat są w pobliżu, rzucają swoją robotę i wbiegają w pole z pobladłymi twarzami. Tylko niektórzy mają odwagę ruszyć z pomocą i ratować zwierzęta, inni patrzą z daleka na wystające z ziemi końskie łby i niezwykle lejkowate zapadlisko wokół nich.

Po raz pierwszy jednak ziemia zapada się pod budynkiem kuźni Preusa i kupca Reimanna. Powstaje krater tak duży, że zmieściłaby się w nim furmanka. Także w szeregu domów – od piekarza Flabego do fryzjera Friebego – utworzyła się rysa na murach spowodowana zapadnięciem się sztolni. Ta rysa to dopiero początek.

Butelka

Korek od butelki dostałem od Zbigniewa Pawęski na koniec naszej rozmowy. Przez cały czas bawił się nim, obracał w palcach, delikatnie stukał o blat stołu, tuż obok mikrofonu, w taki sposób, że musiałem zastanawiać się nad tym, czy nie robi tego specjalnie. Na koniec powiedział, że to dla mnie, a ja udałem zaskoczenie i przez chwilę grzecznie oponowałem. Zapytałem, skąd go ma.

– Po prostu mam – odpowiedział. Zaraz potem zapewnił, że dla niego to nie jest żadne poświęcenie i żadna ofiara: – Ja jeszcze sobie taki znajdę.

A zatem korek. Za stary, by traktować go jak pospolity śmieć, za młody, by uznać za zabytek. Bryłka porcelany z czerwonym emaliowym napisem: KUPFERBERGER BRAUEREI. G. FRANZKY. Żadnej daty, nic więcej. Uszczelkę szlag już trafił, tak samo metalowy kabłąk, którego resztki tkwią jeszcze w otworze.

Na chwilę ulegam pokusie fantazjowania, wymyślania historii. Staram się z tym walczyć, ale przechodzi samo. Korek pozostanie korkiem, wygrzebanym z ziemi, nie powie mi nic poza tym, co już i tak wiem. Był browar, był Georg Franzky, było piwo. Nic więcej – wszystko w czasie przeszłym. Noszę korek w kieszeni, trochę jak talizman, który ma mi przynieść szczęście. Niby dlaczego by miał? Obmyślam nawet sposób, w jaki mógłbym przepleść przez niego kółko od kluczy i tak stać się z nim nierozłącznym.

Potem znajduję butelkę. I znów ta nachalna symbolika, której opieram się z trudem. Jakiś chichot historii, jakby zielony Kupferberg, miasteczko, którego nie ma, kpiło sobie ze mnie i podrzucało mi śmieci, z których

miałbym sklecić historię. Próbując zrozumieć, trafiam więc tylko na to – najpierw porcelanowy korek, a teraz butelkę z browaru Franzkiego. A więc można by rzec, że mam komplet (jakby jednak nie dość było szyderstw, butelka ma tak odłamaną szyjkę, by uniemożliwić mi celebrację obrzędu dopasowywania i głupawego podniecania się nim).

Korek i butelka – nic więcej. Pewnie gdybym pochodził po świeżo zaoranych polach, znalazłbym kilka fragmentów potłuczonych talerzy. Ale i one nic by nie znaczyły – cała ta archeologia jest zbędna, bo potem i tak jest wymyślanie, siedzenie w autobusie z Jeleniej Góry, gapienie się przez okno i zastanawianie. Czy Franzky obok tej butelki przechodził, czy miał ją w rękach, kto ją kupił, kto wypił piwo (Beier spod dziesiątki czy Casper spod szóstki)? Czy uderzyło mu do głowy, może wdał się w bójkę, może sam został pobity? Pił dla kurażu? Z nudów? Bo musiał? Z pragnienia? Z radości czy smutku? A może po prostu pił?

Butelka leżała w liściach obok grobu Ueberschaera. Może sam ją przyniósł, gdy stał tu jeszcze jego drewniany domek? A może przynieśli ci, którzy wkładali go do grobu, a na ceglanej ścianie tuż nad trumną powiesili jego pikielhaubę i szablę? Całość przywalili żelbetową płytą, a potem, zamiast wykuć mu datę śmierci, wypili jego zdrowie i poszli niespiesznym krokiem w kierunku miasta. „Biedny Ueberschaer – myśleli – dlaczego to zrobił?”.

A może było zupełnie inaczej. Może butelka znalazła się tam dlatego, że ktoś uznał, że to doskonałe miejsce, by wyrzucić te śmieci, które we wszystkich domach zostały po Niemcach. Nie zdążyli przecież sami posprzątać.

Teraz nie ma to już żadnego znaczenia, bo cały sentyment, całe moje uwielbienie dla tych dwóch przedmiotów wynika z tego, co poza nimi, z tego, co wiem o miasteczku. Ale tylko tyle z miasteczka, z zielonego Kupferbergu, zostało, więc całą tę moją ekscytację domorosłego archeologa tak sobie właśnie usprawiedliwiam.

Kupferberger Gold

– Następna mała małpka będzie twoja – obiecuje Max Sintenis, a jego oczy płoną w mroku. By ten mrok przeniknąć i zajrzeć w figlarne oczy, mały Georg Franzky musi wspinać się na palce i wysoko wyciągać do góry ręce z flaszką błogosławionego złotego płynu. Operacja jest ryzykowna, bo okno więzienia, w którym znów siedzi niesforny Max, jest zbyt wysoko jak na skromne możliwości chłopca. O sukcesie decydują sprawne koniuszki palców Maxa, któremu wszak jeszcze nigdy nie zdarzyło się upuścić pełnej butelki i tym razem też się nie zdarzy.

Jest też inne ryzyko. Max Sintenis – lekkoduch, birbant i hulaka – siedzi w celi właśnie przez to, że pod wpływem tego czy innego napoju znów wprowadził w osłupienie i zażenowanie mieszkańców zielonego Kupferbergu. Przynoszenie piwa takiemu indywiduum z pewnością spotkałoby się z naganą sąsiadów i burmistrza Smudego, a najpewniej także z pospolitym laniem od ojca. Jednak obietnica posiadania własnej małpki jest zbyt kusząca, by Georg nie był gotowy tego ryzyka podjąć. Ten rytuał powtarza się zresztą dość często, więc chłopiec ma pewne doświadczenie. Najpierw słyszeć nieprzyzwoite przyśpiewki dobiegające z domu braci Sintenisów, z których ta jedyna nadająca się do powtórzenia zaczyna się od słów: „Gdybyś miał jeszcze jedną teściową...”. Potem donośny baryton Maxa przenosi się na ulicę i nieskrępowany już ścianami gabinetów niesie się po ulicach. Następnie słyszeć gwizdek żandarma lub poirytowany głos burmistrza Smudego, który w takich chwilach zwykł tylko ograniczać się do pospolitego: „Max, ty ośle!” i zlecenia żandarmowi zawleczenia pijanego śpiewaka za fraki do celi, na tyłach przytułku dla żebraków. Do

rana ma tam czas na wytrzeźwienie i przemyślenie swojego haniebnego postępowania. Nie udaje mu się ani jedno, ani drugie.

Do tej klęski wychowawczej przyczynia się w pewien sposób właśnie mały Georg Franzky, syn browarnika Ewalda Franzkiego, wnuk Wilhelma i Ernestyny. Już od ponad czterdziestu lat ród Franzkich sławi dobre imię miasteczka, dostarczając do gospód, wyszynków i restauracji w bliższej i dalszej okolicy napój nazwany, nie bez przyczyny, Złotem Kupferbergu.

Tajemnica sukcesu tutejszego piwa tkwi, tak przynajmniej twierdzi Ewald Franzky, w doskonałej wodzie tryskającej z wnętrza góry, na szczycie której stoi miasteczko. W „Wanderem im Riesengebirge”, lokalnej gazecie wydawanej w Hirschbergu, pojawia się nawet obszerny artykuł autorstwa profesora Liebreicha traktujący o zdrowotnych właściwościach wody bijącej z tutejszego Źródła Juliana. „Zawartość kwasu arsenowego bez domieszek innych, mocno oddziałujących soli charakteryzuje tę wodę całkiem specyficznie jako wodę mineralną zawierającą arszenik, która ze względu na swoje właściwości jest lekkostrawna. Zawartość 1,66 miligramów w litrze wody jest akurat ilością, której spożycie jest celowe, a dawka ta, nawet przy długim spożywaniu, nie jest za duża”.

Z kolei inny znawca wód, profesor Wilhelm Windlich, wielokrotnie badający tutejsze ujęcia, ważył się wystąpić z odważną tezą, że woda w Kupferbergu jest równie dobra jak ta ze słynnego ujęcia Pilzner Urquell. Przyczyną tej doskonałości mają być warstwy marmuru wapiennego, woda przesącza się przez nie, traci niepożądany dwutlenek węgla i staje się miękka.

Tak czy inaczej, to właśnie tej wodzie oraz nienagannej czystości urządzeń browarnianych Złoto Kupferbergu ma zawdzięczać swój unikatowy smak i goryczkę. Browar, w którym ten cudowny napój powstaje, znajduje się w dolnej części miasta, na rozstaju dróg wiodących do Jannowitz⁴. Zbudowany jest z pięknej, klinkierowej cegły, za nim pyszni się zaś żółta willa browarnika i domek dla służby wraz z powozownią. Mały Georg zna tu każdy zakamarek, wie zatem, jak dostać się do wnętrza browaru, w którym pomieszczeniu butelkowane jest piwo i co trzeba zrobić, by zimną flaszkę niepostrzeżenie wynieść na zewnątrz, a następnie,

wspinając się na palce, podać w zwinne palce Maxa Sintenisa. Nigdy go na tej kradzieży nie złapano.

Georg nic na to nie poradzi – ma siedem lat i kocha chłopięcą miłością obu braci Sintenisów. Młodszego, Maxa, za radość, którą sprawia chłopcu swoimi opowieściami snutymi zza więziennej kraty. Są w nich dalekie krainy – pustynie Persji i Azji Środkowej, zielona dżungla Afryki i wzburzone fale oceanów. Są w tych historiach także niesamowite i mrozące krew w żyłach przygody oraz oczywiście małpy, których preparowaniem Max miałby się rzekomo zajmować. Oczywiście Georg nigdy żadnej małpki przywiezionej przez Maxa z tych podróży nie widział, prawdę mówiąc, nie przypomina sobie nawet, by Max kiedykolwiek opuścił Kupferberg na dłużej, jednak słuchanie o dalekich krajach jest dla niego wystarczającą nagrodą. Zresztą, gdyby mały Georg Franzky miał przyjąć wszystkie małpki obiecane mu przez Maxa, willa stojąca za browarem z pewnością by ich nie pomieściła.

Jest jednak jeszcze drugi z braci Sintenisów – starszy o rok Paul. To całkowite zaprzeczenie Maxa i prawdziwe źródło inspiracji jego niesamowitych, pijackich opowieści. Paul jest botanikiem i częściej przebywa w podróży niż w swoim wypełnionym roślinnymi preparatami i kolekcjami gabinecie w Kupferbergu. Za pierwszym razem wyrusza do rumuńskiej Dobrudży, potem zapuszcza się coraz dalej – do Grecji, Turcji, Armenii, Turkmenistanu, Persji, a nawet dalekiego Puerto Rico. Z każdego z tych miejsc przywozi setki albo i tysiące okazów roślin. Wśród nich jest na przykład szczególny gatunek rdestu, przywieziony z dalekiego Sachalinu. Roślina doskonale przyjmuje się w surowym klimacie Kupferbergu i przez wiele następnych lat będzie znakiem rozpoznawczym miasteczka. W czasie jednej z wypraw do północno-wschodniej Turcji Paul Sintenis wspina się z mazołem na wysokość dwóch tysięcy czterystu metrów tylko dlatego, że od miejscowych chłopów dowiaduje się o występowaniu na tej wysokości nieznanego mu rośliny. Wysiłek się opłaca – jego znalezisko przechodzi do historii botaniki jako *Tulipa sintenisii*.

Nic więc dziwnego, że każdy kolejny powrót naukowca w rodzinne strony staje się wydarzeniem. Jego rozrastający się prywatny ogród

botaniczny jest namiastką dalekich krain, o których z taką pasją i przekonaniem opowiada młodszy brat. Georg Franzky wyczekuje tych powrotów szczególnie. Korzystając z zażyłości, która łączy jego ojca Ewalda z obojgiem Sintenisów, ma rzadką przyjemność zaglądania od czasu do czasu do domu Paula i obserwowania go przy pracy. Każda taka wizyta to wyprawa w nieznane. W gabinetach pachnie tytoniowym dymem, na blatach piętrzą się skrzyneczki z zasuszonymi motylami, z szaf spoglądają na chłopca szklane oczy wypchanych zwierząt. Wszystko to jest królestwem wielkiego angorskiego kota i trzech skrzeczących papug, które swobodnie przemieszczają się po całym domu. Paul ochoczo wprowadza chłopca w arkany pracy przyrodnika, pokazuje preparaty roślin i zwierząt, pod mikroskopem odkrywa nieznany chłopcu dotąd świat. Do małego odkrywcy wielki botanik zwraca się per „kustoszu”, co chłopca wprawia w szczególną dumę.

Podziw i szacunek budzi też w Georgu wierny, a zwykle dość milczący towarzysz Paula – Turek imieniem Fuss. Jego niecodzienna bródka i obowiązkowy fez dodają kolorytu i tak barwnej już postaci botanika. Poznali się w Konstantynopolu, Paul od razu przekonał się o zaletach tej znajomości. Fuss jest tak naprawdę synem Austriaczki i Niemca, jedynie wychowanym w Turcji na orientálną modłę. Dzięki temu ma odpowiednie wykształcenie i, co najważniejsze, mówi po niemiecku, grecku, arabsku i turecku. W czasie wszystkich wypraw Paula jest jego tłumaczem i asystentem, szybko przyswaja sobie niezbędną wiedzę z zakresu botaniki i jest dla badacza wsparciem także w tym zakresie. Na jednym ze zdjęć, które przez długie lata wisiały w gabinecie Ewalda Franzkiego, widać Paula Sintenisa, Fussa oraz jakiegoś niemieckiego konsula stojących w serdecznym uścisku na tle jednego z perskich miast. Na starość Fuss osiadł w miasteczku, tu przez wiele lat męczyć go będą nawroty malarii. Ze względu na uciążliwość swojej choroby w browarnianej gospodzie prowadzonej przez rodzinę Franzkich Fuss będzie miał swoje kieliszki i kufle. Utrapienia starości wpędzą go jednak w nałóg zażywania morfiny, która przyniesie mu przedwczesną śmierć.

Opowieści Maxa i dokonania Paula działają na wyobraźnię małego Georga Franzkiego, który marzy o równie dalekich i nie mniej niesamowitych podróżach. Wielki świat zaczyna się już na dworcu kolejowym w Jannowitz. Z Kupferbergu to zaledwie dwudziestominutowy spacer. Wystarczy minąć browar i dwa kamienne krzyże, z których jeden nosi jeszcze ślady zatartego napisu „Memento”. Potem trzeba już tylko przejść przez sosnowy las. A właściwie przebiec, bo zielona gęstwina jest dla małego chłopca źródłem stanowczo nazbyt tajemniczych i przerażających odgłosów.





Na dworcu można już jednak odetchnąć i wsiąść w pociąg, który w dwie godziny dotrze do Breslau bądź Görlitz, a zaledwie w pięć godzin do samego Berlina. Gdyby wybrać zaś skład jadący w przeciwną stronę, w nieco ponad kwadrans dojedzie się do Hirschbergu. Georg uwielbia jeździć tą trasą. Tory wiją się tu między górami i raz po raz przeskakują łukowatymi mostami przez rzekę. Z okolic Märzdorfu doskonale widać dwie kościelne wieże Kupferbergu. Największą frajdę sprawiają jednak chłopcu te chwile, w których cały pociąg pogrąża się w ciemności wykutego u stóp góry tunelu. O miejscu tym opowiadała małemu Georgowi babcia Ernestyna. 9 września 1865 roku u zachodniego wylotu tego tunelu, nieopodal wsi Rohrlach, ustawiono stoły i oświetlono je lampionami. Okazją dla zorganizowania tej osobliwej biesiady było uroczyste otwarcie linii Breslau-Hirschberg. Biesiadnikom, wśród których byli też Ernestyna Franzky i jej ówczesny mąż Wilhelm Bach, przygrywała kapela, Złoto Kupferbergu lało się oczywiście szerokim strumieniem. Po przemowach przedstawicieli kolei oraz właściciela tych terenów, hrabiego Wilhelma z rodu Stolberg-Wernigerode, wszyscy zebrani przemaszerowali przez tunel, oświetlając sobie drogę pochodniami. W ten sposób kolej żelazna połączyła Jannowitz i pobliski Kupferberg ze światem.

Podróż pociągiem skłaniają Georga Franzkiego do rozmyślań dość szczególnych. Będąc ministrantem w katolickim kościele, chłopiec dowiadyuje się o odważnej podróży proboszcza Johanna Martina Stulpego, który blisko dwa wieki wcześniej dotarł samodzielnie do Rzymu, by prosić papieża o brewe na założenie arcybractwa Najświętszego Serca Jezusa w Kupferbergu. W głowie małego Georga Franzkiego nie mieści się, że ten dzielny ksiądz, kiedy ruszał w taką podróż, nie mógł skorzystać z kolei.

O księdzu Stulpem pamiętają w miasteczku niemal wszyscy, zwłaszcza w każdą третią niedzielę po Wielkanocy, gdy drogami z Jannowitz, Rudelstadtu i Waltersdorfu ciągną tu na odpust prawdziwe tłumy wiernych. Gospody zapełniają się nimi zaraz po porannej mszy, która zgodnie z wieloletnim zwyczajem odprawiana jest o piątej rano. Do tych

uroczystości ministranci przygotowują się szczególnie starannie i na miesiąc przed ich rozpoczęciem zaczynają studiować mszę łacińską pod surowym okiem kantora Vogta, który oprócz zdolności pedagogicznych ma też talenty muzyczne i grą na organach uświetnia nabożeństwo.

Georg z przejęciem służy więc do mszy. Jednak odkąd kończy dziesięć lat, gorliwości tej towarzyszy też pewna niecierpliwość i ukradkowe zerknięcia w stronę zielonych łąk i lasu. Georg wie, że jest tam potrzebny. Ziarno zasiane przez Paula Sintenisa zaczyna bowiem kiełkować i wydawać pierwsze plony. Padło w końcu na podatny grunt, w chłopcu zaczyna się rozwijać pasja przyrodnika. W sąsiedztwie domu państwa Franzkich mieszka stary pan Bergmann, pracownik kopalni. Kiedy szyb Toni pracuje na pełnych obrotach, Bergmann spędza tam po kilkanaście godzin dziennie, obsługując górniczą maszynę parową. Jego pasją są jednak zwierzęta, a zwłaszcza ptaki. W swoim domu nieopodal cmentarza ma woliery pełne tego skrzydlatego, rozśpiewanego żywiołu. Przez jakiś czas wokół domu kręci się też uwiązany do łańcucha lis, pewnej nocy znika jednak w niewyjaśnionych okolicznościach wraz z łańcuchem (cień podejrzenia pada na cygański tabor, który tej samej nocy opuszcza w pośpiechu miasteczko). Mały Georg zagląda tam od czasu do czasu, a pan Bergmann opowiada mu o swoich ptasich pasjach, poznaje go też z Hermanem Gärtnerem, żylastym, ale nad wyraz serdecznym kamieniarzem, który wyspecjalizował się w trudnej technice łapania ptaków na klejącą różdżkę. Dostarcza on ptaki wszystkim hodowcom i pasjonatom ornitologii w okolicy. Jest jednak pewien szkopuł, z którym Gärtner nie może sobie poradzić. Na skutek fatalnego wypadku stracił nogę i od kilku lat wspiera się na drewnianej protezie.

Polowanie na ptaki za pomocą klejącej różdżki to sztuka niełatwa. Aby odnieść tu odpowiednie sukcesy, Hermann Gärtner zakłada w lesie i na łąkach specjalne wodopoje, do których przez całe lato przyzwyczajają ptaki wytypowanych gatunków. Dbą, by do wody w tych miejscach nie wpadały liście ani inne zniechęcające zanieczyszczenia. Gdy zwierzęta przyzwyczajają się do jednego z takich miejsc, rozpoczyna się polowanie. W tym celu pan Gärtner na bazie oleju lnianego gotuje klej i smaruje nim różdżki,

a następnie umieszcza je tuż nad wodą, tak by skrzydlaty gość zechciał skorzystać z tego ułatwienia. Najczęściej na ten fortel dają się nabrać rudziki, które zaraz po przyklejeniu się do różdżki alarmują okolicę rozpaczliwym wręcz wrzaskiem. Klej jednak nie więzi ich na zawsze. I tutaj kończy się rola kulawego Hermana Gärtnera, a zaczyna małego i zwinnego Georga Franzkiego. Odpowiednio poinstruowany opuszcza on biegiem swoją kryjówkę i dopada świergoczącego jeńca. Po zdjęciu ptaka z pułapki, umieszcza go w specjalnej torbie, a tę z dumą prezentuje nadchodzącemu kołyszającym się krokiem Gärtnerowi.

Po kilku miesiącach terminowania przy tym zajęciu Georg Franzky nabiera takiej wprawy w łapaniu ptaków, że stary Herman Gärtner powierza mu swoje klejące różdżki, a sam poświęca się tylko zakładaniu i doglądaniu nowych stanowisk. Złowione ptaki Georg przynosi czasami do domu, a część z nich zostaje natychmiast wypuszczona przez matkę, która załamuje ręce nad nową pasją syna. Niekiedy specyficzne łowieckie trofea są przyczyną sporego zamieszania w domu państwa Franzkich. Tak jest w przypadku orzechówki, którą Georg łapie pewnej jesieni. Jest ona tak zadziorna, że chłopcu z niemałym trudem udaje się ją odkleić od klejącej pułapki dopiero w domu. Przychodzi mu to jednak okupić kilkoma bolesnymi dziobnięciami.

Oprócz tych rozlicznych przyjemności i rozrywek, ma jednak także mały Georg Franzky obowiązki, z których jako syn browarnika musi wywiązywać się skrupulatnie. Wzywany jest do nich zwykle wtedy, gdy pracujące w gospodzie przy browarze matka oraz babcia nie nadążają z obsługą gości. Dzieje się tak w czasie corocznego, wiosennego odpustu oraz cztery razy do roku podczas targów, a zwłaszcza w czasie targów jesiennych. Ewald Franzky stawia wtedy na placu targowym w górnej części miasteczka solidny stragan, z którego prowadzi sprzedaż piwa, gorących napojów oraz prażonego na ogniu piecyków naftowych ziarna. Zadaniem chłopca jest kursowanie między browarem a targowiskiem i donoszenie czystych kuflów oraz gorącej wody. Zwłaszcza w tym drugim przypadku pośpiech jest szczególnie pożądanym. Jesień w Kupferbergu są zimne i wietrzne, więc bywa i tak, że gorąca woda doniesiona przez

chłopca na szczyt wzgórza bez należytego pośpiechu po prostu przestaje być gorąca.

Jednak najważniejszą powinnością Georga Franzkiego jest edukacja. Po osiągnięciu przez niego odpowiedniego wieku rodzice postanawiają go bowiem wysłać na nauki do Poczdamu. Dwa skromne perony i schludny budynek dworca w Jannowitz dość szybko stają się więc dla niego miejscem szczególnym. Już zawsze będą mu się kojarzyć z czułymi pożegnaniem oznaczającym początek roku szkolnego oraz serdecznymi powitaniami zwiastującymi jego koniec i rozpoczęcie upragnionych wakacji.

Podczas każdego z letnich pobytów w miasteczku Georg Franzky z zaciekawieniem dostrzega tu pewne zmiany. Co roku ubywa górników, których w czasach, gdy rodzeństwo Schönfelderów zarządzało kopalnią, było jeszcze całkiem sporo. Znikają więc gwarkowie, znikają też ich cudaczne zwyczaje. Górnicze tradycje odżywają raz w roku, opowiada mu matka, najstarsi mężczyźni maszerują wtedy w górniczych pióropuszech uliczkami miasta. Mimo tej wyraźnej zmiany Kupferberg pięknieje, powstało tu bowiem Towarzystwo Upiększania Miasta dla Ruchu Turystycznego. Wzdłuż uliczek: Szermierzy, Ogniowej, Górnej i Dolnej ciągną się szpalery drzew liściastych, karłowatych sosen i czerwonych głogów. Najmniejsze miasteczko w Prusach, a właśnie tym statusem szczyci się Kupferberg, zaczyna wabić kuracjuszy. Leży wszak na wzgórzu, widok z każdej strony zapiera tu dech w piersiach, a powietrze jest czyste i rześkie. Miasto wykupuje w berlińskich gazetach reklamy, a działający tu przedsiębiorcy muszą się zaopatrywać w odpowiednią papeterię i koperty z zachęcającymi do odwiedzin informacjami. Statusu kurortu Kupferberg otrzymać jednak nie może, gdyż nie ma odpowiednich urządzeń do kuracji oraz sanatorium. Szybko powstają jednak tanie i wygodne kwatery, rzadko zdarza się więc, by w miasteczku nie przebywało kilku kuracjuszy.

Letnie pobyty w miasteczku są też dla Georga okazją do rozwijania przyrodniczych pasji. Pewnego lata zaprzyjaźnia się z wielkim miłośnikiem polowań Heinrichem Bettermanem, terminatorem w kuźni Reimanna. Podobnie jak w dzieciństwie dla Hermana Gärtnera, tak teraz, będąc już

podrostkiem, jest wsparciem dla pana Bettermana. Także i on bowiem, na skutek nieszczęśliwego wypadku w czasie pracy, staje się kaleką. Wydarzyło się to podczas naprawiania koła wodnego w należącej do hrabiego Stolberga-Wernigerodego ścieralni drewna w Bergmühlem – ktoś przypadkowo puścił wodę na koło, w wyniku czego ręka kowala Bettermana została zmiażdżona, a w konsekwencji amputowana. W swej tragedii nie pozostaje jednak sam – stary hrabia Wilhelm poczuwa się do zajęcia kalekim pracownikiem, zleca mu więc pracę stróża leśnego. Dla Heinricha Bettermanna to prawdziwe ocalenie, z zapalem uczy się więc pisać lewą ręką i co rano wyrusza na obchód hrabiowskich włości. W tych właśnie łowieckich obchodach towarzyszy mu Georg Franzky. Jest dla starego Bettermanna nieocenionym wsparciem. Broń myśliwska, z której korzystają, jest bowiem ładowana od przodu i wymaga sprawności obu rąk. To właśnie zadanie Georga. Po podaniu jednorękiemu myśliwemu nabitej strzelby chłopiec odchodzi kilka kroków, by z boku obserwować zarówno cel, jak i strzelca. Widok Heinricha Bettermanna tonącego w obłokach dymu prochowego utkwi Georgowi w pamięci na długie lata. Wspólne polowania czynią z nich zespół nierozłączny i, co najważniejsze, skuteczny. Sprawność i gibkość Georga powodują, że celne oko myśliwego nigdy nie musi czekać na naładowaną strzelbę. To właśnie dzięki tej współpracy Bettermann kilka razy w swojej karierze łowczego może pochwalić się w miasteczku dubletem, czyli zestrzeleniem dwóch kuropatw za pomocą jednego strzału. Niestety, mimo rozlicznych prób nigdy nie udaje im się zapolować na jastrzębia-gołębiarza, który sieje spustoszenie wśród gołębi hodowanych przez mieszkańców miasteczka.

Na rozwój myśliwskich pasji chłopca z niepokojem patrzą jednak jego rodzice. W rodzinie był już jeden przypadek tragicznej śmierci w czasie polowania. Daleki krewny ze strony matki Georga, przedzierając się przez krzaki z nabitą strzelbą, zahaczył spustem o gałąź. Strzelba wystrzeliła i raniła go w pierś. Mężczyzny nie udało się uratować. Georg Franzky nie zamierza jednak powtórzyć błędów swego wuja i uspokaja matkę, że w czasie polowań postępuje z chorobliwą wręcz ostrożnością. Jednak nawet to nie chroni go przed błędami. Do jednego z nich dochodzi w czasie

zimowego polowania na lisa. Taką samotniczą formę polowania ukochał sobie Georg najbardziej, godzinami przesiaduje ukryty na skraju lasu i w świetle księżyca udaje popiskiwanie myszy. W czasie jednej z takich nocnych eskapad upada tuż przed oddaniem strzału do wychylającego się właśnie z zza drzew celu. Podnosi się szybko i nie zwracając uwagi na to, że jedna z luf jest zatkana śniegiem, oddaje dwa strzały. Lis pada już od pierwszego, ale drugi wybuch rozrywa lufę. Niestety jest blisko, wszystko kończy się jednak dobrze. Swoją chwilową niefrasobliwość Georg postanawia nie chwalić się ani w domu, ani swojemu serdecznemu przyjacielowi, kupcowi Georgowi Gotterowi. To z nim staje jeszcze w czasach liceum w pierwsze myśliwskie szranki. O ile bowiem dla Heinricha Bettermanna Georg Franzky jest tylko pomocnikiem i asystentem, to dla niewiele starszego Gottera szybko staje się równoprawnym partnerem w polowaniach. Celność oka ćwiczą na obrzeżach wsi, strzelając do orzechówek i wiewiórek, z czasem zostają zaproszeni jako łowczy do Rohnau. Obaj, wyruszając na to swoje pierwsze polowanie, pękają wręcz z dumy, mimo że wracają z niego z pustymi rękami.

Inaczej jest, gdy pan Gotter za przyzwoleniem hrabiego Wilhelma zu Stolberga-Wernigerodego przejmuje jeden z rewirów łowieckich w okolicy Kupferbergu. Zna tu każdy kąt, każdą kępę drzew i każdego koziołka. Strzela więc tylko do tych, które osiągnęły już odpowiedni wiek. Z tych polowań duet Georgów wraca zwykle szczęśliwy, a każdy z nich w myśliwskim plecaku niesie swoją zdobycz. Franzky gustuje w drobniejszej zwierzynie, a zwłaszcza w lisach, Gotter woli długotrwałe tropienie i podchodzenie jelenia. W jego mieszkaniu w rynku nad sklepem (numer 93/94) zachwyty wzbudzają liczne poroża, z których na honorowym miejscu wisi piękny dwunastak, najcenniejsze trofeum myśliwskie kupca Gottera.

W 1904 roku Georg Franzky po ukończeniu edukacji i odbyciu obowiązkowej służby wojskowej na stałe wraca do Kupferbergu. Jest już wykształconym browarnikiem, jednak jego ojciec Ewald Franzky jeszcze przez trzy lata będzie sobie doskonale radził w zarządzaniu browarem.

Georg znajduje więc zatrudnienie w tutejszym magistracie jako urzędnik państwowy. Cieszy się tak wielkim zaufaniem burmistrza Schnabla, że ten powierza mu coraz bardziej odpowiedzialne zajęcia. Ze swoich powinności nie zawsze wywiązuje się jednak należycie. Raz zapomina nawet o zaplanowanym na konkretną godzinę ślubie pewnego pogromcy zwierząt. W czasie, w którym młoda para oczekuje na rozpoczęcie ceremonii przed drzwiami urzędu, Georg zabawia się strzelaniem do drobnicy w okolicach starej wieży prochowej. Gdy przypomina sobie o obowiązkach, w ciągu kilku minut jest już na dole i lekko zdyszany może poprowadzić skromną ceremonię.

On sam także postanawia się ożenić. Ma już 26 lat oraz całkiem niezłą perspektywę zawodową. Niewiele wiadomo o wybrance jego serca. Najprawdopodobniej ma na imię Anna i pochodzi z miasteczka. Ślub odbywa się więc w Kupferbergu. To, czego możemy być natomiast pewni, to fakt, iż ślubu udziela sam burmistrz Schnabel, nabożeństwo zaś prowadzi proboszcz tutejszego kościoła Johannes Kaufmann. Fakt ten należy odnotować, bo Kaufmann jest postacią nietuzinkową i w historii miasteczka zapisze się zgłoszkami równie złotymi, jak proboszcz Stulpe. To bowiem Johannes Kauffman odkrywa przed światem atrakcje Kupferbergu, pisze pierwsze przewodniki po okolicy, wychwalając w nich szlaki i zabytki Gór Sokolich, Olbrzymich i Ołowianych oraz ich uzdrowiskowe walory. Proboszcz skrupulatnie gromadzi także wiedzę o najdawniejszej przeszłości miasteczka, to on jako pierwszy dociera do najstarszych źródeł wzmiankujących Kupferberg.

Idylla Georga nie trwa jednak długo. Najpierw, w 1907 roku, umiera jego wielki przyjaciel, a przede wszystkim nauczyciel i mentor Paul Sintenis. Wielki przyrodnik zostaje pochowany na cmentarzu w Kupferbergu, jego kolekcja trafia zaś, zgodnie z ostatnią wolą, do Muzeum Nauk Przyrodniczych w Görlitz. Po latach zostanie podzielona, część okazów tam pozostanie, inne zostaną sprzedane do muzeów w całych Niemczech, a nawet do szwedzkiego Lund. W czasie II wojny światowej spora część zbiorów Sintenisa spłonie w ogniu bomb spadających na stolicę Trzeciej Rzeszy.

Wkrótce po ślubie Georga na ciężką chorobę zapada także jego ojciec Ewald. Przychodzi więc czas, by zostawić pracę w magistracie i zająć się rodzinnym biznesem. A jest czego doglądać. Browar jest największym zakładem przemysłowym w miasteczku, zatrudnionych jest tu na stałe czternaście osób, które skrupulatnie doglądają procesu warzenia piwa. Georg ma odpowiednie wykształcenie, latami obserwował ojca, nie jest więc nowicjuszem, ma też pomysł, jak rozwinąć i usprawnić produkcję. Jeszcze dwa lata przed narodzinami Georga jego ojciec wprowadził w browarze rozwiązania rewolucjonizujące produkcję tutejszego piwa. W 1876 roku w browarze pojawia się maszyna parowa, a zakład przestawia się na produkcję piwa bawarskiego. Wiedza o tym, że ten, kto się nie rozwija, w praktyce się cofa, jest w rodzinie Franzkich powszechna. W krótkim czasie Georg zatrudnia więc mistrza piwowarskiego Hermanna Hüttera, który opiekę nad procesem warzenia będzie sprawował aż do późnych lat trzydziestych. Wkrótce w zakładzie pojawiają się też nowoczesne ogrzewane parą kotły warzelne oraz oświetlenie elektryczne. Butelek i beczek nie myją już ręcznie pracownicy, Georg wyposaża bowiem zakład w maszyny robiące to za nich. Co więcej, uruchomiona zostaje słodownia – w ten sposób browar uniezależnia się od dostaw słodu z innych zakładów. Jednak największym usprawnieniem wprowadzonym przez nowego zarządcę browaru jest chłodziarka. Do tej pory niskie temperatury w piwnicach browaru uzyskiwano poprzez umieszczanie w nich wielkich bloków lodu, które każdej zimy pozyskiwano z browarnianego stawu oraz podobnego zbiornika w Jannowitz. To dzięki nim Złoto Kupferbergu doskonale koło pragnienie w upalne lato. Teraz o szron na butelce zatroszczy się nowoczesna maszyna.

O zbyt na swoje piwo Georg Franzky specjalnie martwić się nie musi. Jeśli nie zmieni receptury i ujęcia wody, nadal chętnie będą je pić klienci czterech gospód w miasteczku. Tuż obok browaru działa gospoda prowadzona przez rodzeństwo ojca – ciotkę Josephine i wuja Franza. Gospoda kusi gości chłodnym wnętrzem oraz ogródkiem piwnym, skąd przy kufłu piwa można spokojnie kontemplować małomiasteczkowy gwar. Z możliwości tej skrzętnie korzystają między innymi urzędnicy magistratu,

który siedzibę dla kilku swoich wydziałów znalazł właśnie na piętrze domu, w którym mieści się gospoda. Bliskość browaru oraz rodzinne powinowactwo zobowiązują. Co roku przebicciem pierwszej beczki piwa marcowego Georg Franzky rozpoczyna tu wiosenny festiwal piwa.

W rynku, pod numerem dziewięćdziesiątym piątym, mieści się zaś stylowa restauracja i winiarnia Ratskeller, której właścicielem jest Max Bräuer. Łatwo ją odnaleźć – parter domu, w którym się znajduje, porośnięty jest bluszczem, powyżej pyszną się ornamenty oraz zdobiony gotycki szyld. W środku na gości czeka kilkanaście stolików ustawionych pod łukowatymi sklepieniami. Grube mury zapewniają tu przyjemny chłód nawet w upalne, lipcowe dni, a stojący na środku okazały kaflowy piec grzeje biesiadników w najcieńsze zimy. Wtedy też Złoto Kupferbergu podawane jest lekko podgrzane w olbrzymich kuflach z przykrywką.

W Piwnicy Ratuszowej co tydzień organizowane są ćwiczenia towarzystwa śpiewaczego, tutaj także swoje otwarte posiedzenia i debaty odbywa rada miejska. W czasie tych spotkań radni starają się realizować mądrość maksymy wiszącej na portalu wejściowym:

PIJAŃSTWO RADNYCH JEST WAŻNYM OBOWIĄZKIEM,
WYSCHNIĘTA LAMPA NIE DAJE ŚWIATŁA.

Co tydzień w sali biesiadnej zasiadają też miejscowi notable, by rozegrać tradycyjną partyjkę skata. Z pewnością jest wśród nich także Georg Franzky, są przedstawiciele urzędu, jest kupiec Gotter oraz właściciel restauracji Max Bräuer. Nie przychodzą sami, przy sąsiednim stoliku zasiadają ich żony, by wymienić się najnowszymi plotkami. Marszczą nosy i groźnie spoglądają w kierunku swoich mężów, gdy ci rozochoceni winem z piwniczki Bräuera albo piwem od Franzkiego zaczynają intonować pieśń *Gdybyś miał jeszcze jedną teściową*. Niekiedy panom przychodzą do głowy figle iście szczeniackie.

I tak pewnego wieczoru za pomocą jednej z szabel wiszących na ścianie winiarni udaje im się wydostać zza żelaznej kraty butelkę wybornego trunku, trzymaną przez pana Bräuera na specjalną okazję. Ale do rachunku za zabawę uczciwie dopisują wypitą flaszkę. Podczas następnej partii skata

drogocenne roczniki zostaną zabezpieczone nie tylko stalową kratą, lecz także szczelną drucianą siatką.

Winiarnia Bräuera wyposażona jest też w łaźnię z wannami, z której korzystać mogą wszyscy mieszkańcy miasteczka. Ta przyjemność kosztuje ich niecałą markę.

Nieco powyżej rynku, niemal na samym szczycie wzgórza, u rozstaju dróg biegnących do Märzdorfu, Rudelstadtu i Waltersdorfu, znajduje się gościniec Schwarzer Adler (Pod Czarnym Orłem). W każdą niedzielę w dużej sali ze sceną gra tu na saksofonie Martin Lachmann, za jedną rundę tańców każda para musi zapłacić mu dziesięć fenigów. W pozostałe dni z przestrzeni tej korzystają cechy rzemieślników odbywających tu swoje narady, organizuje się też pokazy kina objazdowego. Gościniec dysponuje kilkunastoma miejscami noclegowymi, goście szczególnie lubią korzystać z ogródka i przeszklonej altany, z której okien roztacza się przepiękny widok na Góry Ołowiane.

Zupełnie inną atmosferę ma gospoda prowadzona przez Josepha Kaszynskiego oraz jego żonę Katharinę. Zajazd mieści się w niepozornym domu przy drodze z Kupferbergu do Rudelstadtu. Gości spoza miasteczka wprawia tu w prawdziwy zachwyt wystrój gospody. Na ścianach wszystkich trzech sal biesiadnych wymalowano bowiem historię okolicznych ziem zaczynającą się legendą o władcy Gór Olbrzymich – Rübezahlu. Także i tutaj niemal co niedzielę odbywają się wieczorki taneczne, gospoda Kaszynskich słynie też z organizowania karnawałowych zabaw, z których każda ma jakiś motyw przewodni. Mieszkańcy Kupferbergu z roku na rok bawią się na Balu Woźniców, Balu Urzędników Domowych albo Balu Majtek.

Poza gospodami Kupferbergu piwo z browaru Georga Franzkiego odbierają też gościńce i restauracje w całej okolicy. Są wśród nich: piękne schronisko Rosenbaude po drugiej stronie rzeki, schronisko górskie nieopodal Fischbachu, knajpy w Waltersdorfie, Rohrlachu i Rudelstadicie. Codziennie więc konne wozy wypełnione po brzegi beczkami i podzwaniające zielonymi butelkami wyruszają z Kupferbergu drogami w dół, by mieszkańcom okolicy dostarczyć najlepszego w Górach

Olbrzymich piwa. Interes więc będzie się kręcił tak długo, jak długo z tanków małego browaru wypływać będzie strumień drogiego napoju.

O ile jednak o proces produkcyjny Georg martwić się nie musi – mistrz piwowarski Hütter dogląda go z należytą starannością – o tyle coraz więcej utrapień pojawia się w związku z nieszczelnym wodociągiem doprowadzającym wodę do miasteczka i browaru. Już świętej pamięci Ewald Franzky procesował się z miastem i domagał odszkodowań za przerwy w dostawach wody do browaru. Zatrzymanie produkcji narażało bowiem firmę na poważne straty. Georg Franzky przejmuje i te kłopoty – jakkolwiek by się przyjaźnił z włodarzami miasta, domaga się od nich uregulowania kwestii zaopatrzenia w wodę.

Tymczasem drewniany wodociąg co rusz rozszczelnia się na skutek osunięć i tąpnięć, które towarzyszą zapadaniu się podziemnych sztolni i korytarzy. W takich chwilach w mieście rozlegają się syreny alarmowe, które oznaczają, że zabroniony jest pobór wody przez mieszkańców. Wszyscy wstrzymują wtedy oddech, a Carl Lukaschek, mistrz elektryczny i hydrauliczny odpowiedzialny z ramienia miasta za utrzymanie wodociągu, przeklina pod nosem, odpala swojego opla i wyrusza w poszukiwaniu kolejnego wycieku. Nieraz schodzi mu cały dzień na zlokalizowaniu pechowego miejsca, a w tym czasie w Kupferbergu panuje prawdziwa susza. Nieraz też wyprawy Lukaschka nie przynoszą pożądanych efektów, a przerwa w dostawie wody do miejskich zbiorników kończy się równie nagle, jak się zaczęła. Przez kilka lat zarówno mieszkańcy, jak i władze miasta zachodzą w głowę, co jest przyczyną tak nietypowych wydarzeń. Sprawa wyjaśnia się przypadkiem, gdy jeden z cierpiących na bezsenność mieszkańców miasteczka dostrzega pewnej nocy na polach w okolicy Waltersdorfu chłopca, który zatykając wodociąg szmatami wpychanymi do jednej ze studzienek rewizyjnych, kierował wodę przeznaczoną dla miasteczka na swoje pola. Studzienki więc zaplombowano i zabezpieczono odpowiednim mechanizmem uniemożliwiającym ich otwarcie; teraz jedynym utrapieniem będą już „tylko” zniszczenia górnicze.

W końcu po wielokrotnych targach z miejskimi urzędnikami Georg Franzky daje za wygraną i postanawia wybudować własny wodociąg, który

aż spod Góry Piaskowej będzie zaopatrywał browar w wodę. Prace ruszają w 1912 roku, inwestycja kosztuje немало, jednak daje browarowi jako taką samodzielność, kłopoty z wodą nigdy jednak nie skończą się na dobre, górnicze dziedzictwo miasteczka od czasu do czasu będzie o sobie przypominać.

W 1914 roku Georg Franzky wygrywa coroczny turniej strzelecki i zostaje mistrzem kurkowym. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że tytułem tym będzie się cieszył aż pięć następnych lat. I bynajmniej nie dlatego, że okaże się w kolejnych konkursach bezkonkurencyjny. Czerwiec tego roku to bowiem ostatni miesiąc istnienia starego świata, w Sarajewie ginie z ręki zamachowca Franciszek Ferdynand, wybucha wojna, która wzywa na swoje fronty synów Kupferbergu. Polegnie ich tam pięciu, a jeden na zawsze uznany zostanie za zaginionego. W tym samym czasie w restauracji Bräuera na honorowym miejscu zawisnie stalowy angielski hełm, zdjęty z głowy angielskiego żołnierza. Czynu tego dokonać miał w czasie bitwy pod Arras w październiku 1914 roku mieszkaniec Jannowitz Ernst Küttner. Pamiątką wojennej zawieruchy ma być też wywieszona w sali biesiadnej flaga rufowa niemieckiego okrętu wojennego biorącego udział w morskiej bitwie pod Tsingtau, w dalekich Chinach.

Pięciu poległych, jeden zaginiony, angielski hełm i podziurawiona jak sito flaga – oto bilans, z jakim wychodzi z wojny zielony Kupferberg. Przy ponad siedmiu milionach niemieckich ofiar i ponad trzydziestu siedmiu milionach zabitych na wszystkich frontach Wielkiej Wojny nie jest to chyba cena zbyt wygórowana. Choć oczywiście tragiczny, bilans ten nie wydaje się przekonującym dowodem na to, że za górami otaczającymi miasteczko przetoczył się właśnie jeden z najbardziej krwawych i okrutnych konfliktów w historii świata. Rzecz jasna, mieszkańcy Kupferbergu odczuwają wysiłek, który Niemcy muszą podjąć w związku ze zbrojeniami, w miasteczku pojawiają się tymczasowe problemy z zaopatrzeniem, w urzędach zostaje wprowadzony wojskowy dryl, częściej odbywają się ćwiczenia rezerwistów, matki i żony drżą o tych, którzy walczą o dobre imię cesarza. Jednak w porównaniu z tragedią tysięcy europejskich miast i miasteczek oraz milionów wypędzonych i zabitych, ci, którym wojnę

przyszło przeżyć w Kupferbergu, mogą mówić o sporym szczęściu. Zajęci swoimi problemami życia codziennego nie domyślają się zapewne, że zapłata za ten spokój przyjdzie z wieloletnim odroczeniem. Skromny pomnik wystawiony przez nich na rynku bohaterom I wojny światowej okaże się daniną niewystarczającą. Bestia jeszcze się tu upomni o swoje.

O wiele groźniejsze są skutki wojennej zawieruchy, które odczuwają wszyscy Niemcy zaraz po tym, jak milkną ostatnie strzały. W całym kraju zaczyna szaleć hiperinflacja tak olbrzymia, że pracodawcy wypłacają pensje dwa razy dziennie, by za otrzymane pieniądze ludzie byli w stanie cokolwiek kupić. Dość powiedzieć, że na początku lat dwudziestych ceny chleba w Breslau osiągają ceny 240 milionów marek za bochenek.

I oczywiście ciągle rosną.

Z tymi gospodarczymi problemami muszą sobie także radzić kupcy i przedsiębiorcy z Kupferbergu. Nie sposób wyliczyć ich wszystkich. Pod tym względem Kupferberg jest niemal samowystarczalny. Jego mieszkańcy mają pod ręką hydraulika, elektryka, blacharza i zduna. To, czego nie są w stanie dostarczyć kupcy, wytwarzane jest na miejscu. Pani Trenkler szyje koszule, panie Assmann i Alex zajmują się pościelarstwem, pan Reuhs prowadzi tkalnię adamaszku, a pani Bräuer, żona Maxa, handluje masłem i jajkami. Ci mieszkańcy, którzy nie prowadzą własnej działalności, znajdują zatrudnienie w zakładach przemysłowych działających w Kupferbergu. Są to: dwa zakłady kamieniarskie, Zeidler & Wimmel oraz Schlesische Granitstein AG, a także gospodarstwo rolne należące do grafa Stolberga-Wernigerodego wraz z założoną także przez niego ścieralnią drewna i wytwórnią miazgi drzewnej w nadrzecznym Bergmühle. Powstająca tutaj celuloza dostarczana jest do fabryki papieru w Jannowitz. Tu też pracują mieszkańcy Kupferbergu, produkując między innymi cieniuteńkie bibuły przeznaczone na eksport do Chin.

W górnej części miasta, pod numerem czterdziestym pierwszym, znajduje się rzeźnia Augusta Schiedecka, w pobliżu rynku swoje stoisko mięsne prowadzi zaś rodzina Raupachów. Pieczywo i ciasta mieszkańcy kupują u mistrza piekarskiego Wilhelma Fladego pod numerem dziewiątym, tuż obok, pod ósemką, Georg Fischer sprzedaje warzywa

i owoce południowe. W artykuły kolonialne można zaopatrzyć się u Gustawa Reimanna pod numerem siedemdziesiątym. To właśnie obok jego sklepu zapadła się ziemia. O zaopatrzenie miasteczka w lekarstwa dba aptekarz Kurt Haenisch wraz ze swoim bratem Ulrichem. Swoją aptekę prowadzą oni w rynku, pod numerem dziewięćdziesiątym.

Mieszkańcy miasteczka strzygą swoje włosy u półwędrownego mistrza fryzjerskiego Adolfa Friebego, który nie dość, że rezyduje i obsługuje swoich klientów w zakładzie pod numerem sto trzecim, to jeszcze wyposażony w odpowiednie przybory wędruje pieszo do Rudelstadtu, Rohrlachu, a nawet Fischbachu, oferując mieszkańcom tych wiosek swoje usługi. Być może zniszczone tymi wędrowkami buty naprawia w zakładzie szewskim Wagner-Kaiser-Exner. Być może, bo równie dobrze może korzystać z usług położonego w górnej części miasta zakładu szewskiego Wahn-Drescher. Niemal pewne jest natomiast, że spodnie i surdut fryzjer piechur zamawia u swojego krewnego – krawca Hermana Friebego.

Oprócz browaru działa tu także destylarnia Alberta Schütza, która dostarcza doskonałej jakości wódki i likiery. Wkrótce swoją działalność rozkręci producent wód mineralnych i lemoniady Maksymilian von Glaschynsky.

Kupferberg ma swój urząd pocztowy oraz dwa oddziały towarzystw powierniczych. W miasteczku działa przedszkole (ulożowane w jednym z pomieszczeń gospody przy browarze), są też dwie szkoły parafialne, które w przyszłości zostaną połączone w jedną szkołę ludową. Gdy w ślad za mistrzem elektrycznym Carlem Lukashkiem, jeżdżącym swoim oplem, pójda inni mieszkańcy miasteczka i na jego ulicach pojawią się samochody, na tyłach gościńca Pod Czarnym Orłem stanie też stacja paliw Shella.

Jednak nie samą pracą żyją mieszkańcy Kupferbergu. Wolny czas spędzają, angażując się w działalność rozlicznych stowarzyszeń i związków. Wśród nich nie sposób nie wymienić Męskiego Związku Gimnastycznego, którym kieruje wierny przyjaciel Georga Franzkiego i zapalony myśliwy Georg Gotter. Wbrew swej nazwie związek ma trzy sekcje – męską, prowadzoną przez Gottera, żeńską, z Käthe Lukashek, oraz młodzieżową. W czasie niepogody ćwiczenia na drążku, poręczach

i koniu odbywają się w gościnnych progach gospody Pod Czarnym Orłem. Gimnastykom z Kupferbergu marzy się jednak prawdziwy plac do ćwiczeń na wolnym powietrzu. W końcu budują go sobie przy drodze prowadzącej do położonej nieco na uboczu dzielnicy miasteczka Adlersruh. Tutaj odbywają się pokazy młodych gimnastyków, które oklaskiwane są przez tłumy widzów.

Ci, którym nie w smak akrobacje na drążku, wybierają niezwykle towarzyski i nad wyraz rozrywkowy Męski Związek Śpiewaczy prowadzony przez krawca Hermanna Friebego lub Ludową Scenę Teatralną prowadzoną przez emerytowanego aktora Paula Schulzego. Ten ostatni na aktorstwie nie poprzestaje, jest bowiem także ogniomistrzem i członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej w Kupferbergu. W każdą pierwszą sobotę miesiąca zrywa się o szóstej rano obudzony alarmem ogniowym i, tak jak kilkudziesięciu innych mężczyzn, pędzi do remizy stojącej nieopodal destylarni Schütza. Odbywają się tu ćwiczenia ogniowe, po których cała strażacka bracia udaje się do browarnianej gospody, by przy kuflu zimnego złota omówić zebrane właśnie doświadczenia w gaszeniu pożarów. Strażacy z Kupferbergu cieszą się doskonałą opinią, wśród mieszkańców Jannowitz krąży nawet opowieść o tym, jak dzielni ogniomistrzowie z miasteczka na szczycie góry, nie mogąc się doczekać koni do swojego wozu, sami chwycili za dyszel i pociągnęli cysternę wraz z sikawkami do sąsiedniej wsi. Uratowali tym samym dobytek jednego z mieszkańców Jannowitz. W opowieści tej nie wzmiankuje się, niestety, w jaki sposób, już po ugaszeniu ognia, wóz został wciągnięty na górę, choć to właśnie ten kierunek musiał bohaterskim strażakom sprawić więcej problemów niż szalony zjazd na dół.

Georg Franzky także angażuje się w działalność społeczną. Jako rezerwista i członek Stowarzyszenia Wojskowego bierze udział we wszystkich uroczystościach państwowych i wojskowych, dba także o to, by weterani wojenni byli odprowadzani na cmentarz z należytą oprawą, a złożeniu ich trumien do grobu towarzyszyła obowiązkowa salwa honorowa. Po wojennej klęsce i w czasie gospodarczego kryzysu mieszkańcom miasteczka, tak jak i wszystkim pogrobowcom cesarstwa,

teraz obywatelom republiki, trudno odnaleźć się w nowej rzeczywistości. W Europie są „tymi złymi” Pielęgnowanie pamięci o swoich bohaterach traktują więc, świadomie bądź nie, jak zbiorową terapię na trudne czasy przemian.

Wielu tych, którzy w nowej rzeczywistości nie umieją się odnaleźć, trafia do miasteczka na kurację i wypoczynek. Zarówno mieszkańcy, jak i goście zgodnie przyznają, że najpiękniej jest tutaj jesienią, to wówczas wilgoć unosząca się znad rzecznych dolin sprawia, że ci, którzy akurat mają to szczęście obudzić się w Kupferbergu, mogą cieszyć oczy widokiem miasteczka wystającego niczym wyspa z morza mgieł. Ten widok opiewa w swoich słynnych już w całym kraju przewodnikach proboszcz Johannes Kaufmann. W ciągu kilku lat Kupferberg staje się więc znany jako najmniejsze miasteczko Niemiec, miejsce ciche, urokliwe i przede wszystkim dość tanie. Dostać się tutaj jest teraz o wiele łatwiej niż kiedykolwiek wcześniej. W czerwcu 1920 roku ostatecznie zakończono prace elektryfikacyjne na trasie kolejowej Niedersalzbrunn-Hirschberg, teraz zaczynają tu kursować eleganckie czerwone wagoniki kolejki elektrycznej. W niecałe dwadzieścia minut można więc dostać się z Jannowitz na lotnisko w Hirschbergu. Tu z kolei lądują i startują kursowe samoloty Lufthansy, łącząc miasto z Berlinem, Breslau i Lipskiem. Między dworcem w Jannowitz a rynkiem w Kupferbergu kursują zaś taksówki, nic więc dziwnego, że miasteczko przeżywa niekiedy prawdziwy szturm kuracjuszy.

Zmienia się także okolica. W rosnącej liczbie kuracjuszy ludzie upatrują możliwości wyjścia z ekonomicznego dołka. W samym Waltersdorfie, o którym od zawsze mówiło się tu, że znajduje się na końcu świata, działa aż siedem gościńców. Co więcej, graf Stolberg-Wernigerode wyremontował specjalnie dla turystów, bo teraz tak się ich nazywa, część ruin zamku Bolczów. Znajduje się tam przyjemna gospoda, ulubiony cel pieszych wędrówek.

Wszystkie te przemiany cieszą oko Georga Franzkiego. Tym bardziej że kwitnie też jego życie rodzinne, wkrótce na świat przyjdzie jego najmłodsze dziecko. Georg w skrytości ducha marzy o córce.

Po wojennych zawieruchach kraj z niemałym trudem podnosi się z upadku, a interes prowadzony przez Georga, mimo ciągłych problemów z wodą, idzie nad wyraz dobrze. Piwo ma renomę, samochodami jest teraz transportowane na dalsze odległości – do Goldbergu, Schöнау an der Kазbach, a nawet Löwenbergu. W mieście coraz częściej pojawiają się też pielgrzymki smakoszy, którzy wybornego złotego trunku chcą skosztować w miejscu jego warzenia. Zgodnie z już blisko wiekową tradycją Josephine Franzky, ciotka Georga, podaje im schłodzone piwo latem i lekko podgrzane zimą.

W zimowych miesiącach gospoda przy browarze przeżywa oblężenie, zwłaszcza w soboty i niedziele. Kupferberg słynie bowiem w bliższej i dalszej okolicy z jeszcze jednego powodu. Droga wiodąca stąd do Jannowitz okazuje się najlepszym naturalnym torem saneczkowym, jaki miłośnicy białego szaleństwa mogą sobie wymarzyć. O ile na nartach można stąd zjeżdżać niemal w każdą stronę, a łyżwiarskie piruety kręci się na stawie nieopodal browaru, o tyle saneczkarze upodobili sobie właśnie wiodącą ostro w dół drogę do Jannowitz. To tutaj odbywała swoje treningi załoga słynnego w całych Górach Sokolich sześćciosobowego bobsleja należącego do architekta ogrodowego z Jannowitz Berharda Beckera. Kierowcą boba jest Kurt Mende. Za nim siada Johannes Ritzka, potem Georg Grabs, kominiarz z Kupferbergu, dalej Herman Hirsch, również obywatel miasteczka, wreszcie na końcu gramoli się w pośpiechu Eric Nolte. Zwykle z radosnym rykiem rozpędzają sanie nieopodal gościńca Pod Czarnym Orłem, wskakują do nich w biegu i zalodzoną drogą pędzą najpierw przez rynek, a potem koło browaru. Mijają jeszcze dwa kamienne krzyże wystające ze śniegu tuż na rogatkach miasta i już mogą mknąć niemal dwa kilometry w dół, aż na podwórze hotelu Klugera w Jannowitz. Po odpowiednim wzmocnieniu się w tutejszej restauracji ruszają w drogę powrotną, ciągnąc za sobą stukilogramowe sanie. Po drodze mijają rozwrzeszczane dzieciaki, które mkną na sankach ich śladem. Przy browarze młodzi bobsleiści zostawiają sanie i wstępują na kufel ciepłego piwa, który doda im kurażu przed następnym szalonym zjazdem.

Trudno zaprzeczyć – w Kupferbergu życie nie jest łatwe, ale codzienne trudy mieszkańcy nauczyli się rekompensować sobie drobnymi przyjemnościami. Zapowiedzią nadchodzących gorszych czasów jest jedynie śmierć proboszcza Johanna Kaufmanna, który 16 listopada 1926 roku zostaje pochowany na przykościelnym cmentarzu w Jannowitz. Wbrew temu, co mówić się będzie jeszcze kilkadziesiąt lat później, nic nie wskazuje na to, by była to śmierć nienaturalna, zadana z ręki protestanckiego zamachowca. Dowodów na pokojowe, a przynajmniej obojętne współżycie przedstawicieli obu wyznań jest aż nadto. Śmierć księdza, który tak walnie przyczynił się do spopularyzowania walorów miasteczka, kładzie się jednak cieniem na mieszkańcach Kupferbergu. Także zamknięcia ostatniego kopalnianego szybu Adler nikt nie interpretuje jako złej wróżby. Oczywiście żal tej garstki górników, kopalnie zamykano tu już jednak wiele razy – wszyscy zdążyli się do tego przyzwyczaić.

Ale czarne chmury wzbierają, gromadzą się daleko, nawet nie za górami otaczającymi miasteczko, ale za wielkim oceanem, w Ameryce. 24 października 1929 roku przejdzie do historii świata jako Czarny Czwartek, początek Wielkiego Kryzysu, w którym wkrótce pogrąży się cały świat.

Zanim jednak pierwsze poważne echa ekonomicznej depresji zdążą dotrzeć do Kupferbergu, nastanie zima, a mieszkańcy miasteczka przeżyją swój mały dramat.

Jest mroźna gwieździsta noc 29 grudnia 1929 roku. Śnieg skrzypi pod butami kominiarzy Georga Grabsa i Josefa Stenzla, gdy w milczeniu idą przez pogrążony we śnie Kupferberg. Nieopodal gospody Pod Czarnym Orłem Georg zdejmuje z pleców dziecięce sanki i kładzie na ziemi. Podciągają kołnierze, zsuwają na uszy futrzane czapki. Georg siada z przodu, Josef za nim. Ruszają w dół, do Jannowitz. Mają tam pilne, niecierpiące zwłoki zlecenie. Nie wiadomo, dlaczego kilkaset metrów dalej wypadają z drogi i uderzają w drzewo. Służąca do czyszczenia kominów kula na stalowej linie, którą przewiązany jest Georg, wbija się w jego ciało, uszkadzając śledzionę i wątrobę. Mroźną noc przeszywa przeraźliwy krzyk umierającego Grabsa, dwudziestodwuletniego kominiarza z Kupferbergu, członka słynnej załogi bobsleistów. Od tego krzyku budzą się mieszkańcy

pobliskich domów, pewnie gdzieś zapalają się światła, być może do okna swojej żółtej willi podbiega też pełen złych przeczuć Georg Franzky.

Z okolicznych drzew podrywa się też stado wron.

Vatti ist nicht da

„Tuż przed wojną o biedzie i nędzy z czasów Wielkiego Kryzysu już nikt z nas nie pamiętał. Gospodarczo wszystko szło w górę, niemal w ogóle nie było bezrobotnych, zatrudniono ich przy budowie autostrad, pozwolono im także pracować poza krajem. Lokalni rzemieślnicy dostali dużo zleceń. O tym, że burmistrz musiał informować policję o sympatiach politycznych mieszkańców, dowiedziałem się dopiero, gdy wprowadzono obowiązek służby wojskowej, a Niemcy zaczęły się otwarcie zbroić”⁵.

– W szkole odbywały się apele, w czasie których wszyscy musieliśmy stać przez godzinę z ręką wyprostowaną w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Zwykle organizatorem tych uroczystości był pan Wendler, rzadziej inni nauczyciele.

W szkole mówiono nam także, że pod żadnym pozorem nie wolno nam jeździć na sankach główną drogą do Jannowitz.

– Jeszcze w czasie mojego pobierania nauki zaczęli przybywać do Kupferbergu pierwsi uciekinierzy ze Wschodu: pan Stolpe z rodziną, który mieszkał wcześniej w prowincji Posen, i pan Rose z żoną z rosyjskiej Ukrainy. Wszyscy oni mogli dużo nam opowiedzieć o prześladowaniach, które musieli znosić obywatele niemieccy w Polsce i Związku Radzieckim. Poza tym życie w Kupferbergu przed wybuchem II wojny światowej płynęło harmonijnie.

– Przez całe lata Wilhelm Ducksch, który prowadził u nas warsztat rymarski, ledwo wiązał koniec z końcem i wiele razy znajdował się na krawędzi bankructwa. W 1935 roku otrzymał duże zamówienia związane z rozbudową lotnictwa wojskowego. Pomieszczenia na strychu gospody

przestały wystarczać Duckschowi i musiał wyprowadzić całą produkcję do Petersdorfu. Tam rozwinął skrzydła, jednak jego doskonałych walizek i wyrobów ze skóry nikt już w Kupferbergu kupić nie mógł.

– W 1938 roku wielu młodych mężczyzn z Kupferbergu zostało powołanych do Wehrmachtu i wzięli oni udział w zajęciu Austrii, Sudetów i Czech. Rok później wszyscy mieliśmy wielką nadzieję, że marsz do Polski obejdzie się bez wojny. Nadzieje te okazały się jednak płonne.

Pierwszym mieszkańcem Kupferbergu, który poległ na polskim polu bitwy, był Alfons Müller, syn kantora Müllera. Im dłużej szalała wojna, tym rzadziej widzieliśmy młodych mężczyzn, tylko czasem przyjeżdżali do miasteczka na urlop. O tym, co się działo na froncie, jednak nie opowiadali.

– To była po prostu długotrwała nieobecność ojca. Wtedy się zaczęła, zresztą nigdy go już potem nie zobaczyłem, więc dla mnie wybuch wojny to było zniknięcie ojca i nic więcej. Nie wiedziałem nawet, dokąd on pojechał i co tam robi.

To była cała nasza wojna. Jej jedyną oznaką było to, że w miasteczku zostały same kobiety z dziećmi oraz starcy.

– Jeszcze przed wojną w Kupferbergu i okolicznych wsiach działało kilka organizacji młodzieżowych. Każda z nich miała nieco inny rodzaj mundurów. Im bliżej wojny, tym tych mundurów było mniej, a coraz więcej pojawiało się brunatnych koszul Hitlerjugend. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, żeby się na nazistów skarżyć. To z pewnością skończyłoby się wywiezieniem albo choćby pobiciem. Wszyscy siedzieli więc cicho.

– Byli w Kupferbergu ludzie, którzy wszystko widzieli w czarnych barwach, sądzili, że Hitler doprowadzi do wojny. Jaką oni mieli rację! Wraz z obowiązkiem służby wojskowej nadeszły pierwsze powołania. Później odbyły się przedłużone manewry jesienne. W zarządzie miasta atmosfera była coraz bardziej napięta, ponieważ urzędników nie przybywało, a pracy im narzuconej jak najbardziej. Teraz musieli oni wymagać od niektórych mieszkańców, by ci potwierdzili swoją aryjskość.

– Jedynym śladem wojny w miasteczku były wielkie problemy z zaopatrzeniem, zwłaszcza w żywność. Latem chodziliśmy po lasach, zbierając grzyby, jagody, a pod koniec wojny także lebiodę. Najbardziej

męczące były jednak nasze wyprawy po chleb. Byłem już wtedy nieco starszy, więc znosiłem je łatwiej niż inne dzieci. Za każdym razem jednak, gdy moja matka wysyłała mnie po chleb, oznaczało to cały dzień wędrówki od wsi do wsi. Należało najpierw wypytać o możliwość kupienia chleba w Kupferbergu. Gdy to okazywało się niemożliwe, szło się do Jannowitz. Tam zwykle dowiadywałem się, że chleb można kupić w Rohrlachu, do którego szło się wzdłuż Bobru cztery kilometry. Z Rohrlachu niekiedy trzeba było udać się do Fischbachu i dopiero tam udawało się kupić kilka bochenków. Z tym wszystkim musiałem wrócić do miasteczka. Zwykle na taką wyprawę potrzebowałem cały dzień.

– Przywożoną z papierni szlakę mieszałem z pokruszonymi cegłami i kamieniami i z takiej mieszanki formowałem pustaki, a z nich budowano na obrzeżach miasteczka trzy niewielkie domki. Te domki miały być przeznaczone dla uciekinierów, których przybycia spodziewano się w każdej chwili. Miałem kilka lat, gdy kazano mi pomagać przy tej pracy.

– To była moja ostatnia wizyta w schronisku Rosengarten przed wypędzeniem. Była jesień 1944 roku, gdy z przyjaciółką wybrałyśmy się tam na pieszą wędrówkę. Po drodze usiadłyśmy sobie pod drzewem, zjadłyśmy jabłka. Panowały spokój i cisza, nie było nawet najmniejszego powiewu wiatru. Po chwili przybiegła do nas łasica i przez kilka chwil mogłyśmy obserwować, jak zajmuje się, niezrażona naszą obecnością, swoimi sprawami. Potem ruszyłyśmy do domu. Patrząc na tonący w mroku Johannesdorf i górujący nad nim Kupferberg, Leni aż piszczała z zachwytu. Tak tam było pięknie, mówiła, że jeszcze nigdy nie widziała czegoś równie wspaniałego. Nigdyśmy już potem do Rosengarten nie poszły.

– Najładniejsze pokrzywy rosły nieopodal browaru pana Franzkiego. Dusiło się je pod przykryciem razem z czosnkiem, a niekiedy także z cebulką. Czasami udawało nam się zdobyć także kilka kartofli. Wówczas mamusia gotowała je, a następnie kroїła w plastry i rumieniła na płycie pieca. Zjadaliśmy je razem z tymi duszonymi pokrzywami i bardzo nam to wszystko smakowało. Pamiętam, że zawsze przy tego typu obiedzie obiecywałyśmy sobie, że następnym razem tak opieczono ziemniaki zjemy także z masłem. Nigdy nam się to jednak nie udało.

– Tuż za kościołem ewangelickim, na samym szczycie wzgórza, stanął na chwilę czołg Wehrmachtu. Żołnierze wysiedli z niego i powiedzieli, że każde dziecko, które przyniesie dwa jajka, będzie mogło przez chwilę posiedzieć w czołgu. Pobieglem do domu po jajka i udało mi się w tym czołgu siedzieć. To było na początku wojny.

– W czasie całej wojny nie słyszeliśmy w miasteczku ani jednego wystrzału. Niekiedy tylko zza gór dochodziły jakieś pomruki albo dudnienie, ale nasza matka mówiła wtedy, że najpewniej idzie burza.

Myśmy o tej wojnie po prostu nie wiedzieli. A potem zobaczyliśmy Rosjan i wszystko się zmieniło.

Nie zwlekaj, o Panie

Racz mnie wybawić, o Boże;
Panie, pośpiesz mi na pomoc!
Niech się zawstydzą i okryją rumieńcem ci,
którzy godzą na moje życie.
Niech się cofną okryci wstydem
ci, którzy z nieszczęść moich się weselą.
Niechaj odstąpią okryci hańbą,
którzy [mi] mówią: „Ha, ha”
Niech się radują i weselą w Tobie
wszyscy, co Ciebie szukają.
Niech zawsze mówią: „Bóg jest wielki!”
ci, którzy pragną Twojej pomocy.
Ja zaś ubogi jestem i nędzny,
Boże, szybko przyjdź mi z pomocą!
Tyś wspomóżyciel mój i wybawca:
nie zwlekaj, o Panie!⁶

Lato

Nie wychodzą przed domy, spoglądają zza zasłoniętych firanek. To nie jest niedowierzanie, na to jest już za późno. Być może to wstyd. Wstyd? Teraz? Życie pozornie toczy się swoim rytmem. Nikt nic nie mówi, wszyscy słuchają. Zaraz będą patrzeć. Nie uwierzą.

Słuchali już wtedy, gdy tamci szli od strony Jannowitz. Mocny, miarowy krok podkutych butów. Stukali nimi o bruk. Śpiewali piosenki. Nikt nie

spodziewał się tego, co zaraz się wydarzy. Gospodynie stały przy kuchniach (dochodziła pora obiadu), mężczyźni wracali z pracy, dzieciaki dokazywały na ulicach, upał skraplał się nad pięknym i zielonym Kupferbergiem. Jego nastoletni synowie postanowili jednak, że ten dzień wszyscy tutaj zapamiętają. A może to nie oni? Wymyśliliby to sami? Ktoś za nich wymyślił? Kto?

A więc idą, mijają dwa kamienne krzyże, na jednym: „Memento”, „Pamiętaj” Nie pamiętają. Patrzą w przyszłość. Idą. Jeszcze na nich ludzie przez chwilę patrzą, jeszcze nie zagarniają dzieci do domu. Zaraz to zrobią. Zatrzasną drzwi, staną w oknach. Będą patrzeć.

Tamci wchodzą do miasta, nie zwalniają kroku, mijają browar, potem gospodę, idą pod górę, wchodzą na rynek, mają pot na skroniach. Czarne spodniki, musztardowe koszule, chusty związane skórzanymi pierścieniami. Na ramionach opaski. Przy pasach noże.

Może sobie pójdą? Miną miasteczko i pomaszerują na pola, tam będą ćwiczyć formacje i rytm kroku? Może tylko zasalutują przy pomniku w rynku i rozejdą się do domów (ci z Jannowitz będą musieli wrócić sami, zbiegną beztrudno drogą albo pognają przez pola na brzeg rzeki, by kąpać się z wrzaskiem).

Zatrzymują się pod domem proboszcza, ustawiają w szeregu. Na środek wychodzi dowódca, ma w ręku megafon, blaszaną tubę, przez którą zaczyna mówić. Proboszcz jest w domu, ale nie wychodzi.

Słucha? Na pewno. Co słyszy?

Miasteczko zamiera. Stoją w oknach i patrzą albo idą do ogrodu, nie chcą nic widzieć. Ale słyszą. Głos dowódcy roznosi się po Dolnej, Górnej, Ogniowej, Szermierzy. Co jakiś czas słychać też skandowane przez grupę hasła. Stoją, krzyczą, trochę śpiewają. Jest upał, popołudnie, pachną bzy, kwitną krzewy, czereśnie zaraz będą dobre.

Nic więcej się nie dzieje. Mogliby rzucić kamieniem, podpalić, wyprowadzić księdza na zewnątrz. Uderzyć go w twarz.

„To niepodobna, by uderzyć księdza Rothera w twarz” – być może myślą ci, którzy stoją teraz w domach i zza firanek na to wszystko patrzą. Ale godzinę temu jeszcze myśleli, że to niepodobna przyjść pod budynek

plebanii, ustawić się w szeregu i przez megafon lżyć duchownego, nazwać go psem, złodziejem, darmozjadem.

„Naszego proboszcza Rothera? Tego, który wyremontował kościół i swoim terkoczącym samochodzikiem objeżdża wszystkie wsie parafii?” – myślą i kręcą głowami. Proboszcza wszyscy tu szanują. Szanowanej osoby się nie obraża, szanowanej osobie się kłania na ulicy, wpuszcza do domu, szura nogami.

Proboszcz Rother też myśli. Myślał już wcześniej, czasem coś głośno powiedział. Nigdy nie przychodzili. Spotykali się w Pod Czarnym Orłem. Robili pogadanki, puszczały filmy. Jak były filmy, były też tłumy. Przy pomniku bohaterów salutowali, nocami maszerowali z pochodniami, śpiewali, salutowali. Buty, noże, spodenki, podkolanówki, martwy wzrok, patrzą przed siebie, idą. Nigdy się nie zbliżali, zawsze przechodzili obok.

Teraz przyszli, stoją w równym szeregu. Są bracia Gläserowie, Kurt był kiedyś tamburmajorem w orkiestrze Towarzystwa Gimnastycznego, a Erich działał w Scharnhorstjugend. Teraz są tam. Nie ma już gimnastyków, nie ma Landjugend, nie ma skautów od świętego Jerzego. Są tylko musztardowe koszule i te noże. Jest partia, jest Hitlerjugend. Stoją, śpiewają, patrzą w okna. Wytrzymali jak rzemień, twardzi jak stal Kruppa (tak mawia o nich Führer). Widzą proboszcza? Nie widzą, ale dobrze wiedzą, że słyszy.

A proboszcz? Co czuje tego upalnego, letniego popołudnia roku 1936, kiedy po raz pierwszy w historii miasteczka drużyna Hitlerjugend staje pod jego oknami, a dowódca oddziału obraża go przez wielką, blaszaną tubę? Proboszcz Rother jest już starym człowiekiem i swoje widział. Czegoś takiego jednak jeszcze nigdy. Wie, że dziś w miasteczku coś się zmieniło, przekroczono linię i nikt, nawet ksiądz, nie wie, co będzie dalej, do czego jeszcze ci na zewnątrz będą w stanie się posunąć. Dziś nie wydarzyło się nic wielkiego, a jednocześnie stało się coś strasznego. Proboszcz czuje więc strach. Bestia przyszła, znów jest w miasteczku. Tak dawno jej tutaj nie było!

W ponurym szeregu stojącym przed plebanią rzeczywiście są bracia Gläserowie. Nie mogłoby ich nie być. Mniej chcą, bardziej muszą. W Kupferbergu nie ma Hitlerjugend, ale przynależność do organizacji jest coraz bardziej przymusowa. Zresztą innych organizacji dla młodzieży już nie ma. Dobrowolnie się rozwiązały. To oficjalna wersja. O nieoficjalnej raczej się nie mówi. Kurt i Erich zakładają więc swoje spodenki oraz musztardowe bluzy i maszerują drogą do Jannowitz na zbiórkę. Tego dnia również. Nie wiedzą jednak jeszcze, że do Kupferbergu przyjdzie im wrócić z tak haniebną misją. Czy gdy dowiadują się od dowódcy, co będzie ich zadaniem, oponują? Trudno to sobie wyobrazić, wiedzą, czym to grozi. Maszerują więc pod górę, starają się trzymać rytm kroków, śpiewają piosenki. Gdy wchodzi do miasteczka, Erich ma ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię. Pod plebanią stoi jednak wyprężony jak struna i posłusznie powtarza hasła i odezwy. W środku zwija się w kłębek. Proboszcza Rothera kocha, służył nawet kiedyś do mszy w jego kościele. Poza tym proboszcz nigdy nic złego nikomu nie zrobił. Erich zupełnie więc nie rozumie, dlaczego akurat od dziś ksiądz jest wrogiem. Gdy już to całe piekło się skończy, a Erich się zestarzeje, napisze w liście do przyjaciela, że nigdy wcześniej i nigdy później nie czuł takiego zażenowania i wstydu jak wtedy pod plebanią.

Zima

Zaczął się niewinnie. Tylko nieliczni w miasteczku twierdzili, że dojście Hitlera do władzy sprowadzi na całe Niemcy nieszczęście. Tego, że to nieszczęście rozleje się na niemal cały świat, nikt chyba w ogóle nie przeczuwał. Ludziom dość szybko zaczęło się żyć lepiej. Teraz przedsiębiorcy w Kupferbergu otrzymują rządowe zlecenia, wszyscy produkują na potrzeby armii. Także kamieniołom w Jannowitz, w którym pracuje całkiem spora grupa mieszkańców miasteczka, zwiększa wydobywanie. Mówi się, że kamienne bloki obrabiane w pracowniach kamieniarzy koło dworca kolejowego jadą do samego Berlina i tam

budowana z nich jest nowa kancelaria Führera. Bezrobotni zostają zatrudnieni przy robotach, które zleca państwo.

O latach biedy z czasów Wielkiego Kryzysu blisko siedmiuset mieszkańców Kupferbergu szybko zapomina.

Niepokojące pomruki docierają do miasteczka sporadycznie. Pierwsze zmiany zachodzą w zarządzie miasta. Znika funkcja burmistrza, pojawia się naczelnik miasta. Do jego nowych obowiązków należy meldowanie przedstawicielom partii o nastrojach i sympatiach politycznych wszystkich mieszkańców. Szczególnie istotne jest badanie nastrojów wśród robotników – czerwona zaraza to największe zagrożenie. Kryje się pod płaszczykiem związków zawodowych, by nagle przeobrazić się w anarchistyczne bojówki terrorystów, którzy chcą zburzyć wielkie dzieło Führera. Trzeba więc ich zniszczyć szybciej.

Zlikwidowane zostają szkoły parafialne, a dzieci mają obowiązek chodzenia do nowej szkoły ludowej. Znajduje się ona w siedzibie dawnej szkoły katolickiej, a prowadzi ją kantor Müller. Pewnego dnia przynosi na lekcję zupełnie nową flagę. Czarny pas oznacza naród niemiecki, biały – białą rasę aryjską, czerwony – narodowy socjalizm, tłumaczy. Flaga zawisnie w sali i będzie tu wisieć już zawsze. W przeciwieństwie do starej czarno-czerwono-żółtej, którą kantor wywieszał tylko w Święto Konstytucji. Od stycznia następnego roku każda lekcja będzie się zaczynała i kończyła nazistowskim pozdrowieniem – *Hitlergruss*.

Niemcy są teraz, jak mawia Rudolf Hess, „najnowocześniejszą demokracją świata opartą na zaufaniu większości”. Zaufaniu do Przywódcy. To zaufanie musi być odpowiednio potwierdzone, wśród nowych urzędniczych obowiązków jest też prowadzenie list i dokumentacji potwierdzającej aryjskość obywateli. Każdy z mieszkańców zielonego Kupferbergu musi stawić się na policji i wypełnić stosowne oświadczenie. Na jego podstawie zostanie mu wydany nowy dokument tożsamości. Jeśli będzie czystej krwi Aryjczykiem, dokument ten będzie miał kolor brązowy (niektórzy mówią, że brunatny). Jeśli w jego żyłach będzie płynąć choćby kropla krwi żydowskiej, jego dokument będzie miał kolor żółty, a on sam znajdzie się w specjalnym rejestrze Żydów.

Jesień

Na rok przed niesławnym apelem Hitlerjugend pod domem proboszcza Rothera w miasteczku pojawia się Hugo Ueberschaer, emerytowany porucznik policji z dalekiego, śląskiego miasteczka Pless. Postanawia wyjechać ze Śląska i zaszyć się w górach akurat w chwili, gdy w Niemczech wchodzi w życie tak zwane ustawy norymberskie. Ludzi już otwarcie dzieli się na tych lepszej i gorszej kategorii. Bestia szaleje. Partia najpierw pozbyła się wrogów politycznych, teraz zabrała się za wrogów rasowych. Być może Ueberschaer ma nadzieję, że tu bestia go nie dopadnie, że wielka historia o nim zapomni. A być może jest już na tyle zmęczony, że szuka po prostu cichego zakątka, w którym mógłby spędzić starość i umrzeć pogodzony z życiem. Tak czy inaczej w Kupferbergu znajduje, przynajmniej na początku, to, czego szukał. Wynajmuje piękny dom w rynku, pod numerem dwudziestym piątym, ten sam, który pięć wieków wcześniej wybudował kupiec Krün i skąd miał prowadzić tajemny korytarz aż na sam zamek Bolczów. W zaciszu prastarych murów Hugo Ueberschaer nie przesiaduje jednak zbyt często. Być może męczy go gwar miasteczka i niekończące się krzyki dzieciarni dobiegające z rynku. A może po prostu szuka samotności? Na obrzeżach miasteczka, przy starej drodze prowadzącej do Waltersdorfu, wynajduje zaniedbany domek myśliwski i postanawia go wyremontować. Sceneria, w której stoi chatka, jest wręcz bajeczna. By się tu dostać, trzeba wyjść z rynku, przejść obok cmentarza i szkoły, a następnie minąć kilka ostatnich domów. Teraz droga będzie się delikatnie wila zboczem góry. Po dziesięciominutowym spacerze Hugo Ueberschaer dotrze do swojej dość luksusowej pustelni.

Widok, który się stąd roztacza, mógłby zachwycić największego nawet malkontenta. Daleko w dole widać bowiem główną drogę do Waltersdorfu, gdy zaś patrzy się w tym kierunku i podniesie nieco wzrok, zobaczy się panoramę Gór Sokolich. Trudno byłoby znaleźć w okolicy bardziej urokliwe miejsce, choć tych przecież tu nie brakuje.

Sam domek jest drewniany, lecz stoi na kamiennej podmurówce. W środku znajdują się dwie duże izby oraz strych. Ueberschaer wstawia tu malowane na ludowo szafy, sprzęta i dokonuje drobnych napraw. Na strychu postanawia urządzić obszerną bibliotekę, sukcesywnie więc przenosi swoje zbiory z domu w miasteczku. Wkrótce okaże się, że miejsca na cały księgozbiór na strychu nie wystarczy, książki zalegają więc także na parterze.

Każdego ranka, bez względu na pogodę, wychodzi więc Hugo Ueberschaer z domu pod numerem dwudziestym piątym i pierwsze kroki kieruje do piekarni pana Fladego. Zachodzi też na chwilę do sklepu kupca Reimanna, by wreszcie wyruszyć w swoją codzienną wędrówkę. Idzie dostojnie, niespiesznie, lekko utykając. Z mieszkańcami Kupferbergu dość szybko się zaprzyjaźnił, teraz pozdrawia ich skinieniem głowy i uśmiechem, gdy ci wychylają się ze swoich sklepów, mówiąc: „Guten Tag, Herr Oberst” Tak, emerytowany policjant cieszy się szacunkiem i życzliwością sąsiadów.

Wśród tych, którzy z pewnym utęsknieniem wyczekują pojawienia się starszego pana na stromej uliczce, jest też mały Karl Heinz Friebe. Chłopiec ma trzy latka, gdy z miasteczka znikają niemal wszyscy mężczyźni, w tym jego ojciec. W Rzeszy zostaje właśnie przywrócona obowiązkowa służba wojskowa i Heinrich Friebe otrzymuje powołanie. W Kupferbergu zostają tylko dzieci, kobiety i starcy. Spośród nich Hugo Ueberschaer wyróżnia się powagą, dystynkcją i powszechnie wzbudzaną estymą. Z pewnością jest kimś, kogo można podziwiać. Mały Karl Heinz podziwia więc go całym sercem.

Wiosna

Rzesza jest wielka także dlatego, że właśnie powiększyła się o Austrię, która od teraz nazywa się Ostmark. Podobno ponad 99 procent Austriaków opowiedziało się za przyłączeniem do wielkiego dzieła Führera. Wśród tych, którzy wkraczają do Austrii, są też synowie Kupferbergu. W listach

donoszą, że cała operacja przebiegła pokojowo. Zatroskane kobiety mogą odetchnąć z ulgą.

Nie na długo. Pomruki zbliżającej się bestii słychać coraz wyraźniej, tym razem dobiegają z południa, zza gór. Jesienią od strony Breslau w kierunku sudeckich przełęczy ciągną kolumny wojska, które na sygnał Przywódcy mają ruszyć z pomocą Niemcom żyjącym w Czechosłowacji. W przygranicznych miasteczkach po tamtej stronie gór coraz częściej dochodzi do manifestacji, rozruchów i protestów, podczas których śpiewa się *Deutschland über alles* i pozdrawia *Hitlergruss*. 29 września przywódcy Europy podpisują dokument, który przejdzie do historii jako hańba monachijska, a do Sudetenlandu wkraczają niemieckie wojska. Bestia jest więc już za górami.

Właśnie – za górami. Wystarczy stanąć w którymkolwiek miejscu zielonego miasteczka, by przekonać się, że tutaj cały świat jest za górami. Można wejść na wzgórze Chaussiego i stamtąd podziwiać panoramę Gór Olbrzymich, Gór Sokolich i Gór Ołowianych. Wszystko, co ważne, dzieje się za nimi. Gdzieś za górami przestała istnieć Austria, za górami zdemontowano Czechosłowację, także *Reichskristallnacht* - Noc Kryształowa - spadła na świat za górami. W odległym o dwadzieścia kilometrów Hirschbergu 146 Żydów drży o swoje życie, gdy w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku płonie tam synagoga, niszczone są kirkuty i plądrowane są żydowskie sklepy. Synagogi płoną w niemal wszystkich miastach i miasteczkach – w Breslau, w Brückenbergu, Gottesbergu, Striegau, Trebnitz. W całej Rzeszy z ręki nazistów ginie dziewięćdziesięcioro jeden Żydów, trzydzieści tysięcy zostaje aresztowanych i trafia do obozów, o których istnieniu nikt otwarcie nie mówi. Ale one już działają.

W Kupferbergu Żydów prawie nie ma. Są jednak tacy, którzy muszą tłumaczyć się ze swoich żydowskich przodków. Pół-Żydzi, ćwierć-Żydzi. Wśród nich jest aptekarz Haenisch. Za częściowo żydowską krew przyjdzie zapłacić jemu i jego synom. Pamiętnej nocy mieszkańcy miasteczka śpią jednak jeszcze snem sprawiedliwych. Wielka historia dzieje się za górami.

O tym wszystkim jednak Karl Heinz Friebe nie ma zielonego pojęcia i mimo iż gdzieś tam daleko bestia właśnie zaczyna ziać furia, on martwi się tylko tym, czy zobaczy dziś oberstleutnanta Ueberschaera maszerującego do swojej pustelni. Wypatruje go też, tak jak każdego innego dnia, 1 września 1939 roku. Ani on, ani stary policjant, ani piekarz Flabe czy kupiec Reimann, ani nawet mama małego Karla Heinza nie mają pojęcia, że dzień ten to początek ich dramatu i pierwszy początek końca zielonego Kupferbergu. Bo tych początków końca będzie jeszcze kilka.

Jesień

Znikają kierownik szkoły, pan Ewald Nieke, oraz kantor Woike. Ich miejsce zajmuje pan Wendler, który ze szczególnym upodobaniem prowadzi ćwiczenia sportowe w sali gimnastycznej na strychu szkoły. Podłoga jest tam wyłożona parkietem, uczestniczyć w zajęciach mogą więc tylko te dzieci, które mają sportowe obuwie. W klasie Karla Heinza Friebego nie wszystkie dzieci w ogóle mają buty, większość zajęć gimnastycznych odbywają więc w najlepszym wypadku w skarpetkach. Dzieci nie bardzo lubią pana Wendlera, także dlatego, że z o wiele większym zapałem niż jego poprzednicy organizuje apele, w czasie których trzeba trzymać rękę wyciągniętą w kierunku flagi Rzeszy.

Tej jesieni do miasteczka przyjeżdżają żołnierze i demontują dzwony z wieży katolickiego kościoła oraz mechanizm zegarowy. Wskazówki zatrzymują się w nim na zawsze i już nigdy nie ruszą. Karl Heinz przygląda się temu z zaciekawieniem, pan Wendler wyjaśni mu potem na lekcji, że wszystko to zostanie przetopione na niemieckie działa.

Zegar tak naprawdę nie jest potrzebny – odkąd wybuchła wojna, ludzie odmierzają tu czas w inny sposób. Rytm ich dni jest wyznaczany przez pojawienie się w miasteczku Idy Klein, listonoszki. Choć wygląda niepozornie, Ida budzi jednocześnie trwogę oraz nadzieję. Nigdy bowiem nie wiadomo, co ma w torbie, do kogo dziś przyjdą listy i co w tych listach będzie. Być może kolejne wieści od synów i ojców, wtedy jest radość

i sprawdzanie, kiedy listy zostały wysłane. Niekiedy listów nie ma i wtedy jest niepokój, ale też tłumaczenie sobie, że to przecież jeszcze nic nie znaczy. Są jednak też listy od dowódców. Tych kobiety z Kupferbergu boją się najbardziej. Do Rüfferów spod jedenastki takie listy przychodzą pięć razy, do Seifertów, Schmidtów i rodziny Kriese Ida Klein puka trzy, a do Fischerów oraz państwa Rose – dwa razy. Jesienią 1941 roku Ida Klein puka także do domu państwa Friebe. List, który przynosi, zawiera krótką informację, że umiłowany ojciec i mąż Heinrich oddał swoje życie za ojczyznę. Oddał w Związku Radzieckim, bo akurat tam wezwała go ojczyzna i jej Przywódca. Rzesza będzie mu za to wdzięczna na wieki.

Karl Heinz nie wie, że właśnie skończyło się jego dzieciństwo. Śmierć ojca to część większego planu Przywódcy. Teraz dzielny naród niemiecki toczyć będzie bój także na Wschodzie, a największym wrogiem stanie się Związek Radziecki. Ciężar tego wysiłku, który podjęto latem 1941 roku, spada jednak także na barki mieszkańców Kupferbergu. Nie tylko dlatego że wielu z nich (Fischer, Friebe, Kriese, Hain, Hartmann, Kosmaly, bracia Rose, bracia Schmidowie, młodszy Rüffer, Seifert) straci tam życie. Wraz z otwarciem wojny na Wschodzie zaczynają się w Kupferbergu problemy z zaopatrzeniem. W większości śląskich miasteczek, takich jak to, pojawiają się też uciekinierzy z coraz częściej bombardowanych przez aliantów niemieckich miast. Bombowce nie docierają jednak na Śląsk, ten jest poza ich zasięgiem, przynajmniej na razie, jest tu więc całkiem bezpiecznie. Ale też coraz biedniej.

Karl Heinz Friebe jest teraz jedynym mężczyzną w rodzinie i powierzone mu zostaje niezwykle ważne zadanie. Jest nim zdobywanie mleka. Aby z tego obowiązku się wywiązać, co kilka dni chłopiec wstaje jeszcze przed świtem i wyrusza do Jannowitz. Tam bez większych nadziei robi rozeznanie wśród miejscowych gospodarzy. Zwykle nie przynosi ono oczekiwanego rezultatu i mały Karl musi pomaszerować dalej, przez Rosenbaude aż do Seiffersdorfu. Dla siedmiolatka to prawie dwugodzinna droga przez góry. Wysiłek ten nie zawsze się opłaca, bo Seiffersdorf cierpi na niedobór mleka i innych produktów, tak jak i Kupferberg. A to oznacza, że mały Karl Heinz musi pomaszerować do Kauffungu. Tam będzie tak zmęczony, że już

swoim mizernym wyglądem zmiękczy serce jakiegoś gospodarza, który sprzeda mu trochę mleka. Stąd do Kupferbergu będzie miał dziesięć kilometrów marszu. Gdy uda mu się złapać samochód jadący w kierunku domu, dotrze tam przed zmierzchem. Nie zawsze jest to jednak możliwe. Te wyprawy są szczególnie uciążliwe zimą, gdy Karl Heinz w poszukiwaniu mleka musi brnąć w głębokim śniegu. Tyle dobrego, że do Jannowitz może wtedy zjechać na sankach i z tej odrobiny szaleństwa oraz radości korzysta skwapliwie. Wybiera do tego starą drogę, ta główna biegnąca obok browaru i dwóch kamiennych krzyży jest dla saneczkarzy zamknięta. Jeździć nią mogą tylko samochody, ale tych nie ma zbyt wiele (coraz częściej brakuje paliwa), więc pozostaje pusta. W każdej chwili może więc tamtędy przejechać kolumna wojska.

Wiosna

Znika pan Wendler. Jego miejsce zajmuje młodziutka pani Franzky. Mieszka w żółtej dwupiętrowej willi nieopodal browaru i jest córką jego właściciela, starego Georga Franzkiego. Niedawno zdała maturę, ale w całym miasteczku rąk do pracy brakuje, więc to właśnie jej powierzono naukę dzieci. Wszyscy tę decyzję przyjmują z radością, rodzina Franzkich cieszy się w Kupferbergu wielkim szacunkiem, a pan Wendler nigdy nie był tu lubiany. Ciepło będzie się o nim myśleć dopiero wówczas, gdy za dwa lata padnie zabity gdzieś na granicy węgiersko-rumuńskiej.

Gisela! Gisela Franzky! Karl Heinz Friebe kocha ją miłością tak wielką, jak wielka może być miłość siedmiolatka do nauczycielki. Dla Giseli mały Karl robi absolutnie wszystko, wieczorami ślęczy nad książką w nadziei, że następnego dnia w brązowych oczach dostrzeże uznanie, a być może i pochwałę. Po szkole mały Karl Heinz chowa się w krzakach i czeka, aż Gisela wyjdzie ze szkoły. Młoda nauczycielka traci wtedy całą powagę i surowość, do zachowywania których zmuszona jest przed dziećmi. Rozgląda się bacznie, czy nikt jej nie widzi, a następnie robi to, czego sama

zabrania swoim uczniom – przeciska się pod płotem i pędzi na skróty przez łąkę do domu.

Jednego dnia, gdy chłopiec swoim zwyczajem kryje się w krzakach nieopodal cmentarza (stąd ma najlepszy widok na szkołę i łąkę), zamiast Giseli dostrzega czarny samochód stojący przy drodze i dwóch żołnierzy z dziwnymi trzeszczącymi aparatami, którzy chodzą jakby bez celu wokół tego, co zostało z szybu Adler. Karl Heinz Friebe postanawia nie opuszczać swojej kryjówki. Gdyby wiedział, na co patrzy, patrzyłby zapewne jeszcze uważniej. Ale nie wie. Dowie się po latach, ale wtedy już będzie na wszystko za późno...

Ze swojej obserwacji postanawia się jednak zwierzyć babci. Ta mieszka na ulicy Górnej, zaraz obok kościoła ewangelickiego. Chłopiec lubi tam chodzić, często nadkłada drogi, by przejść w lekkim onieśmieleniu aleją szwedzkich jarzębów, która prowadzi do wrót kościoła. Gdy babcia chłopca dowiaduje się, co widział, kładzie tylko palec na ustach. Lepiej nie widzieć, lepiej nie wiedzieć.

Lato

Znika proboszcz Rother. Ktoś usłyszał z plebanii sygnał brytyjskiej stacji BBC. A może wcale nie usłyszał, a tylko chciał się wykazać? Albo musiał? Bez względu na to, gdy pod plebanią parkuje samochód gestapo, wszyscy się domyślają, że już nigdy proboszcza Rothera nie zobaczą.

Kilka miesięcy po tym wydarzeniu Gisela Franzky pojawia się w szkole zapłakana. Karlowi szybko udaje się dowiedzieć, co jest powodem dramatu, wieści rozchodzą się tu nad wyraz szybko. Miasteczko jest małe, ludzie patrzą na siebie podejrzliwie, władza ma tu wszystkich na oku. Wszyscy wszystko wiedzą. Zwłaszcza o tych, którzy już wcześniej zdążyli znaleźć się w kręgu podejrzeń. Wraz z kolejnymi porażkami niepokonanej dotąd Rzeszy w miasteczku daje się wyczuć pewną nerwowość. Z oficjalnego radia nadal można się dowiedzieć, że Niemcy się nie wycofują, a jedynie przegrupowują na z góry upatrzone i dogodniejsze do wyprowadzenia

kontrataku pozycje. Ci, którzy mają tyle odwagi, by słuchać po kryjomu *feindsenderów* – audycji nadawanych przez aliantów – wiedzą jednak, że sytuacja Rzeszy staje się coraz bardziej opłakana. Wśród nich jest stary Georg Franzky. Niewiara w propagandę Goebbelsa sporo go jednak kosztuje, zostaje bowiem przyłapany przez gestapo na słuchaniu szwajcarskiego radia i wywieziony do Hirschbergu. To właśnie jest powodem rozpaczki Giseli. W czasie przesłuchań Georg Franzky zostaje ciężko pobity, po szybkim procesie otrzymuje karę osiemnastu miesięcy ciężkiego więzienia. Gisela, jak i wszyscy inni mieszkańcy miasteczka, wie, że ten wyrok może być równoznaczny z dożywociem. „Radiowi przestępcy” to wrogowie narodu, a tych państwo tępi z całą surowością. Kupferberg jest wstrząśnięty. Skoro zabrali proboszcza i pana Franzkiego, już absolutnie nikt nie może czuć się w miasteczku bezpieczny.

Bezpiecznie na pewno nie czuje się też aptekarz Kurt Haenisch, pół-Żyd, który jako jeden z nielicznych legitymuje się w miasteczku żółtym dowodem osobistym. Co chwila spotykają go nieprzyjemności ze strony członków partii. Gdyby w mieście była jeszcze jedna apteka, jego rodzina zostałaby zapewne wypędzona stąd jeszcze przed 1939 rokiem. Pragmatyzm, a być może także osobiste układy i sympatie, biorą górę nad ideologią. Żydowskie korzenie Haenischów nie przeszkadzają jednak wcielić dwóch synów aptekarza do Volksturm, ostatniego zaciągu niemieckiej armii, prawdziwego pospolitego ruszenia zorganizowanego z elementu „ostatniej kategorii”. Starszy z chłopców, Ulrich, bezgranicznie uwierzy Führerowi. Gdy przyjeżdża do miasteczka na krótkie urlopy z frontu, wita ojca hitlerowskim pozdrowieniem. Być może gorliwość Ulricha w okazywaniu miłości Hitlerowi przynosi rodzinie Haenischów ocalenie.

Zima

Sytuacja za górami jest coraz gorsza. Jeszcze w 1944 roku radziecka kontrofensywa dotarła do Wisły i tam się zatrzymała. Nie na długo jednak.

12 stycznia 1945 roku o piątej rano nad Wisłą zaczynają grać „organy Stalina” Tysiące rakiet wystrzeliwanych z katuszy dają sygnał do ofensywy Armii Czerwonej, która zatrzyma się dopiero w Berlinie. W ciągu kilku dni w najdalej na wschód wysuniętych prowincjach Rzeszy wybucha panika. Już od połowy stycznia z Górnego Śląska na zachód ciągną setki tysięcy uciekinierów, głównie kobiet i dzieci. 20 stycznia w całym Breslau rozlegają się komunikaty nakazujące ludności cywilnej natychmiastowe opuszczenie miasta. Na ulicach rozgrywają się dantejskie sceny. Nie dla wszystkich wystarcza miejsca w pociągach, tysiące ludzi wyruszają więc w drogę pieszo przy dwudziestostopniowym mrozie.

Wśród tych uciekinierów jest też Helena Szczepańska. Ma osiem lat i jest najmłodsza z pięciorga rodzeństwa. Do tej pory, razem z matką, mieszkali w Niklasfähre, na granicy Dolnego i Górnego Śląska. Dzięki niemieckim korzeniom, a mimo de facto polskiego pochodzenia, zostają ewakuowani wraz z innymi Niemcami. Na jeden dzień zatrzymują się jeszcze w Schurgaście, potem przez blisko dwa tygodnie idą pieszo. Na zachód. 1 lutego 1945 roku docierają do niewielkiego miasteczka na szczycie wzgórza – Kupferbergu. Helena zapamięta to miejsce bardzo dobrze, w czasie całej swojej blisko trzytygodniowej tułaczki po Śląsku tylko w Kupferbergu udaje się jej i rodzinie spać w ogrzewanym budynku. Wszędzie indziej śpią w stodołach, szopach, piwnicach i Bóg wie gdzie jeszcze.

Od początku 1945 roku w gospodzie Pod Czarnym Orłem działa punkt, w którym wydawane są gorące posiłki oraz herbata dla uchodźców ze Wschodu. Dość szybko liczba mieszkańców miasteczka wzrasta do blisko tysiąca. Władze szacują, że w okolicy Hirschbergu jest prawie dwadzieścia tysięcy uciekinierów. Przyglądając im się, Karl Heinz Friebe zastanawia się, czy przyjdzie mu, wraz z matką i młodszą siostrzyczką, podzielić ich los. Od kilku miesięcy nie opuszcza go uczucie głodu, powoli kończą się też zapasy zrobione latem. O chleb, mleko czy cukier jest coraz trudniej. Władze wydały co prawda kartki żywnościowe, jednak nie ma z nich żadnego pożytku, bo wykupienie za nie czegokolwiek graniczy z cudem.

Wśród mieszkańców miasteczka i uchodźców powszechna jest opinia, że nawet tułaczka na siarczystym mrozie jest lepsza niż dostanie się w łapy komunistów. Ludzie mają w pamięci filmy i zdjęcia, jakie niemieccy żołnierze zrobili jesienią 1944 roku w wiosce Nemmersdorf w Prusach Wschodnich, zaraz po tym, jak po zażartej walce odzyskali ją z rąk radzieckich. Jeden z żołnierzy, który wkraczał do Nemmersdorfu, tak relacjonował na łamach niemieckiej prasy to, co zobaczył: „Przy pierwszej zagrodzie na lewo od drogi stał drabiniasty wóz. Do niego zostały przybite za ręce, w pozycji ukrzyżowanej cztery nagie kobiety. Na drzwiach stodoły przybito dwie nagie kobiety, również w pozycji ukrzyżowanej. W mieszkaniach znaleźliśmy w sumie siedemdziesiąt kobiet i dzieci oraz jednego starego mężczyznę w wieku siedemdziesięciu czterech lat. Wszyscy byli martwi. Widać było, że torturowano ich w bestialski sposób, z wyjątkiem kilkorga, których zabito strzałem w potylicę. Wśród zabitych były nawet niemowlęta ze strzaskanymi czaszkami. Wszystkie kobiety, także dziewczynki w wieku ośmiu-dwunastu lat nosiły na ciele ślady gwałtu. Nie oszczędzono nawet niewidomej staruszki”.

Nic więc dziwnego, że na wieść o zbliżających się Rosjanach w ludziach uruchamia się potrzeba ucieczki. Ci, którzy już uciekać nie mogą, decydują się na samobójstwo. W wioskach i miasteczkach Rzeszy takich przypadków są setki. Wieszają się całe wsie i przysiółki. Wieszają się całymi rodzinami, matki uśmiercają swoje dzieci, a potem same odbierają sobie życie. Nie wiedzą, że choć Armia Czerwona dopuściła się w Nemmersdorfie i innych miejscowościach niewyobrażalnych zbrodni, to opisy, które przytacza niemiecka propaganda, są mocno przesadzone. Władzy chodzi o to, by wzbudzić w narodzie paniczny lęk przez dzikimi hordami z Azji. Z hordą się nie pertraktuje, z hordą się walczy aż do ostatniej kropli krwi, bo dostanie się w ręce barbarzyńcy ze Wschodu jest gorsze niż śmierć.

Gdy na początku lutego rozpoczyna się regularne oblężenie Breslau, w Kupferbergu zapada decyzja o ewakuacji. Karl Heinz Friebe ubiera się ciepło i dba, by równie ciepło ubrana była jego siostrzyczka. Na zewnątrz szaleje zamieć. Zabierają z domu resztki żywności i najpotrzebniejsze rzeczy, nie wiedząc, dokąd jadą. Sprzątają w mieszkaniu, zamykają drzwi na

klucz, klucz wkładają do kieszeni. Pierwszy odcinek drogi znają doskonale. Trzeba wyjść z domu, minąć browar, a potem dwa kamienne krzyże, które o tej porze roku ledwo wystają ze śnieżnej zasy. Droga w dół schodzą do Jannowitz. Gdyby nie wojna, wsiedliby tutaj w pociąg i pojechali, gdzie dusza zapragnie. Na stacji ze zdumieniem jednak odkrywają, że pociągi nie zatrzymują się tu, a jedynie nieco zwalniają, by po chwili znów popędzić na południe. Sprzed budynku dworca zniknęła też fontanna, teraz w jej miejscu jest głęboki lej, a ściany okolicznych domów poorane są seriami z karabinów maszynowych. Karl Heine Friebe patrzy na to wszystko i nie rozumie, jaką rolę w toczącej się za górami wojnie odgrywała mała fontanna w Jannowitz.

Uciekinierzy nie wsiadają do pociągu, ale do czekających tu na nich wojskowych ciężarówek. Następných kilka godzin spędzają przytuleni do siebie, próbując wytrzymać zabójczy ziąb, który wdziera się do środka płóciennej budy. W końcu, na krótko przed zmierzchem, docierają do Gablonzu i zostają zakwaterowani w sali gimnastycznej tutejszej szkoły. Przez ponad tydzień każdego ranka będą pakować dobytek i czekać na wyjazd ich transportu na zachód. Kierunek jest im znany, wszyscy mówią o tym, że teraz bezpiecznie nie jest już nigdzie, ale najmniej niebezpiecznie jest w Dresden. To właśnie tam kierowana jest większość pociągów i kolumn ze Śląska.

Czekają więc cierpliwie. Z sali gimnastycznej, w której przyszło im mieszkać, co rusz znikają kolejne rodziny, na ich miejsce przybywają nowe. Przez Gablonz przetacza się spora część z blisko sześciuset tysięcy śląskich uciekinierów. Ci, którzy stanęli oko w oko z czerwonoarmistami, opowiadają przerażające historie. Jeden z uciekinierów zapisze potem w swoich pamiętnikach:

Strach wyolbrzymiały przerażające wieści. Opowiadano o krew mrozących w żyłach mordach starców i mężczyzn, o gwałceniu kobiet bez różnicy wieku, o obcinaniu piersi matkom karmiącym, o wypruwaniu łon kobiet ciężarnych i wydzieraniu stąd płodu jeszcze niezrodzonego, o wypełnianiu wnętrza głębokich studzien ciałami żywych ludzi, o wykłuwaniu bagnetami oczu, o obcinaniu języków, o paleniu żywcem gromad niemieckich w stodołach lub domach, o pędzeniu wziętych landszturmowców do niewoli przed nacierającymi z tyłu potężnymi

czołgami lub ciężarowymi samochodami i o wielu innych, jeżdżących włosy na głowie historiach.⁷

Tak, wobec wszystkich okropieństw, o jakich mówi się w sali gimnastycznej szkoły ludowej w Gablonzu, myśl o ucieczce do Dresden wydaje się prawdziwym ukojeniem.

W końcu przychodzi ich pora. Wyruszają 13 lutego w południe. Do pokonania mają niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów. Pociąg, do którego wsiadają, co chwila się jednak zatrzymuje, bo w powietrzu krążą już radzieckie samoloty i istnieje niebezpieczeństwo, że zbombardują tory. Ale uciekinierzy jadą. Gdzieś tam, za sobą zostawiają Kupferberg i strach. Na zachodzie ma być bezpieczniej. Oddalają się od domu, ale też od zagrożenia. Dresden jest już blisko, na wyciągnięcie ręki. Gdy zapada zmrok, cały skład zatrzymuje się jednak na dobre, gasną światła, wszystko pogrąża się w ciemności. W powietrzu słychać narastające, przeraźliwe buczenie, jakby gigantyczny rój pszczoł zbudził się z zimowego snu. Karl Heinz Friebe przystawia nos do zaszronionej szyby pociągu. Inni pasażerowie robią to samo. Patrzą w niebo. Nic jednak nie dostrzegają. Po chwili daleko na zachodzie widzą pierwsze błyski. Jeden, drugi, trzeci. Wkrótce nie będą już w stanie ich zliczyć, błyski zamienią się w złotą poświatę zajmującą niemal cały horyzont. Z oddali dobiega dudnienie, na tyle jednak przytłumione, że w pociągu nadal słychać płacz dzieci. Słychać byłoby także przyciszone rozmowy, ale tutaj nikt nie mówi. Wszyscy stoją i patrzą. Jest noc 13 lutego 1945 roku i kilkaset alianckich samolotów dokonuje właśnie dywanowego bombardowania Drezna, które w ciągu następnych dwóch dni zamieni to miasto w stertę gruzów i pochłonie życie dwudziestu pięciu tysięcy ludzi. Wśród nich będą też ci, którym udało się wsiąść do wcześniejszych pociągów wyruszających z Gablonzu. Ten, z którego Karl Heinz Friebe przygląda się łunie na zachodzie, został zatrzymany jako jeden z ostatnich, piętnaście kilometrów przed miastem.

A zatem nie Dresden, tego miasta już nie ma. Więc dokąd? Breslau obleżone, tak jak Posen, Thorn, Danzig, Königsberg. Ruszają na południe, powoli, znów Gablonz, chaos na stacji, płacz. Nie wysiadają tu, pociąg gdzieś pojedzie, pociąg to ruch, pociąg ich stąd zabierze. Przez kilka

następnych dni są w drodze, Karl Heinz Friebe traci rachubę, jest głodny i jest mu zimno. W pociągu panuje cisza. Są w Czechach, docierają aż pod granicę z tym, co kiedyś było Austrią. Nagle alarm, na niebie radzieckie samoloty, ludzie wybiegają na zewnątrz. Jest zima, śnieg, w oddali jakieś miasto. Biegną, samoloty są coraz bliżej. Karl trzyma siostrzyczkę za jedną rękę, a matkę za drugą. Najbardziej boi się tego, że puści którąś z nich.

Samoloty krążą nisko nad nimi i prują seriami z karabinów maszynowych. Najpierw strzelają w pociąg, potem zawracają i nadlatują nad miasto. Ludzie pierzchają we wszystkie strony. Dobiegają do pierwszych domów – tu są mury, piwnice, tam można się schować! Nie można. Całe miasto zamyka przed nimi drzwi. Nikt nie wpuszcza ich do środka. Można walić pięścią, można krzyczeć i płakać. Nie wejdą. Mogą tylko leżeć skuleni pod murem i marzyć o tym, że samolot będzie strzelał do tych, którzy leżą na środku ulicy. Gdy odleci, dorośli zabiorą stąd dzieci, a trupy ułożą się w jednym miejscu. Pociąg będzie mógł ruszyć dalej.

Jeżdżą tak trzy tygodnie – Czechy, Sudetenland, Schlesien. W końcu, na początku marca, docierają do Hirschbergu. Tutaj spotykają też tych, którzy przeżyli bombardowanie Dresden. Nie chcą słuchać ich opowieści, ruszają w góry – wracają do domu. Lomnitz, Schildau, Boberstein, Rohrlach, Jannowitz. Po drodze Karl Heinz pyta gospodarzy, czy mają może trochę mleka na sprzedaż. W końcu dwa kamienne krzyże, budynek browaru, klucz z kieszeni. Dom.

Wiosna

W okolicy pojawiają się kolumny szkieletów. To ewakuacja filii obozu Gross-Rosen. Wyruszają z Landshut (po jednym dniu drogi zawrócą, a esesmani wpadną w furję), z Hirschbergu, z Bad Warnbrunn. W Bolkenhainie najpierw zostanie przeprowadzona selekcja. Jeden z więźniów tego obozu zezna później, że widział, jak do dołu z wapnem wrzucani byli żywi ludzie, a lägerführer osobiście uśmiercał niektórych zastrzykami z trucizną.

Kupferberg jest nie po drodze, być może, gdyby ewakuowany był obóz żeński w Märzdorfie, czterysta kobiet przeszłoby przez miasteczko w ponurym pochodzie. Ale akurat ta filia działa do końca. Wyzwolą ją dopiero Rosjanie.

Bolkenhain znajduje się dwadzieścia dwa kilometry od Kupferbergu, Hirschberg niewiele bliżej, do Landeshut jest osiemnaście kilometrów, a do Märzdorfu zaledwie dziesięć. To już nie jest za górami. To jest tutaj.

Tutaj są też inne obozy, niewielkie zakłady, pojedyncze gospodarstwa, w których pracują Francuzi, Belgowie i Polacy. Przywożono ich tu przez całą wojnę. Mieli pracować dla Rzeszy i cieszyć się, że żyją. Teraz mówi się, że oni najbardziej czekają na Rosjan. Będą wskazywać tych, którzy byli najgorsi.

Znikają także naziści. Pewnej nocy w popłochu pakują ciężarówkę, zabierają wszystkie dokumenty i wyruszają z Kupferbergu w kierunku Czech. Jest wśród nich naczelnik miasta, są członkowie NSDAP. Wrócą przetrzebieni po paru dniach, bez ciężarówki, obdarci i zrezygnowani. Pierścień okrążenia już dawno się zamknął. Nie ma ucieczki, można tylko czekać.

Dudnienie słychać już z każdej strony, na niebie coraz częściej pojawiają się samoloty. Odkąd wiadomo, że Rosjanie zdobyli niemieckie lotniska, nikt już nie patrzy na emblematy na ich skrzydłach, wszyscy schodzą po prostu do piwnic i czekają. Na Kupferberg nie spada jednak ani jedna bomba. Jeden z samolotów zostaje strącony i spada na most kolejowy tuż za Jannowitz. A więc i ta droga do Hirschbergu jest już odcięta. Mieszkańców miasteczka co chwilę na nogi podrywa informacja, że idą Rosjanie. Do widma Nemmersdorfu dołącza kolejne. Na przełomie lutego i marca Niemcom udaje się odbić wcześniej zdobyty przez Rosjan Striegau. Ulice są tu zasłane trupami cywilów, którzy nie zdążyli się ewakuować.

Helena Plüschke, jedna z mieszanek Striegau, tak wspomni potem wkroczenie Rosjan do miasta:

Do domu wpada rosyjski patrol. Wyganiają kobiety i dziewczyny. Wyłapują je tak ulica po ulicy i gnają do szkoły. A tu istne piekło! Koszmara ciągle kołaczą mi się po

głowie: pijani żołnierze, w jednej ręce broń, w drugiej pochodnia i - na łowy. Najważniejsza zdobycz to niemiecka kobieta.

W pomieszczeniach szkoły całymi dniami przetrzymywane są kobiety ze Striegau i okolic. Więzione, dręczone. W przepelnionych salach prześladowcy wybierają swe ofiary. Jeśli któraś się opiera, ciągną ją korytarzem za włosy aż do „rzeźni”. W odstępie dwóch, trzech godzin pojawia się specjalna ekipa i wybiera kobiety na kwatery oficerskie [...]. Te, które stamtąd wracają, to psychiczne, a czasem i fizyczne wraki. Po raz kolejny i ja jestem ofiarą. Na szczęście udaje mi się ochronić moją jedenastoletnią córkę. Zawijam ją w stare szmaty i ukrywam za jakimś stosem rupieci. Tortury rozpoczynają się od pytania, czy jestem nazistką. Odpowiedzią na moje „nie” jest silne uderzenie w twarz i ciosy pejczem. Przystawiają mi pistolet i zmuszają do picia wódki.

Jak na ironię, jest to niemiecka żytniówka. Nie trwa to długo i ogarnia mnie alkoholowe zamroczenie. Co ze mną robili, czuję dopiero następnego dnia. Straciłam już całkiem wolę i jestem wykończona. Parę razy wymiotuję, a potem leżę apatycznie pośród innych kobiet, które spotkał ten sam los.

W związku z ucieczką nazistów burmistrzem (nie wie, że ostatnim w historii Kupferbergu) zostaje Richard Fürle. Gdy 30 kwietnia do mieszkańców miasteczka dociera informacja o śmierci Hitlera, w gospodzie Pod Czarnym Orłem odbywa się zebranie mieszkańców. Burmistrz apeluje, by do końca wojny zachować rozsądek i spokój, znosi też obowiązek pozdrawiania się mieszkańców *Hitlergruss*. Gdy wraca do urzędu, czeka już tam na niego oficer stacjonującego akurat w Kupferbergu oddziału Waffen SS. Fürle zostaje oskarżony o zdradę. Oficer kładzie na jego biurku pistolet.

– Myślę, że powinien pan sam wymierzyć sobie sprawiedliwość. W przeciwnym wypadku ja będę zmuszony to zrobić.

– Jeśli tylko urzeczywistni pan swój zamiar, z pewnością nie wyjdzie pan stąd żywy – pada odpowiedź burmistrza.

Oficer wygląda przez okno. Przed urzędem zdążył się zebrać całkiem spory tłum mieszkańców. Po chwili milczenia zabiera pistolet ze stołu i wychodzi. Wkrótce esesmani opuszczają Kupferberg.

9 maja około godziny siedemnastej do Hirschbergu wjeżdża pierwszy rosyjski patrol motocyklowy. Zostaje ostrzelany przez jedyny w mieście posterunek SS i to właściwie wszystkie strzały, jakie padają w obronie

miasta. Tego samego dnia Karl Heinz Friebe, idąc drogą w kierunku Rudelstadtu, dostrzega pierwszego radzieckiego żołnierza. Chłopiec staje jak wryty, żołnierz zrobiłby pewnie to samo, gdyby nie był kompletnie pijany i ledwo trzymał się na nogach. A więc już są! Karl rusza biegiem w kierunku miasteczka i modli się, by tamten nie strzelił. Po chwili wszyscy mieszkańcy Kupferbergu siedzą w piwnicach i drżą ze strachu. Będą tak siedzieć prawie dobę, bo Rosjanie wkraczają dopiero następnego dnia. Nadjeżdżają czołgami drogą od strony Rudelstadtu i Märzdorfu. Z domu na zakręcie, tuż obok browaru wyrzucają mieszkańców. Tam zakładają komendanturę. Wszyscy Niemcy mają tam zdać posiadaną broń oraz odbiorniki radiowe. Widmo Nemmersdorfu zbiera swoje pierwsze żniwo. W piwnicy gospody Pod Czarnym Orłem wieszają się pierwsza młoda kobieta.

Lato-jesień

Jeśli tylko trzeba wyjść z domu, robi to teraz mały Karl Heinz Friebe. On jest w miarę bezpieczny – jest małym chłopcem. Z powodu gwałtów w Kupferbergu powiesiło się już kilka kolejnych kobiet. W przysiółku Kreuzwiese, odległym od miasteczka o kilka minut drogi, Rosjanie wpadli do domu pewnej chłopki i gwałcili ją tak długo, aż umarła z wycieńczenia. Kobiety nie wychodzą na zewnątrz, okrywają głowy chustami, starają się nie rzucać w oczy.

Tak naprawdę nikt nie jest bezpieczny. Rosjanie przychodzą do apteki Kurta Haenischa i domagają się spirytusu z jego laboratorium. Aptekarz odmawia, tłumaczy, że bez niego nie będzie w stanie przygotować żadnych lekarstw ani opatrzyć ran, a tych przecież nie brakuje. Wywożą go samochodem, maltretują. Wraca po tygodniu. Umiera kilka dni później.

Z podobnych powodów zostają zastrzeleni kolejarz z Jannowitz, kupiec Seidel oraz pan Gehde, którego Rosjanie biją pałkami po głowie aż do utraty przytomności. Umrze kilka dni później na skutek ropni mózgu.

Do miasteczka przyjeżdżają pierwsi polscy milicjanci i żołnierze. Nie pilnują porządku, ich pojawienie się powoduje jeszcze większy chaos i strach. Rozkazy mają jasne:

Z Niemcami postępować tak, jak oni postępowali z nami. Wielu zapomniało już, jakie było ich postępowanie z naszymi dziećmi, żonami, starcami. Czesi potrafili postąpić tak, że Niemcy sami uciekli z ich terytorium. Należy wykonywać swoje zadanie w sposób twardy i zdecydowany, tak żeby germańskie plugastwo nie chowało się po domach, a uciekało od nas samo, a znalazłszy się na swojej ziemi, dziękowało Bogu za szczęśliwe wyniesienie głów. Niezapominajmy, że Niemcy zawsze będą Niemcami. Wykonując swoje zadanie nie prosić, a rozkazywać.⁸

Wystarczy, że Polacy pojawiają się w gospodzie Kaszyńskiego, i dochodzi do kolejnej tragedii. Ich zdaniem niemiecki właściciel nie pozdrawia ich z należyтым szacunkiem. Biją go więc do nieprzytomności, a następnie przywiązują za nogi do motocykla i ciągną przez całe miasteczko, a potem jeszcze dalej, obok browaru i dwóch kamiennych krzyży aż do Jannowitz.

Śmierć grozi też tym wszystkim, na których pada choćby cień podejrzenia o nazizm. Jeszcze w maju do miasteczka wraca Georg Franzky, właściciel browaru. Radość z jego powrotu nie trwa jednak długo, jego nieoczekiwane pojawienie się zwraca bowiem uwagę polskich milicjantów. Podejrzewając go o udział w nazistowskiej partyzantce, każą mu zdać broń, którą rzekomo ukrywa w ogrodzie. Franzky tłumaczy, że żadnej broni nie ma, na oczach Polaków przekopuje cały ogród. Gdy nic nie znajduje, biją go do nieprzytomności. Cudem udaje mu się przeżyć.

O nazizm zostaje także posądzony hrabia Christian Friedrich zu Stolberg-Wernigerode. Nie dość, że jest kapitalistą i burżujem, to jeszcze na domiar złego w swoim gospodarstwie zatrudniał w czasie wojny dwóch robotników przymusowych z Francji. Polacy wywożą hrabiego i przetrzymują przez pięć tygodni w Hirschbergu. Na jego rękach umiera dwóch innych mieszkańców miasteczka – pan Beiwe i pan Maiborn. Sam hrabia zostaje ocalony przez polskiego lekarza, który opatruje jego obrażenia. Nigdy jednak nie uda mu się wrócić do pełni zdrowia.

Karl Heinz Friebe już wie z oficjalnych ogłoszeń rozwieszanych w miasteczku, że nie jest żadnym Niemcem, a jedynie niemcem. Nie wie, że w terminologii nowych władz on, jego matka oraz wszyscy starcy w miasteczku są „elementem uciążliwym”, który nie ma „zdolności produkcyjnych” A takiego elementu należy się jak najszybciej pozbyć.

Wkrótce Karl Heinz Friebe dowiaduje się też, że Kupferberg nie jest już Kupferbergiem. Jego nowa nazwa to Miedziana Góra. Jannowitz staje się Janowicami, Rudelstadt to Ciechanowice, Märzdorf to Marciszów, a Waltersdorf to Mniszków. Co więcej, Hirschberg to teraz Jelenia Góra, Bad Warnbrunn to Cieplice. Breslau nazywa się już Wrocław, a Görlitz – Zgorzelec. Żadnej z tych nazw Karl Heinz Friebe nie umie wymówić. Tylko Berlin pozostał Berlinem. Ale niektórzy mówią, że Berlina już nie ma.

Pojawiają się też inne plotki. Podobno wcale jeszcze nie wiadomo, czy cała okolica znajdzie się w granicach Polski. Jest szansa na to, że Kupferberg znów będzie Kupferbergiem i obejmie go brytyjska albo amerykańska strefa okupacyjna. Albo że tutaj będzie Czechosłowacja. W lipcu 1945 roku w miasteczku pojawiają się niemieckie plakaty:

Tylko trud daje radę biedzie, Tylko praca daje chleb, Nie narzekać!

Nie upadać na duchu!

Do nowego dzieła Z nową siłą, Byś odważnie przyznał się do błędów, Byś uczciwie poszedł nową drogą, Tego wymagają od ciebie czasy, Bądź gotowy!

Wbrew plotkom szybko staje się jasne, że dni Karla Heinza Friebego i jego rodaków są w miasteczku policzone. Podobnie jak i we wszystkich miejscowościach Dolnego Śląska. 11 lipca major Smirnow, komendant wojenny Jeleniej Góry, spotyka się z ludnością niemiecką.

Zebranie przeprowadzam w celu uprzedzenia was o tym, że zostanieie stąd wysiedleni. Okolice Jeleniej Góry już wysiedlają, Jelenią Górę i Warnbrunn będą wysiedlać 14 i 15 lipca. Dlatego Was uprzedzam, żebyście wiedzieli, bo Polacy jeszcze o tym nie wiedzą. Gdyby oni wiedzieli o tem, to już by zaczęli rabować i plądrować.

Wysiedlenie będzie iść normalnie i w porządku, nie tak, jak to robią Polacy. O północy przychodzą, dają 20 minut czasu i tylko 20 kilogramów pozwalają ze sobą zabrać. Ja pozwalam zabrać nie 20 kilogramów, a więcej, ile możecie ze sobą zabrać.

[...] Póki ja jestem, to nie pozwolę na to, by Polacy wyrządzili krzywdę. Nieraz kiedy dowiaduję się, że Polacy rabują, to ja wyjeżdżam chociaż w nocy i nie pozwalam na to.

[...] Ja myślę, że wam wszystko jest zrozumiałe, bo ja powiedziałem dość, a nawet za dużo, a dlatego, że jestem pewien, że tu nie ma nikogo z Polaków. Bo gdyby tu ktoś z Polaków był, to ja bym wam tyle nie powiedział.⁹

Wysiedlenia rzeczywiście ruszają, jednak nie idą tak szybko, jak zapowiadał major Smirnow. Nikt tak naprawdę nie wie, jak w krótkim czasie z tak wielkiego obszaru wywieźć setki tysięcy ludzi wraz z dobytkiem. Tym bardziej że Rosjanie pierwsze, co zrobili, to zdemontowali trakcję elektryczną na linii z Jeleniej Góry do Wałbrzycha i wywieźli ją na Wschód. Teraz znów mogą tu jeździć tylko pociągi parowe.

Na razie nie wiadomo nawet, ilu jest Niemców. Spisy ludności skrupulatnie prowadzone przez niemieckich urzędników niewiele dają, bo w czasie ucieczki ze Wschodu na Dolnym Śląsku utknęły tysiące ludzi. Wszyscy mają więc obowiązek zarejestrowania się w urzędach miast i gmin. Tam ich nazwiska zostają wpisane na listy repatriacyjne. Od lipca wszyscy Niemcy bez wyjątku mają także obowiązek noszenia na prawym ramieniu białych opasek.

Matka Karla Heinza Friebego rozdziera jedno z prześcieradeł i wycina z niego trzy paski, a następnie starannie obszywa ich brzegi. Chłopiec pyta, jak długo będą musieli je nosić. Tego jednak w miasteczku nie wie nikt.

Zima-lato

Pojawiają się kolejni Polacy i zajmują domy. Gdy już sobie wybiorą konkretny budynek, wkracza milicja i każe jego niemieckim mieszkańcom przenieść się na strych albo do piwnicy. Dawni gospodarze są w myśl przepisów przeznaczeni do repatriacji w pierwszej kolejności. Ochroną przed tym losem cieszą się tylko ci Niemcy, którzy pracują w papierni w Janowicach bądź w zakładach lniarskich w Marciszowie. Na całym Dolnym Śląsku brakuje fachowców, więc niemieccy specjaliści, którzy

umieją utrzymać produkcję, są tu na wagę złota. Do drzwi ich domów przybite są karty reklamacyjne, oni mogą tutaj zostać najdłużej.

Polacy od początku próbują obrabiać tutejszą ziemię i zaczynać uprawy. Zachęcają ich do tego nowe władze, w całej okolicy przybywa bowiem ludzi, a spichlerze po wojnie świecą pustkami. Nowi gospodarze nie znają jednak ani specyfiki surowego klimatu panującego w miasteczku, ani też historii pól. Nie wiedzą, co wcześniej było na nich uprawiane, nie mogą więc przewidzieć, co powinni wysiać teraz. Nie pytają jednak Niemców. Gdy ci chcą pomóc, słyszą tylko, żeby się nie wtrącali, bo i tak zaraz stąd wyjadą.

Więc teraz jest zima i głód. Już dawno skończyły się zapasy pokrzyw i lebiody, które zrobiła mama, są jeszcze zaprawy z owoców zbieranych ukradkiem we własnych sadach. Karl Heinz Friebe nawet nie chodzi po mleko. Co bardziej przedsiębiorczy Polacy odebrali Niemcom krowy i teraz jest ono jeszcze trudniejsze do zdobycia. W sklepach też nic nie da się kupić, bo nowa władza wprowadziła niekorzystny dla Niemców przelicznik waluty. A płacić mogą tylko w markach, bo za posiadanie polskich pieniędzy – złotych – grożą im kary.

Wysiedlenia kolejnych niemieckich rodzin nie przebiegają bezproblemowo. Na przykład, aby Waltersdorf naprawdę można było nazwać polskim Mniszkowem, ludność całej wioski wzywana jest do jej opuszczenia aż trzy razy. Trzy razy o północy ktoś łomocze w ich drzwi, trzy razy dowiadują się, że o świcie opuszczają swoje domy. Trzy razy starannie się pakują i ważą każdy z tobołków tak, by jego waga nie przekroczyła dwudziestu kilogramów. Trzy razy wyruszają w długą drogę do Jeleniej Góry. Tam dowiadują się, że to jeszcze nie ich pora i mają wracać do domów.

Ci, którzy jadą zimą, mają najgorzej. Transporty wyruszające z Dolnego Śląska rzadko są ogrzewane. W wagonach brakuje piecyków, nie każdy skład ma przydzielonego lekarza, są problemy z zaopatrzeniem w żywność. Nie zawsze przesiedleńcom udaje się ją zabrać ze sobą, niekiedy tracą ją na dworcach podczas kontroli bagażu. Wśród ludzi krążą opowieści o pociągach śmierci. Jednym z nich jest ten, który zimą 1946 roku

wyjeżdża z Wrocławia. Jadą nim 1543 osoby, z czego jedna trzecia to dzieci i młodzież. Polacy nie pozwalają podróżnym zabrać słomy do wagonów, nie zapewniają też piecyków. W trakcie sześciodniowej podróży w dwudziestostopniowym mrozie Niemcy tylko cztery razy dostają ciepłą kawę i tylko raz chleb. W tym czasie kilka (cztery lub pięć) ciężarnych kobiet rodzi, w tych warunkach niemowlęta nie mają szans na przeżycie. Pomocy medycznej stara się tu udzielać mieszkaniec Breslau, doktor Loch. Jeszcze w czasie podróży dostaje ataku serca, mimo to stara się nieść pomoc wszystkim potrzebującym. Niewiele może jednak zrobić. Z wychłodzenia jeszcze w drodze umierają tu w sumie 32 osoby. 298 kolejnych trafia z tego pociągu prosto do szpitali już po zachodniej stronie. Łącznie na skutek koszarnej podróży umiera w ciągu kilkunastu następnych dni 58 pasażerów pociągu¹⁰.

Do brytyjskiej misji wojskowej w Kaławsku docierają dramatyczne apele: „Wypadki złego traktowania Niemców wzrastają, a głównymi sprawcami wydają się być policjanci kolejowi”¹¹.

Jedni boją się wyjeżdżać z Miedzianej Góry, drudzy boją się tu zostać. Niektórzy mają jeszcze nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Właściciel rozlewni wód Max von Glaschynsky nie chce zostawić swojej fabryczki, grabarz Neumann nie chce zostawiać swojego cmentarza, siostry Blümke nie mają na zachodzie nikogo.

Hugo Ueberschaer też nie chce jechać. Mówi, że starych drzew się nie przesadza. Poza tym nie ma po co jechać na zachód. Tutaj wszystko już przygotował na swoje odejście. Przywdziewa więc galowy mundur i odbiera sobie życie. Składają go do krypty, którą sam sobie wybudował, trumnę przykrywają żelbetonową płytą, na której własną ręką wyrył odpowiednie inskrypcje:

HUGO UEBERSCHAER*
19.12.1870 ZU PLESS
+.....
PSALM 70

R.I.P

Nie ma tylko daty śmierci. Być może odkładał decyzję z dnia na dzień? Na płycie datę umieszczają ci, którzy chowają ciało starego policjanta. Będzie miał stąd piękny widok na całe Góry Sokole.

Znowu lato

W końcu przychodzi czas także i na rodzinę Friebe. Pakują tobołki, sprzątają w domu, drzwi zamykają na klucz, klucz kładą na framudze. Nie wrócą. Jest czerwiec 1946 roku. Pachną bzy, czereśnie zaraz będą dobre. Wychodzą przed dom, mijają browar. Potem dwa kamienne krzyże. Jannowitz, Rohrlach, Boberstein, Schildau, Lomnitz, stacja Hirschberg – stacja Jelenia Góra. Na dworcu się czeka. Dzień, dwa, tydzień. Sprawdzanie bagaży, żadna kosztowność nie opuści Polski. Ale kosztowności nie ma.

Znów czekają. Pada deszcz.

Wagony są bydlące i jest ich pięćdziesiąt pięć, do każdego ładują po trzydzieści pięć osób. Trzymać mamę za rękę, żeby się nie zgubić. Karl szybko liczy, że w jednym pociągu zmieści się całe miasteczko, a nawet dwa. Mogliby zatrzasnąć cały Kupferberg w wagonach i powieźć to wszystko na zachód. Ale miasteczko zostaje. To tylko oni znikają.

Przed Marciszowem pociąg staje. Karl Heinz Friebe podchodzi do drzwi i po raz ostatni patrzy na dwie kościelne wieże, jedną z nieczynnym zegarem. Z dziurawego dachu wagonu leje się woda.

Jadą przez Jawor i Legnicę do Kaławska. Tu dowiadują się, że trafią do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Cieszą się. Teraz dezynsekcja, każą im się rozebrać, myją. Potem znów wsiadają do pociągu. Po chwili jest już granica, most na Odrze, za nim nowe Niemcy. Brzeg rzeki jest cały biały. Ludzie zdejmują opaski i wyrzucają je z pociągu. Pani Friebe robi to samo z opaską Karla. Chłopiec długo patrzy, jak skrawek białego płótna szybuje na wietrze.

Pojechali sobie

– Przyjechaliśmy do Janowic latem czterdziestego piątego, więc byliśmy tu jednymi z pierwszych Polaków. Bardzo się tego przyjazdu baliśmy. Wszędzie mówili o tym, że w lasach ukryte są wilkołaki, czyli niemiecka partyzantka, i oni zabijają każdego Polaka, który im się tylko nawinie. Ale w okolicy były też bandy szabrowników i złodziei, którzy przyjechali tu z centralnej i wschodniej Polski, a oni napadali na wszystkich i strzelali do każdego, bez znaczenia było dla nich, czy to był Niemiec, Rosjanin czy Polak. Tak zginęło tutaj mnóstwo ludzi.

W Janowicach i Miedziance¹² większość mieszkańców to byli jeszcze wtedy Niemcy. Nie chcieli stąd wyjeżdżać i myśleli, że wszystko się jakoś ułoży. Moi rodzice mówili mi jednak, że tu już teraz będzie Polska. Gdy powiedziałem o tym moim niemieckim kolegom na podwórku, strasznie się o to pobiliśmy. Zresztą biliśmy się ciągle, a mimo to dobrze ich wspominam. Po kilku miesiącach wśród nich nauczyłem się podstaw niemieckiego i przez jakiś czas lepiej mówiłem chyba po niemiecku niż po polsku.

Z tamtych czasów w ogóle nie pamiętam niemieckich dorosłych, może kilku. A już zupełnie nie pamiętam ich kobiet, jakby ich w ogóle nie było. Siedziały chyba w domach, a ja w domu u żadnego Niemca nie byłem. Nie wiem, czy to ja nie chciałem tam wchodzić, czy oni mnie nigdy nie wpuścili. Niemieckie domy od środka widziałem dopiero wtedy, jak Niemcy zniknęli.

Jak przyszedł wrzesień, poszedłem do szkoły, w której większość to już były polskie dzieci i polscy nauczyciele. Niemcy do naszej szkoły chodzić

nie chcieli, więc mieli wtedy nadal wakacje i bardzo im tego zazdrościliśmy.

Pojechali sobie jesienią i z nikim się nie żegnali. Po prostu każdego dnia na podwórku było mniej niemieckich dzieci, a te, co były, nie chciały mówić, co się stało z tymi, których nie ma. Nigdy też nie wiedzieliśmy naprzód, kto wyjeżdża, i pamiętam, że strasznie mi było przykro, że moi koledzy tak znikają bez słowa pożegnania. Z niektórymi z nich naprawdę się zaprzyjaźniłem. Żeby ktoś z tych Niemców płakał, gdy wyjeżdżali, to ja tego nie pamiętam.

W domach niemieckich zostawały meble, porcelana, obrazy. Nikt z nich tego nie zabierał i my zachodziliśmy w głowę, dlaczego oni tego już nie chcą, bo to były całkiem dobre sprzęty.

O te rzeczy czasami wybuchały wśród Polaków kłótnie i milicja miała w związku z tym mnóstwo pracy. Zresztą te najbardziej wartościowe przedmioty zabierała władza, a co się potem z tym działo, tego ja nie wiem.

Latem o jakieś skarby pokłócili się ze sobą żołnierze z milicjantami. To było w Janowicach nad Bobrem, koło dębu. Ojciec nie chciał mi powiedzieć, o co poszło, dopiero potem dowiedzieliśmy się, że milicja musiała tam zastrzelić jednego żołnierza, żeby całe towarzystwo uspokoiło się i ochłonęło.

Później, gdy Niemców było coraz mniej, pozostawionymi przez nich rzeczami zarządzał z ramienia gminy taki stary pół-Żyd, pół-Niemiec i pół-Polak – Tennenbaum. On był chyba w czasie wojny jakimś Volksdeutschem, bo to niemożliwe, żeby Żyd przeżył całą wojnę wśród Niemców. Gdy do ponemieckiego domu wprowadzała się jakaś polska rodzina, to on przychodził razem z gminną komisją i wyceniał poszczególne przedmioty. I jak ktoś chciał i miał pieniądze, to mógł sobie za bezcen kupić pianino albo zegar z kukułką. Ale ludzie wtedy pieniędzy nie mieli, więc kazali Tennenbaumowi wyceniać tylko najpotrzebniejsze przedmioty, takie jak łóżka, krzesła, taborety i stoły. A całą resztę tego, co w tych domach było, wystawiali na podwórka. I te pianina, zegary z kukułkami albo jakieś droższe kredensy stały na polach, aż się całkiem

nie rozeschły i nie rozpadły na szczapy. Jak przyszła zima, to ludzie tym drewnem palili w piecach.

Fotografie I

W niemal każdym numerze „Schlesische Bergwacht” jakiś Niemiec pisze: „*unser schönes Hirschberg*” (nasz piękny Hirschberg) albo coś w tym rodzaju. Potem, jak przyjedzie do Trzcińska, Janowic czy Miedzianki, wysiadzie ze swojego wypasionego mercedesa („jak to się, proszę pana, dzieje, że my wojnę wygraliśmy, a to ich emeryci mercedesami tutaj przyjeżdżają”) i wtedy mu to „unser” albo „mein” wyskoczy wśród Polaków, to robi się tak jakoś niezręcznie. Ludzie tutaj głupi nie są, swoje rozumieją. I może wszystkiego w lot nie łapia, ale „mein” i „unser” wychwycą od razu.

– Już my wiemy, po co oni tutaj przyjeżdżają – mówią potem. Wiedzą przecież, że wyjeżdżając, Niemcy zostawili tu w ukryciu swoje skarby: złoto, biżuterię i pieniądze.

W „Schlesische Bergwacht” oglądam zdjęcia, które czytelnicy przysyłają do redakcji. Każda, nawet najmniejsza wioska ma tu swoją stałą rubrykę. Przeważnie to fotografie ze wspólnych zjazdów i spotkań dawnych sąsiadów. Starsze panie z obowiązkową platynową trwałą pozują zwykle w półuśmiechu u boku swych posiwiałych i lekko otyłych małżonków. Wśród tych zdjęć są też te z czasów, w których wypowiedzenie na głos „*unser schönes Kupferberg*” nikogo nie raziło.

„Kindergarten Kupferberg 1936”. Wyobrażam sobie mękę fotografa, który tę czeredkę, blisko trzydzieścioro dzieci, musiał poskromić tak, by w jednym momencie wszystkie spojrzały w jego stronę. Pewnie próbował bardziej sprytem niż krzykiem, nie udało się, w efekcie jego starań tylko kilkoro patrzy prosto w obiektyw, a reszta dokazuje. Część z małych modeli

stoi wręcz tyłem do aparatu zajęta swoimi, zapewne niezwyklej wagi, sprawami. Dwie nauczycielki stojące w głębi kadru mają rozbawione miny, jedna jeszcze bez przekonania strofuje jakiegoś rozrabiakę, tylko ta najstarsza jest poważna i posłusznie patrzy w stronę fotografa. Wszystkie cztery sprawiają wrażenie, jakby nauczone doświadczeniami już dawno dały sobie spokój z próbami zapanowania nad tym rozwrzeszczanym żywiołem, a samo skupienie wszystkich dzieci na niewielkiej przestrzeni było sukcesem. Ten sukces zapewne zbyt szybko się tu nie powtórzy. Mały tłumek faluje więc i wibruje, fotografowi nie udaje się uchwycić wszystkich w kadrze, z prawej strony dwoje dzieci ucina ramka kliszy. Wielka szkoda, bo akurat ta dwójka patrzyła z uśmiechem wprost na fotografa.

Była chyba wczesna wiosna. Dzieciaki mają płaszczyki i swetry, część z nich nosi na głowach grube wełniane czapki zawadiacko powykrzywiane we wszystkie strony bądź osuwające się na oczy. Światło jest miękkie i rozproszone, fotograf prawidłowo dobrał ekspozycję, ale wielokrotna reprodukcja zgubiła szczegóły. Te z dzieci, które były ubrane w coś jasnego, zlewają się już niemal z tłem i fakturą papieru.

Jest na tym zdjęciu rozkrzyczana, rozbawiona hałastrą, jest radość i beztroska. Jest trochę zimnej wiosny, jest coś z ochoty wychodzenia na zewnątrz już bez kurtki, choć ciągle jest zbyt chłodno, by było to możliwe. W wielu wykręconych i roześmianych figurkach czai się jednak taka moc ekspresji, że nie sposób oderwać od nich wzroku.

Kilka numerów dalej trafiam na fotografię ze szkoły w Kammerswaldau, czyli z dzisiejszego, odległego o kilkanaście kilometrów od Miedzianki Kromnowa. Już na pierwszy rzut oka widać, że dzieci są starsze, jest ich niemal tyle samo, co przedszkolaków z Miedzianki. To mogłyby być nawet te same dzieci, tyle że kilka lat później. Teraz stoją posłusznie w czterech szeregach i wszystkie bez wyjątku wpatrują się w obiektyw. W samym centrum kadru stoi siwy już nauczyciel w surducie i pod krawatem. Z wszystkich osób na zdjęciu on wydaje się mieć najbardziej figlarną minę, jakby bawiła go ta cała powaga wszystkich stojących dookoła. Tylko dwie dziewczynki u jego boków pozwoliły sobie na gest poufałości i dość nieśmiało chwyciły go pod ręce. Jest chyba lato, ale dzień raczej z tych

chłodniejszych, wszyscy poza nauczycielem ubrani są lekko i, cokolwiek by mówić, dość skromnie. Tylko dwaj chłopcy z pierwszego rzędu mają na nogach buty, reszta wyciąga w stronę aparatu bose i brudne nogi.

Dwie fotografie wykonane niemal w tym samym czasie – na początku lat trzydziestych. Być może robił je nawet ten sam fotograf. Beztroska niesfornych przedszkolaków wobec powagi niewiele od nich starszych uczniów podstawówki. Na tym drugim zdjęciu patrzę zwłaszcza na chłopca w ciemnym ubraniu. Ręce złożył na kolanach w taki sposób, w jaki robią to grzeczni uczniowie. Tak jak inni patrzy w obiektyw. On najdalej wyciągnął przed siebie nogi, może był najwyższy. Bose stopy niemal dotykają dolnej krawędzi kadru. Patrzę na niego i myślę sobie, że jakbym miał złoto, biżuterię i pieniądze, tobym szczeniakowi jakieś buty kupił.



Na zachód, czyli wszystkie śmierci Barbary Wójcik

Pierwsza śmierć

Ojciec wymyślił, że jej życie nie ma sensu. On, lat czterdzieści parę, bierze poduszkę, podchodzi do łóżeczka. Łóżeczko stoi pod oknem, za oknem piszczy bieda. Ojciec mówi:

– Dla dziecka nie ma przyszłości.

Matka leży na łóżku i płacze, jest bez sił, by go powstrzymać. Może tylko patrzeć i krzyczeć. Krzyczy tak głośno, jak nigdy w życiu nie krzyczała. Przybiega sąsiadka.

Barbara Wójcik nie umrze tym razem.

Towarzysz Stanisław

Zarządzenie numer 1 Stanisława Piaskowskiego, pełnomocnika rządu RP na okręg Dolnego Śląska z 2 kwietnia 1945 roku:

Jedziemy jako pionierzy polskości, jako mściciele za wiekowe krzywdy zadane ręką niemiecką słowiańskim ludom i szczepom. Wymagać więc będę bezwzględności posłuszeństwa moim rozporządzeniom, ścisłego i terminowego wykonywania zarządzeń ministerialnych oraz pamiętania na każdym kroku, miejscu i przy każdej czynności, iż jesteśmy Narodem Słowiańskim o starej, niezdegenerowanej kulturze. [...] Do osób pochodzenia słowiańskiego, które uległy germanizacji, do czasu

wydania szczegółowych zarządzeń, należy odnosić się życzliwie, lecz bez czynienia jakichkolwiek zobowiązań na przyszłość.

Józef

Nie czuje się jak mściciel. Może tylko trochę jak pionier. Jedzie, bo mu każą. Boi się jak diabli, bo o zachodzie wszyscy mówią „dziki” On, Józef Ostrowski, lat dwadzieścia siedem, ma tam zaprowadzić porządek.

Jeszcze dobrze nie skończyła się wojna, a w Kaliszu pojawili się naganiacze. Pracował wtedy w fabryce zabawek, robota może niezbyt ciężka, ale słabo płatna. A on miał już kobietę i jej dzieciaka z poprzedniego małżeństwa na utrzymaniu. Tamci oferowali pracę w polskiej milicji. Trzeba było być zdrowym i chcieć służyć Polsce. Józef był zdrowy.

Szkolenie było w Gdańsku, żadna tam szkoła, kilka tygodni ćwiczeń, trochę strzelania i uświadamiających pogadanek. Potem mieli jechać w teren, byli już władzą. Nie wszyscy dostali mundury. Nie wiedział, że rzuca go na zachód, myślał, że przeszkolą i wyślą do Kalisza. Postanowili inaczej.

– Jedziecie, Ostrowski, na Dolny Śląsk – powiedzieli, a on wtedy pomyślał o tym „dzikim zachodzie” W całej nowej Polsce huczało, że wszędzie jest spokojnie, tylko nie tam. Bo tam w lasach ukrywają się niemieccy partyzanci i strzelają do kogo popadnie, bo nie mają już nic do stracenia. Nawet się do Niemiec nie przebijają, bo ich Rzeszy już nie ma. Więc się okopali i tam będą siedzieć, aż się ich do ostatka nie wystrzela. Ale skóry tanio nie sprzedadzą. Do tego całe plugastwo, element i hołota ciągnie na Dolny Śląsk, jak ćmy do świecy. Po kraju krążą opowieści o skarbach i dobrobycie, jaki zostawiają Niemcy. Każdy chce się do tego dobrobytu podłączyć.

Wysiada w Janowicach Wielkich. Już tu na niego czekają. Jest lato 1945 roku. Po drodze tłumaczą mu sytuację. Objeżdżają okolicę. Jest jeszcze mnóstwo Niemców, większość z nich nie wychodzi z domów. Niektórzy

zamknęli swoje kramy, żeby ochronić to, co im zostało. Drzwi zastawiają od środka potężnymi belkami. Nikt nie wejdzie, nikt nie wyjdzie, będzie tragedia, jak coś się zacznie palić. Od czasu do czasu się pali. Wpadnie jeden z drugim na pomysł, by zobaczyć, co jest pod podłogą albo na strychu. Wyciągają Niemców z domu, szukają. Jak nie znajdą, wpadają w furję. Podpalają i idą dalej.

Jadą do miasta na szczycie góry. Ostrowski poznaje Wypschlaka, nowego burmistrza. Ten stary właśnie się zbiera do wyjazdu. Nazistów nie ma już dawno, uciekli przed frontem.

– Jak się to miasteczko nazywa?

– Miedziana Góra, towarzyszu, ale krócej by było, gdyby mówić Miedzianka.

Bronek

Pociąg ma wagonów czterdzieści i cztery, a jeździ na bimber. Gdy staje w szczerym polu, ci z wagonów idą do tych z lokomotywy pertraktować. Potem szperają w tobołkach, wyciągają flaszkę.

– To już ostatnia – mówią i po raz kolejny pociąg rusza. Za kilka godzin znowu stanie.

Ostatni z wagonów to wagon miłości. Są tu przedziały, w przedziałach wygodne kanapy, na tych kanapach młodzież poznaje smak owocu zakazanego. Nad młodzieżą leży plackiem Bronek Hac i podgląda przez dziury w dachu. Droga na zachód będzie dla niego drogą w dorosłość. Mimo że na razie to tylko ścieżynka.

W pociągu obowiązuje kilka zasad – najważniejsza to taka, żeby potrzeby załatwiać do wiader. Załatwianie się poza pociągiem jest niebezpieczne. Wiader nie opróżniać, chyba że już będą pełne. Nie opróżniają. Jadą tak już dwa tygodnie. Bronek zastanawia się, co będzie, jak pojadą jeszcze ze dwa. Boi się, że bimber się skończy, staną w szczerym polu i zostaną tam już na zawsze.

Już jest Sambor, za chwilę będzie granica, po obu stronach torów coraz więcej żołnierzy, niektórzy są z psami. Bronek pamięta takich samych, jak wkraczali do Borysławia. Najpierw przyszli w trzydziestym dziewiątym. Zabrali nauczycieli, urzędników, kolejarzy. Nikt tych ludzi już nigdy nie widział. Potem Ruscy uciekli, a przyszli Niemcy. Ci bardziej bali się UPA niż Polaków. Później były bombardowania. W pożarze rafinerii w Drohobyczu zginął jego wujek. Bronka wzięli do Baudienstu, miał szczęście, kazali mu pracować w tokarni, z dala od kopania okopów pod gradem kul i bomb. Może dlatego żyje?

A potem znowu przyszli Rosjanie, ale jacyś inni, i kazali im się pakować. Wzięli więc, co było pod ręką, i poszli na dworzec. Dwa tygodnie czekali na transport. Z tobołków ustawili sobie zagrody, w każdej zagrodzie była jedna rodzina. Ktoś grał na harmonii, gdy na peron wtoczyły się czterdzieści trzy wagony na bydło plus ten jeden na miłość. Powiesili flagi, wrzucili tobołki, jadą.

Już Bronek wie, po co im te pełne wiadra. Na granicy pełno żołnierzy, wszyscy pod bronią, pociąg toczy się powoli wzdłuż szpaleru żołdaków. Zaraz będzie nowa Polska. Z tą starą żegnają się, chlustając wiadrami w rumiane, sowieckie gęby. Żołnierze przeklinają, uskakują, psy ujadają. Pociąg ryczy ze śmiechu. Nikt ich przecież nie zastrzelił za wylanie gówna na braci Sowietów.

Znów gdzieś stoją, starzy idą do lokomotywy, a młodzi pędzą do wagonu miłości. Miejsc jest mało, chętnych dużo. Za nimi biegnie ksiądz. Jak zobaczy, co się tam wyrabia, weźmie flaszkę i też pójdzie do lokomotywy. Kolejarze odczepią wagon miłości i teraz na zachód pojedzie wagonów czterdzieści i trzy, a ten z miłością zostanie gdzieś w polu. Niektórzy z niego wyskoczą i podciągając portki, pognają za uciekającym pociągiem.

Dogonią go za dwa dni. Będzie ich trzeba powstrzymywać, żeby nie spuścili księdzu przyjacielskiego łomotu.

Po czterech tygodniach dojeżdżają do Bytomia. Matka wypatruje na horyzoncie kominów – gdzie są kominy, tam ma być praca. W Bytomiu jednak pracy nie ma, w Prudniku jest, ale w Iniarstwie. Na tym się nie

znają, jadą dalej. Pod koniec listopada dojeżdżają do Wałbrzycha. Pociąg dalej nie pojedzie. Tu zostaną.

Tu jest inaczej niż na Wschodzie: wszędzie działają kopalnie i fabryki. Łatwo znaleźć pracę, mieszkania zajmują po wyjeżdżających Niemcach. Bronek idzie do liceum, pasjonuje się chemią. Nauczyciele namawiają go, by po maturze zdawał na studia do Wrocławia. Chemicy są potrzebni w przemyśle, ten zawód ma przyszłość. Składa papiery na chemię techniczną, ale po egzaminach brakuje mu kilku punktów. Ma ich akurat tyle, by się dostać na geologię. I tak Bronek zostaje geologiem.

Będzie rok 1953, gdy Bronisław Hac, student trzeciego roku geologii wysiadzie z autobusu w Miedziance i pójdzie do biura nieczynnej kopalni. Otrzyma tam lampę karbidową, klucz do swojego pokoju i zadanie inwentaryzacji płataniny nieczynnych pokopalnianych tuneli. Gdy wejdzie do pierwszego z nich, dowie się, że miasteczko wkrótce zniknie. Przez całe swoje późniejsze życie będzie się zastanawiał, dlaczego musiało się tak stać. I zapyta o to każdego spotkanego Rosjanina.

Druga śmierć

Po raz drugi Barbara Wójcik ma umrzeć pod murem domu wiejskiego we wsi Windyki, powiat Mława. Teraz jej życie nie ma sensu, bo tak chcą Niemieccy żołnierze. Jest rok 1940. Wpadają do wioski, ustawiają wszystkich pod ścianami. Ci, którzy się nie nadają do pracy, nie nadają się do niczego. Wśród nich jest kulawa kobieta z uczepioną do spódnicy dziewczynką.

Tą dziewczynką jest właśnie Basia. Na co Niemcom kulawa kobieta z dzieckiem? Odsuwają je na bok, prowadzą do opuszczonego domu, wiadomo, co się tu zaraz stanie.

Basia postanawia walczyć o życie. Tak jak kilka lat temu jej matka, tak teraz ona zaczyna krzyczeć. Nie krzyczy w próżnię, krzyczy na Niemców.

Jeden z nich otwiera w końcu drzwi, puszcza ją wolno. Ale matka ma zostać. Basia nie chce wyjść, zaczyna płakać, nie pójdzie bez matki. Stoją pod ścianą, tuż przed nimi żołnierze z psami. Szczekanie, krzyk, płacz. W końcu ulga. Puszczają je obie. Jeszcze trochę pożyją.

Miśka i Staszek

Miśka chciała tylko jabłka z własnego sadu. Pogonili ją psami, wraca na dworzec z niczym. Jest głodna i zła. Chciała tylko kilka jabłek. Nie chciała patrzeć, jak po jej domu krzątają się obcy ludzie, po podwórku biegają obce dzieci, a w budzie siedzi obcy pies. Wszystko wygląda tak samo, tylko twarze nie te. Miśka nie chciała na to patrzeć. Nie chciała też prosić nikogo o to, co należało do niej. Ale była głodna, więc musiała.

Jest rok 1945, Buczacz koło Tarnopola. Od trzech tygodni ona, jej siostra i dziesiątki innych mieszkańców okolicznych wiosek siedzą na walizkach w hali niewielkiego dworca w oczekiwaniu na pociąg, który mógłby powieźć ich na zachód. Siedzą zaledwie kilka kilometrów, kilkaset metrów albo kilka kroków od swoich domów. Nie mogą jednak tam wrócić i czekać jak ludzie. Tam za dworcem już nie jest Polska, tam jest Ukraina.

Michalina Pławiak ma dziewiętnaście lat i same złe wspomnienia związane z tym dworcem. Jeszcze nie tak dawno wsiadała tu z płaczem do bydlęcego wagonu, a Niemcy zatraskiwali za nią ciężkie wrota. Tego dźwięku nigdy w życiu nie zapomni – był tępy, ciężki jak uderzenie młota. W wagonie byli też jej siostra, brat i matka. Mieli jechać na zachód, do pracy. Z tego transportu uratował je polski kolejarz, który zgodził się zaopiekować Miską i jej siostrą w czasie wojny. Mama i brat pojechali.

Ten kolejarz zabrał je do Radymna koło Przemyśla. Ona w jednym domu, siostra w drugim. Chciały być razem, postanowiły wracać do siebie. Z Radymna do Buczacza jest w linii prostej ponad dwieście kilometrów. Szły głównie nocami, chowały się w stodołach, jadły to, co udało im się wyżebrać od gospodarzy. Najbardziej bały się Ukraińców, krążyły o nich

straszne historie. Misi rozpadły się buty, do domu wróciła boso. Gdy zobaczyły chałupę, płakały ze szczęścia.

Do końca wojny gospodarzyły same, pomagali sąsiedzi. Co się dzieje z mamą, nie wiedzą, odezwał się za to Staszek. Jak wszystko się skończyło, ruszył do domu, w drodze powrotnej zatrzymał się pod Kaliszem. Napisał, żeby przyjeżdżały, miał dla nich dom i pracę. Ale one już miały list deportacyjny, i tak szykowały się do drogi.

W końcu przyjeżdża pociąg, mogą ruszać. Jadą dwa tygodnie, ciągle się zatrzymują, wtedy ludzie wychodzą na pola albo idą do wsi szukać jedzenia. Zapasy przejedli na dworcu, teraz głodują. Czasem pociąg nieoczekiwanie rusza i wtedy widać tłum ludzi biegnący przez pola w stronę torów. Najodważniejsi stają przed lokomotywą i czekają, aż pozostali wsiądą, potem jadą dalej.

Po raz ostatni pociąg zatrzymuje się we Wrocławiu. Tu czeka już na nie Staszek. Jest z nim mama! Cała ruda! Pracowała w fabryce amunicji, włosy jej zrudziały od chemikaliów. Staszek jest chudy jak szczapa, mówi, że gdyby nie niemiecki kolega, umarłby z głodu.

– W maszynie zawsze zostawiał mi kilka kromek i odchodził, abym mógł zjeść.

Najpierw jadą pod Kalisz, ale Staszek już ma na oku coś innego. Pod Jelenią Górą całe wsie stoją puste, bo wysiedlili z nich Niemców.

– Domy z bieżącą wodą, prądem, w środku wszystkie meble, na stołach zastawy, nawet jedzenie w spiżarkach zostawili. I dla każdego osadnika jest pole, będzie można gospodarzyć.

Staszek jedzie pierwszy, robi rekonesans, rozejrzy się, ściągnie je potem. Miśka nie chce jechać, poznała tu chłopca – Władka Łuczaka. Pochodzi stąd, ma gospodarkę. Wszystko zaczyna się układać. Ale Staszek pisze, że tam otwierają kopalnie i górnikom będą płacić tyle, że nikt nie będzie chciał pól obrabiać, bo się to nie opłaci. Władek chce spróbować, Miśka zgadza się jechać z nim. Zawsze mogą przecież wrócić.

Wysiadają na stacji w Janowicach. Pytają o Miedziankę. Trzeba iść pod górę, minąć drewniany drogowskaz. Droga skręca ostro w prawo, po chwili widać już zza drzew kościelne wieże i pierwsze zabudowania. Mijają dwa kamienne krzyże, potem browar. Domy są tu schludne, ceglane, dwu-, a nawet trzypiętrowe. Przed każdym rosną kwiaty, na skwerach kwitną czerwone głogi. Za domami są sady. Miśka się cieszy, na jesień będą jabłka.

Trzecia śmierć

Po raz trzeci życie Barbary Wójcik traci sens, gdy razem z matką zachorują na tyfus. Wcześniej Niemcy zabijają jej ojca, potem jej bratu wybucha w rękach granat, który próbował rozbroić. Gdy wojna się kończy, z Windyków zostaje niewiele (kilka chałup, zaminowane pola, spalone stodoły, w środku trupy żołnierzy), a z jej życia jeszcze mniej. Potem umiera matka, Barbarze nie zostaje już właściwie nic. Nie wolno jej jednak umrzeć, choć akurat tym razem po raz pierwszy zastanawia się dlaczego.

Stefan i Helena

Stefan Spiż miał wyjść z wojska dwudziestego, ale pierwszego zaczęła się wojna i cały ten plan szlag trafił. Choć z drugiej strony, gdyby nie wojna, Stefan nie zostałby ranny, nie dostał się do niewoli i nie wywieźliby go na roboty do Niemiec.

I nie wiadomo, jak by się to jego życie potoczyło. Kto wie, czy nie całkiem źle.

Najpierw był pociąg i krajobraz, który powoli przesunął się z zachodu na wschód. Jechali kilka dni – nie wszyscy wiedzieli skąd, nikt nie wiedział dokąd. Stefanowi jeszcze na froncie przestrelili rękę, ale tylko jedną, więc uznano, że do roboty się nadaje. Wsadzili go w pociąg i powieźli na zachód. Tyle było wiadomo – jadą na zachód.

Bał się i było mu żal. Najbardziej, jak przejeżdżali koło Szulca. Pociąg zbliżał się do Kalisza, gdy zobaczył własne pole i chałupy wioski w oddali. Od razu poznał stare kąty. Wtedy coś mu się w środku ścisnęło. Bo choć koniec końców na dobre mu wyszło, że go powieźli, to wtedy tego nie wiedział. Nie był nawet pewien, czy go następnego dnia nie zastrzelą.

Ale nie zastrzelili. Przywieźli Stefana do Rötzu i zaprowadzili do browaru.

– Tu będziesz pracował – powiedzieli.

Najpierw był do wszystkiego – wynieś, przynieś, pozamiataj. Traktowali go dobrze, złego słowa nie powie. Potem ktoś wymyślił, że go przyuczą, do sprzątanía znaleźli kogoś innego. Stefan umiał po niemiecku, więc przyuczać go było łatwiej. A tam mężczyzn brakowało, wszystkich brali na front. Niemcy mieli receptę na wszystko taką samą – na wojnę, na państwo, na małżeństwo, nawet na piwo – najważniejszy jest *Ordnung*. Szlauch zwinięty w równy pierścień, tanki wyglącowane, podłoga czysta, że można z niej jeść. Jak w browarze jest porządek, to piwo będzie dobre. Jak jest bałagan – piwo będzie zepsute.

No, więc gdyby nie ta wojna, Stefan Spiż nie nauczyłby się warzyć piwa – to po pierwsze, a po drugie i o wiele ważniejsze – nie poznałby pięknej Heleny. A gdyby jej nie poznał, to nic by nie miało sensu – wojna byłaby wojną, robota tylko robotą, a zesłanie parszywym zesłaniem.

Helena jest charakterna i tym mu chyba imponuje najbardziej. Wywieźli ją z Rzeszowszczyzny, teraz mieszka w Benridzie, kilka kilometrów od Rötzu. Zajmuje się tam dziećmi jednej bauerki i ma dla nich ciężką rękę, pomaga też w gospodarstwie i restauracji. Stąd ją zna Stefan. Jak tylko trzeba wieźć piwo do Benridu, to zgłasza się na ochotnika, a Niemcy głupi nie są i już wiedzą, co jest grane. Tak, Helena to jest prawdziwe światło jego życia. I prawdziwe światło Benridu. Wszyscy ją tam podziwiają, a niektórzy, mimo że to Polka, nawet się jej boją.

Gdy wkraczają Amerykanie, to lecą do tego światła jak ćmy. To jest na rękę niemal wszystkim: Amerykanom – bo żyją nadzieją, a tej w trudnych czasach jest jak na lekarstwo; Niemcom – bo ich Helena przed tymi Amerykanami, a potem także Ruskimi, broni i nie pozwala, by komuś spadł

włos z głowy. Sama Helena zaś umie te zaloty przekuć na dobra całkiem materialne. Przychodzi taki jeden do niej – obiecuje miłość do końca życia, błaga, by jechała z nim do Ameryki, obdarowuje czekoladą i papierosami. Helena nie mówi „nie”, ale nie mówi też „tak”. Czekoladę zostawia dla siebie i dzieciaków bauerki. Papierosy są dla Stefana. Od kilku miesięcy to dla niego świeci światło Benridu. I dla nikogo innego.

Jeszcze latem wyruszają do Polski. Ona spieszy się do siebie, pod Rzeszów, on chce do Szulca, zobaczyć, czy z wioski cokolwiek zostało. Obiecują sobie, że to nie koniec, a dopiero początek. Jeszcze w tym samym roku Stefan dowiaduje się, że na ziemiach zachodnich potrzeba fachowców, także takich od warzenia piwa. Niemcy zostawili mnóstwo browarów i trzeba je teraz uruchamiać. Znajduje pracę w Lwówku, któremu podlega kilkanaście mniejszych zakładów w całej okolicy. Od razu pisze do Heleny: „Przyjeżdżaj” Rok później biorą ślub, wkrótce Stefan zostaje kierownikiem małego browarku w górskim miasteczku. Jadą, ciężarówka wspina się na szczyt, wyjąc niemiłosiernie. Mijają tablicę „Miedzianka”, potem dwa kamienne krzyże, pierwsze zabudowania, wreszcie zatrzymują się pod żółtą willą. Stefanowi podoba się browar, Helenie ogromny dom.

Barbara

W Windykach nie ma przyszłości. Basia pochowała już brata, ojca i matkę. Została jej tylko siostra z gromadką dzieci. Baśka byłaby kolejną gębą do wykarmienia. Być może o jedną za dużo. We wsi pojawiają się plakaty, by jechać na zachód, tam są praca, mieszkania i będzie można rozpocząć wszystko od nowa. Barbara Wójcik nie wierzy jednak władzy na słowo, nawet jeśli słowo jest drukowane. Jest rok 1946. Wsiada do pociągu i jedzie sama sprawdzić. Dociera do Wałbrzycha. Widzi fabryki i kopalnie, tłumy ludzi. Pyta o pracę. Potem wraca szybko do Windyków. Takich jak ona jest tam więcej, czekają na dobre wieści.

A zatem na zachód. Ruszają we dwie – ona i Zenka Jankowska. Za pieniądze na bilety kupują jedzenie, do pociągu wsiadają przez okno. Część

drogi jadą na dachu. Docierają do Kowar, daleko za Wałbrzychem, i tam łapie je konduktor. Za jazdę bez biletów wyrzuca z pociągu, więc znów wchodzą oknem, ale to już nie jest dobry pomysł. Kolejarz wpada w furję i wzywa milicję. Gdy przyjeżdża, niczego już się nie da odkręcić, ładne uśmiechy i szczebiot nie pomagają. Wiozą je do aresztu w Strzelinie.

Sędzia to ludzki człowiek, ale mówi:

– Jakbym was nie wsadził, tobyście całe życie na gapę jeździły.

Mądrość życiowa. Dostają miesiąc więzienia na oddziale dla kobiet. Baśka zapamięta stąd trzy rzeczy – brudne więzienne gacie, które musi prać; niekończący się głód i uczucie osamotnienia. Do tego ostatniego przyjdzie jej się jeszcze przyzwyczaić.

Po trzydziestu dniach wychodzą, odbiera je siostra Zenki. Przynosi świeży chleb i one ten chleb zjadają jeszcze pod bramą. A potem jadą do Kłodzka. W okolicy mówi się, że szukają tam prządek i że jak któraś szuka pracy, to powinna jechać właśnie tam. W Kłodzku Baśka nie umrze dwa razy.

Czwarta śmierć

W walce o życie Barbara Wójcik rękami i nogami zapiera się o blat i modli się, by ktoś przyszedł, bo długo tak nie wytrzyma. Walka jest nierówna, bo Baśka ma zaledwie 16 lat, przebyty tyfus i ciągle trochę nie domaga. Ona jest słaba, a maszyna silna. Wystarczyła chwila nieuwagi, by przędzalniczy kombajn pociągnął za jej fartuch. Co taki kombajn może zrobić z człowiekiem, Baśka widziała kilka dni temu, jak wciągnęło jedną Niemkę – z człowieka zostają strzępy.

Barbara Wójcik nie chce zostać strzępem – chce żyć. Zapiera się nogami i rękami, maszyna ciągnie, Baśka krzyczy. W końcu przybiegają, wyłączają maszynę. Znowu się udało.

Jan, czyli Jasiek

To jest największa góra, jaką w życiu widział. Musi mocno zadzierać głowę, by w oddali zobaczyć koniec drogi i falujące w upale zabudowania. Mama krzyczy i popędza, ale Jasiek nie ma już więcej sił, nie pobiegnie szybciej, tobolek ciąży mu niemiłosiernie. W końcu matka daje za wygraną, trzaska drzwiczkami i samochód, który mógł ich zawieźć na sam szczyt, odjeżdża bez nich.

– Pójdziemy na nogach.

Jasiek poszedłby za mamą na koniec świata. Ojca stracił na froncie. Przez całą wojnę mieszkali w Makowie Mazowieckim, gdy wojna się skończyła, matula zostawiła go u babci i pojechała na zachód. Miała się rozejrzeć, a potem go ściągnąć. Znalazła pracę w kopalni, pisała, że robota ciężka, ale pieniądze dobre. Strasznie tęsknił. Gdy przyjeżdżała do Makowa, wisiał jej na szyi, jak wyjeżdżała, nie chciał puścić. Wiosną spakowała Jasika do małej walizki i zabrała ze sobą.

Wszystko było nowością – droga na dworzec, pociąg, konduktor, bilety, to, co za oknem. Od Wrocławia jechał przyklejony do szyby, bo mama powiedziała, że to już blisko (ciągle pytał).

Pytał też o Niemców.

– Tam, gdzie jedziemy, jeszcze kilku jest – mówiła. Trochę się tych Niemców bał. Nadal się boi.

Gdy wysiedli na dworcu, nie mógł uwierzyć w te góry. Wszędzie góry! Aż po samo niebo.

– Mamusiu, ja tam nie podejść – powiedział, gdy zobaczył, dokąd idą. Ale za nią poszedłby na koniec świata. Nawet dobrze, że ten samochód pojechał.

– Chodź, Jasiek, idziemy – mówi mama i wyciąga rękę.

Jest wiosna, słońce świeci, jutro nie trzeba iść do szkoły.

Pójdą tak sobie razem do nowego domu, dawno tak nigdzie nie szli.

Piąta śmierć

O tym, że jej życie nie ma sensu, decyduje teraz stary, ospowaty ubek. Wywozi ją za miasto, wyrzuca z samochodu, wyjmując brzytwę. Jest noc, ciepła jesień, trochę wieje, nie pada, ale jest mokro.

Wszystko zaczęło się jeszcze latem. Pracowała od kilku miesięcy, była przodownicą, dostawała nagrody: smalec, śledzie, raz nawet piękny, żółty koc z Unry (od razu zaniósła do krawca, by uszył jej jesionkę na chłodniejsze dni). Wtedy zaczęli przychodzić, walili pięściami w drzwi, zastawiała je krzesłem, siadała w kącie i płakała. Wiedziała, czego chcą. Mówi, że nigdy nie weszli, że szli do innych. Czasem słyszała krzyki, z reguły nie słyszała nic. Przychodziły potem do pracy, siadały w milczeniu przy krosnach. Niektóre znikwały z dnia na dzień – wyjeżdżały do Głuszycy, do Kamiennej Góry. Tam też są krosna, nie ma za to ubeków, którzy z hoteli robotniczych i kwater prątek zrobili sobie darmowy burdel.

Zawsze mówiła więcej, niż powinna. Tak jak wtedy z tym Niemcem, na którego nakrzyczała w Windykach. Przecież mógł ją zabić, a wypuścił. Teraz Barbara Wójcik leży na mokrym poboczu drogi z Kłodzka do Wałbrzycha i myśli, że tym razem powiedziała za dużo i za to przyjdzie jej umrzeć. Bo gdy znów przyszli, wykrzyczała im przez drzwi, że są zwierzętami, a nie ludźmi, i jeśli tak ma wyglądać ten ich komunizm, to ona na taki komunizm pluje. Nie wiadomo, co ich rozsierdziło bardziej, wiadomo, że krzesło już nie pomogło. Wpadli, wyciągnęli za włosy, wywieźli.

A zatem jest mokre pobocze, facet z brzytwą i noc. Wszystko, by krótkie życie zakończyć w parszywych okolicznościach. Zaraz jednak pojawiają się w oddali światła, słysząc warkot silnika, potem jakieś auto hamuje z chrzęstem tuż obok, ze środka wyskakuje dwóch rośli, podchodzą do tego z brzytwą, coś mówią, zaczynają się szarpać, ktoś krzyczy, ktoś upada. Baśka wstaje i słyszy tylko słowa:

– Biegnij na dworzec i nigdy nie wracaj.

Górnicy

Rok 1948. Z Huty Przedpolskiej, powiat Kolbuszowa, wyrusza Stanisław Gruszka, lat 21. Zabiera ze sobą wszystko, co ma: koszulę, chleb, masło i brzytwę. Jedzie na zachód za pożyczzone.

– Jak zarobię, to oddam – obiecuje.

Tego, że zarobi, jest niemal pewien, na zachodzie jest już jego brat. Pisze, że otwierają tutaj kopalnię, dobrze płacą, wystarczy, że wsiądzie w pociąg i przyjedzie, a wszystko już się potem ułoży. Z mieszkaniem nie ma problemu. Po dwóch dniach drogi wysiada na stacji w Janowicach, pyta o kopalnię. Kierują go do miasteczka na szczycie góry.

Wędruje też Stanisław Kopczyński ze Szczucina pod Krakowem. Do czterdziestego siódmego lał tutaj po mordach wszystkich wsiowych komunistów, aż zrozumiał, że ani on, ani jego koledzy z oddziału AK tej czerwonej zarazy już nie wyplenią. Wyrusza więc na zachód, bo teraz ta sama czerwona zaraza zaczyna łać po mordach ich i lepiej zniknąć na trochę, niż zniknąć na zawsze. Poza tym do Trzcińska pod Jelenią Górą wyjechała już jego narzeczona, jej ojciec znalazł pracę w kopalni, namawia teraz Staszka, by przyjechał.

– Jak przyjedziesz, to wyprawimy wesele – mówi.

Jedzie także Karolina Kolis. Ma 22 lata i chce zarobić. Wojnę spędziła w Niwiskach pod Rzeszowem, do Mielca było stamtąd 22 kilometry, do Kolbuszowej – 12. W każdą stronę łądza. Mieli pole, ale ciągle zalane wodą. Jak chcieli wybrać trochę kartofli, to musieli brodzić po łydki. Co wybrali, i tak od razu gniło. Kopali rowy, ale to pomagało na chwilę. Najpierw umarła matka, trzy lata po niej ojciec, została z braćmi. Przez ostatnie dwa lata wojny nie mogli się wyspać, tuż za domem było lotnisko wojskowe, samoloty startowały i lądowały bez przerwy. Bywało, że przez kilka dni nie zmrużyli oka.

Gdy wojna się skończyła, Karolina przeczytała na plakacie, że trzeba jechać na zachód budować nową Polskę. Nie chciała budować – chciała zarobić. Wsiadła w pociąg, pojechała.

W Janowicach dowiaduje się, że dla kobiet to tylko robota u gospodarzy. Podobno Wróbel w Starych Janowicach kogoś szuka. W gminie mówią jej, że może jak ruszy kopalnia, to będzie się tam mogła zatrudnić. Na razie niech idzie do Wróbla.

Jest jeszcze Bolesław Grzyb ze Skaryszewa pod Radomiem. Przyjeżdża, bo są tu już jego bracia. Zabiera ze sobą żonę i córkę, dziewięcioletnią Elżbietę. Zamieszkują w Starych Janowicach, bliżej stąd do Miedzianki na szczycie góry niż na dworzec kolejowy. Mała Elżbieta poznaje tam swoje lustrzane odbicie. Na strychu domu, w którym mieszkają, żyje bowiem niemiecka rodzina. Jest tam także jej rówieśniczka – Elizabeth. Dziewczynki szybko się zaprzyjaźniają.

Wujkowie Elżbiety przejmują pola po Niemcach i zaczynają gospodarzyć. Jednego z nich – Janka – mała Elżbieta często będzie się wstydzić przed swoją niemiecką przyjaciółką. Wujek Janek na każdym kroku pokazuje bowiem Niemcom, kto wygrał wojnę i do kogo teraz to wszystko należy. Zdarza się, że wchodzi bez pukania do ich mieszkania, zabiera to, czego akurat potrzebuje. Pewnego razu potrzebuje krowy. A oni mają jedyną w okolicy.

– Kamienia i wody się dorobisz – krzyczy na niego zrozpaczona Niemka. W domu ma dwoje dzieci do wykarmienia, mleka przecież nigdzie nie kupi. – Nic z tej krowy nie będziesz miał!

Gdy wuj idzie do wioski, Niemka przychodzi pytać, czy może skorzystać z zapasów z spiżarni. Elżbieta nic nie rozumie – przecież to jest ich spiżarnia.

Niemcy wyjeżdżają po kilku miesiącach, zostawiają niemal wszystko. Wujkowie przejmują gospodarstwa, a tata idzie do pracy w kopalni. Niemal wszyscy sąsiedzi już tam pracują. Wychodzą o świcie przed domy i maszerują na przełaj przez łąki do miasteczka na górze. Tam już widać wieże szybów i wieże kościołów.

Przyjeżdża też Barbara Wójcik. Jest jesień, a ona ma na sobie tylko lichą sukienkę i nic poza tym. Szczerze mówiąc, wygląda trochę jak upiór,

potargana, blada, łypie oczami na prawo i lewo. Z nikim nie rozmawia, całą drogę przesiedziała w kącie zwinięta w kłębek. Idzie do Urzędu Gminy w Janowicach tylko dlatego, że widać go z budynku dworca. Pyta o mieszkanie i pracę. Kierują ją do gospodarza w Starych Janowicach. Będzie tam pracować przez kilka miesięcy, aż dowie się, że w Miedziance otwierają kopalnię i potrzebują pracowników, kobiet też. Będą dobrze płacić. Baśka postanawia się zatrudnić, znajduje pokój w hotelu koło przejazdu kolejowego. Niemcy mówią na to hotel Klugera, choć żadnych Klugerów już dawno w okolicy nie ma. Stąd ma do Miedzianki dwadzieścia minut marszu pod górę.

Żeby dostać pracę w kopalni, trzeba się jednak wypowiadać ze wszystkiego – gdzie się wcześniej pracowało, co się robiło w czasie wojny, czy ma się rodzinę za granicą, dlaczego przyjechało się na zachód.

Stanisław Gruszka mówi, że przyjechał za chlebem i że w miasteczku spotkał swoją miłość sprzed lat. Wkrótce chcieliby wziąć ślub.

Stanisław Kopczyński przyznaje, że w partyzantce był, ale zasług nie ma, kradł tylko węgiel z niemieckich pociągów. I że nigdy żadnego komunisty w mordę by nie uderzył.

Karolina Kolis mówi, że chce tylko zarobić i nic więcej jej nie interesuje.

Bolesław Grzyb zapewnia, że wojnę spędził na robotach w Niemczech, a jak wrócił do Skaryszewa, to tam już byli Rosjanie.

Barbara Wójcik nie mówi, że uciekła z Kłodzka w samej sukience, bo ospowaty ubek chciał jej poderżnąć gardło brzytwą na mokrym poboczu szosy do Wałbrzycha. Ale ten, kto miał o tym wiedzieć, już w Janowicach wie.

Szósta śmierć

Pewnego wieczora Barbara Wójcik, lat 19, kładzie się do łóżka pełna trwogi. Wie już, że oni wiedzą. Wezwali ją na komendę, świecili lampą

w oczy, pytali o wszystko, o Kłodzko także. Płakała. Jeden z nich mówił:

– Czy my cię, Basiu, bijemy, że ty tak bardzo płaczesz? – A potem kazał zgasić lampę.

Gdy Barbara Wójcik na zewnątrz słyszy warkot silnika, cała sztywnieje, dalej jest trzaśnięcie drzwiczek i cisza. Ciszę słyszy dokładnie. Potem kroki, skrzypiące deski na werandzie, zgrzyt klamki, czy zamknęła drzwi? Już tego nie sprawdzi, naciąga kołdrę po same oczy i czeka. Wie już, co zrobi.

„Tutaj już zostanę z dziurą w głowie” – myśli.

Są już w korytarzu, przechodzą przez kuchnię. Przez szparkę w pościeli Barbara Wójcik widzi ciemną postać i ognek papierosa. Potem słyszy zgrzyt odbezpieczanego zamka i słowa:

– A teraz cię, kurwo, zastrzelę.

I wtedy do Barbary Wójcik dociera cała rozpacz, cały tragizm i cały bezsens tej sytuacji i tej historii, w której ona zanurzyła się na krótkich 19 lat. I gdy to wszystko do niej dociera, odsłania twarz ukrytą w kołdrze i prosto w ten tłący się papierosowy ognek cedzi słowa, które do dziś napawają ją przerażeniem.

– Mnie już nie zależy – mówi i czeka na strzał. Ale znów nie słyszy nic poza ciszą. Gdy po chwili otworzy oczy, zobaczy już tylko ciemność.

„Tutaj już zostanę” – myśli, a po chwili zasypia.

Grób Ueberschaera

Znikanie zaczęło się od domku Ueberschaera. Jeszcze w czterdziestym piątym pierwsi odważni wyłamują drzwi i wchodzą do środka. Chyba są rozczarowani, w środku nie ma nic cennego, tylko książki. Idą szukać szczęścia gdzie indziej. Trzy lata później, wiosną 1948 roku, w okolicy domku pojawia się troje dzieci. Wśród nich jest mała Marysia Kaczmarska. Ma sześć lat, dopiero co przyjechała do miasteczka, jej tata rozpoczął pracę w kopalni, ona sama za kilka miesięcy pójdzie do szkoły. Na razie ma jednak dzikie wakacje i wałęsa się po okolicy wraz z innymi dziećmi. Gdy docierają do starego, myśliwskiego domku, zgodnie stwierdzają, że w takim miejscu na pewno straszy. Marysia boi się duchów, trzyma się więc z daleka, gdy chłopcy wyłamują drzwi do piwnicy i wchodzą do środka. Wybiegają z krzykiem, jeden niesie szablę, drugi wielki nóż, a trzeci imponujące poroże. Mijają ukrytą w krzakach Marysię i pędzą w kierunku miasteczka. Będą sobie potem opowiadać, że w piwnicy usłyszeli szmer, jakby był tam ktoś jeszcze.

Następni odważni pojawiają się rok później. To siedmioro dzieci z pobliskiego Mniszkowa. Jest wiosna, koniec marca lub początek kwietnia. Jeden z pierwszych ciepłych dni tego roku. Dziś nie wsiedli do kopalnianych samochodów, które każdego ranka wożą stąd dzieci do szkoły w Janowicach Wielkich. Idą na wagary. Tu nieopodal jest myśliwski domek starego Niemca, chcą zobaczyć, co jest w środku. Helena Rudzińska ma trzynaście lat i wcale nie uważa, by to był dobry pomysł. Idzie jednak ze wszystkimi, do szkoły sama nie pójdzie.

Wspinają się na górę, od strony Mniszkowa jest tu bardziej stromo, gdzieś tam są skały i chłopcy wybrali drogę właśnie między nimi. Najwięcej śmiechu jest wtedy, gdy komuś obsunie się noga i jedzie na mokrych liściach na sam dół. W końcu wszyscy są na szczycie. W oddali widzą drewniany domek z wyłamanymi drzwiami i potłuczonymi oknami. Nawet tam nie zaglądają, wiedzą, że nic wartościowego już tam nie znajdą. Ktoś mówi, że trzeba poszukać skarbu, ktoś inny, że jeśli jest skarb – to na pewno w grobie. Chłopcy zaczynają pracować, dziewczynki siedzą i patrzą, trochę pomagają.

Grób jest masywny, wkopany w kamieniste zbocze. Na lekko omszałej płycie widzą jakieś napisy. Jednak wyobraźnię wszystkich pobudza niewielka szybka umieszczona w jednej ze ścianek krypty. Jest z tej strony, z której roztacza się najpiękniejszy widok na góry. Postanawiają zbić szybkę i wtedy dostać się do środka. W ciągu kilku godzin chłopcom udaje się wygrzebać w ścianie krypty niewielką jamę oraz połuzować kilka cegieł wokół otworu. Ciągłe jednak jest on zbyt mały, by ktokolwiek mógł wślizgnąć się do środka. Z wnętrza grobu wieje truchłem, chłopcy nie przejmują się jednak i pracują wytrwale. Im bliżej są osiągnięcia swojego celu, tym dalej od grobu stoją zbite w gromadkę dziewczynki. Wszyscy wiedzą, że robią coś złego, nikt nie ma jednak odwagi tego przerwać.

W końcu wybierają najdrobniejszego, chwytają go za nogi i wpychają do dziury. Cały się nie zmieści, zdoła jednak chwycić trumnę. Jeśli w grobie jest skarb, to na pewno w jej wnętrzu. Malec chwytając trumnę, podciąga do siebie. Ci na zewnątrz ciągną go za nogi, udaje mu się nieco unieść wieko, które odpada z hukiem. Zdąży zobaczyć tylko częściowo rozłożone zwłoki, gdy koledzy wyciągną go na zewnątrz i wszyscy z wrzaskiem uciekną w stronę Mniszkowa. Ten najmniejszy, który był w środku, będzie później opowiadał, że trup w grobie nie miał nóg.

Helena stała daleko, ale i tak dręczą ją wyrzuty sumienia. Do tego o wagarach dowiedział się ojciec, a gdy powiedziała mu, gdzie dokładnie byli i co robili, zbił ją strasznie. I z wszystkiego kazał się wypowiadać księdzu Matwiejczykowi. Mimo to po dwóch dniach wszyscy wracają w tamto miejsce. Grób omijają szerokim łukiem, nawet o tym nie

rozmawiają. Chcą sprawdzić, co jest w domu. Wchodzą do środka. Tu panuje przyjemny półmrok, bo większość okiennic pozostała nienaruszona i zamknięta, tylko kilka okien pozbawionych jest szyb. W domku jest względny porządek, wzdłuż ścian ustawione są ogromne, malowane w polne kwiaty szafy, zupełnie zresztą puste. W każdej z tych szaf Helena zmieściłaby się bez najmniejszego problemu. Idą na górę, tam odkrywają stosy książek. Opaśle tomiszcza ustawione są na półkach, niewielkim biurku, zalegają też na podłodze. Część z nich jest zniszczona, jakby ktoś czegoś w nich szukał. Te leżą otwarte. Dzieci próbują je przeglądać, ale większość z nich napisana jest starodawnymi literami i w dodatku po niemiecku. Książek z obrazkami nie ma tu prawie w ogóle, mali goście dość szybko tracą więc nimi zainteresowanie. Tylko Helena znajduje dwa atlasy anatomiczne. Na każdym rysunku przedstawiony jest człowiek i to, co ma w środku. Wszystkie obrazki są kolorowe i bardzo staranne. Największe wrażenie na Helenie robi rysunek przedstawiający ludzkie serce. Oba atlasy lądują w tornistrze, dzieci kręcą się jeszcze chwilę po domu, w końcu postanawiają wracać do Mniszkowa. Nie zajrzą tu już nigdy więcej. Helena z dumą niesie swoje trofeum, przez kilka najbliższych tygodni obejrzy atlasy tyle razy, że nauczy się ich niemal na pamięć. Potem przestanie się nimi interesować, a jej siostra zawiezie książki do antykwariatu w Jeleniej Górze. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży wróci do Mniszkowa w nowym, ciepłym kożuchu.

*

Następny odważny to Zdzisiek Jankowski, lat dwanaście. Jest rok 1969 albo 1970, po domku na wzgórzu nie pozostał już żaden ślad, na miejscu nie straszą jednak zgliszcza, musiał więc zostać rozebrany przez okolicznych gospodarzy. Zdzisiek nie ma więc pojęcia o malowanych szafach, zdobionych okiennicach i stosach książek zalegających kiedyś na strychu. Jego interesuje coś innego. Wraz z kolegami wchodzi do wszystkich dziur, sztolni i korytarzy, które zostały tu po kopalni i do których nadal da się wpełznąć. Wszystko odbywa się w ścisłej tajemnicy przed ojcem, który

w kopalni był górnikiem i wie, jak tam, pod ziemią, bywa groźnie. Sam stracił tam nogi.

Groźba surowej kary nie jest jednak wystarczająca, chłopcy odnaleźli bowiem nową jaskinię nieopodal grobu „starego niemieckiego rycerza” przy drodze na Mniszków. Przez kilka dni rozgrzebują tam ziemię w skalnej rozpadlinie, w końcu udaje im się wleźć do środka. Początkowo myśleli, że odkryli co najwyżej większą komnatę, teraz idą coraz dalej, oświetlając sobie drogę karbidówką, a końca skalnego tunelu nie widać. Gdy wreszcie w oddali zobaczą bladą poświatę zwiastującą wyjście, będą już musieli płynąć w lodowatej wodzie. Wychodzą na powierzchnię mokrzy i zziębnięci. Ze zdumieniem odkrywają, że przeszli pod całym miasteczkiem, są po jego drugiej stronie, widać stąd drogę do Ciechanowic i zabudowania sołtysa Nowocina.

Po kilku dniach wracają do grobu. Krypta nie daje im spokoju. Rozgrzebują jedną ze ścian, pracują kilofem, chcą wejść do środka. W końcu im się udaje. Kilka chwil później paradują we trójkę po miasteczku. Jeden ma na głowie pruski hełm z wielkim czubem, drugi blaszany napierśnik z niemieckimi napisami. Zdzisiek idzie pierwszy i wymachuje najprawdziwszą szablą. Ludzie wychodzą przed domy, jest mnóstwo śmiechu, niektórzy nawet im salutują. Potem na miejscu pojawia się milicja i zabawa się kończy. W domu Zdzisiek dostaje lanie za grzebanie w grobach. Do krypty nigdy już nie wróci. Zresztą za chwilę przeprowadzą się do Janowic, a Miedzianka zniknie.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w Miedziance pojawia się tajemniczy samochód. W środku siedzi czterech mężczyzn. Nikt by tego faktu tu nie odnotował, gdyby nie to, że za cel wycieczki osobliwa grupa wybiera sobie starą drogę do Mniszkowa. A każdy, kto jest stąd, wie, że tamtędy można dojechać jedynie do starego grobu. Dalej droga jest tak zarośnięta, że pokonać mógłby ją tylko wóz terenowy, a ten taki nie jest.

Auto zatrzymuje się za wsią, mężczyźni wyciągają z bagażnika plecaki i znikają za wzgórzem. Po kilku godzinach okolicą wstrząsa potężna

eksplozja, a w powietrzu latają kamienie. Od strony starego grobowca unosi się między drzewami dym. Chwilę później mężczyźni pakują plecaki i odjeżdżają w pośpiechu.

O pojawieniu się auta i o eksplozji dowiaduje się Paweł Nowak, mieszkaniec Janowic Wielkich, miłośnik historii, któremu grób Ueberschaera od dawna nie dawał spokoju. Biegnie na miejsce, ma jak najgorsze przeczucia. Ostatnio w okolicy coraz częściej pojawiają się natchnieni poszukiwacze skarbów, którzy naczytali się w gazetach o mieście, którego nie ma, i postanawiają poszukać tu swojego szczęścia. Niektórzy szukają z wykrywaczami metali, inni z materiałami wybuchowymi. Paweł wie o miasteczku na tyle dużo, by mieć pewność, że jedni i drudzy nie znajdą tu nic. Tak jest i tym razem. Cała okolica usiana jest rozrzuconymi skalnymi fragmentami, wokół grobu i w miejscu, w którym kiedyś stał drewniany domek, widać kilka wykopanych w pośpiechu jam. Sam grób pozostał jednak nienaruszony, obok widać tylko potężny lej po eksplozji. Nikt nie dostał się do środka, co do tego nie ma wątpliwości.

Kilka lat później w stronę samotnego grobu zmierza powoli starszy pan z laseczką. Zna drogę, nazywa się Karl Heinz Friebe. Nikt specjalnie nie zwraca na niego uwagi, zresztą prawie nikogo tu już nie ma. Mija zarośnięty cmentarz i ostatnie zabudowania gospodarstwa Pławiaków. Drogą wyciętą w zboczu wzgórza dociera w końcu na miejsce, ostrożnie schodzi po pochyłości terenu aż do miejsca, w którym znajduje się żelbetonowa płyta. Roztacza się stąd piękny widok na Góry Sokole. Wbrew temu, co obiecywał sobie całą drogę, tutaj, nad grobem starego Ueberschaera Karlowi Heinzowi Friebemu znów wilgotnieją oczy.

Ten drugi cmentarz

– Prowadzili na koniec nieczynnego chodnika i przywiązywali do szalunku. Potem się wycofywali i wysadzali w powietrze cały korytarz. W ten sposób pogrzebano tam dziesiątki ludzi. Tylko że nikt o tym nie mówi, bo ludzie do dziś się boją.

– W domu się o kopalni nie mówiło, bo to była tajemnica i nikt nikomu nie ufał. Matka przychodziła z roboty zawsze zakutana w kufajki i kilka warstw onuc. Ale nigdy nam nie powiedziała, co tam robi. Bo gdybyśmy my się w szkole albo na podwórku wygadali, że ona w kopalni uranu pracuje, toby ją zabili tam w tej kopalni i byśmy matki nie mieli.

– Wiedzieliśmy, co kopie, ale nikt o tym głośno nie mówił. Zresztą, co z tego, że my wiedzieliśmy, co to jest, skoro nikt nam nie powiedział, jak bardzo to jest szkodliwe. O tym, że uran nas zabija, to my się dopiero dowiedzieliśmy w latach dziewięćdziesiątych, ale to było za późno, bo połowa z nas to już wtedy na cmentarzu leżała.

– Mówiło się, że na Miedziance są dwa cmentarze. Jeden niemiecki, na górze, który wtedy zarastał już krzakami, i jeden polski, pod ziemią. W tej kopalni dziesiątki ludzi pogrzebali żywcem, znikali z dnia na dzień, razem z całymi rodzinami. Po prostu przychodziło się do pracy, a w brygadzie kogoś brakowało. A po pracy się okazywało, że jego dom stoi pusty albo mieszka już tam ktoś nowy. Ale nikt o nic nie pytał, bo w kopalni roiło się od szpicli. Jak czterech górników stanęło w czasie przerwy razem, to już ich ubowcy obserwowali. A jak stanęło pięciu, to było wiadomo, że jeden z nich to szpicel, więc wszyscy rozmawiali o pogodzie.

Ci szpicle mieli potem problem, bo ludzie na dole wiedzieli, kto kabluje, więc się przy nich pilnowali. Ale przez to tamci nie mieli o czym pisać raportów, więc sami zaczynali polityczne tematy. A wtedy inni szpicle na nich donosili i kłopot był gotowy. Pewnie nie raz wyszło tak, że jeden ubek na drugiego zakablował.

„Byłem już w roku 1950 brygadzystą nocnej brygady przez sześć miesięcy. Braliśmy tylko uran i wówczas codziennie bolały mnie zęby. W kwietniu 1951 roku przyszedł do mnie aparatowy, Rosjanin, a ja mu się zwierzyłem, że jak pracuję codziennie przy uranie, to bolą mnie zęby. Wówczas on mi wyjaśnił, że to z powodu uranu i że w Rosji ci, co pracowali przy uranie, też się najpierw skarżyli na ból zębów, a później umierali. Prosił mnie tylko, abym nikomu o tym nie mówił, bo czekało go za to więzienie. Pracowałem jeszcze do jesieni 1951 roku i wysłano mnie do sanatorium. Po powrocie poprosiłem o zwolnienie, nikomu nic nie mówiąc”¹³.

– Na bramie stali zawsze żołnierze i dokładnie sprawdzali geigerami, czy górnicy nie wynoszą urobku. Dlatego przed wyjściem za bramę wszyscy dokładnie trzepali ubrania, a zwłaszcza mankiety, bo nawet niewielki kamyk mógł przysporzyć górnikowi sporych problemów. Bywało też tak, że jak któryś górnik drugiego nie lubił, to już po trzepaniu, ale jeszcze przed bramą wrzucał mu do kieszeni trochę napromieniowanego piachu i tamten miał problemy albo zupełnie znikał.

– Na kopalnię wejść można było tylko za okazaniem specjalnej przepustki. Problem był tylko taki, że nie wszyscy żołnierze, którzy je sprawdzali, umieli czytać. Więc gdyby ktoś chciał i miał trochę szczęścia, toby mógł wejść na czyjąś przepustkę. Ale chyba taki odważny się nie znalazł. Potem, jak się dowództwo połapało, że część wartowników to analfabeci, to zawsze dawało na bramę choć jednego, który umiał czytać.

„Na podwórku przy zakładowym szpitaliku pani ordynator kazała ustawić klatki z królikami. Był człowiek na pół etatu, który ich doglądał. Miały wszystko, co trzeba: owies, mleko, marchewka. Ale było jeszcze coś – w każdej klatce znajdował się uran w pojemnikach. Ludzie o tym głośno nie mówili, ale i tak wiedzieli: po dwóch miesiącach wszystkie te króle

pozdychały. My byliśmy jak te króliki. Tylko przeważnie żyliśmy trochę dłużej”¹⁴.

– Był jeden taki mądry, pracował u nas na praczu. Jednego dnia w czasie przerwy chyba sobie popił i zaczął opowiadać wierszyk: „Mięso i słonina / idzie do Stalina / A ja, głupia koza, / idę do kołchoza”. Nigdyśmy go potem nie widzieli.

– Rosyjscy nadzorcy i aparatowi, którzy pracowali na dole, byli o niebo lepsi od Polaków. Jeden z nich powiedział mi kiedyś w zaufaniu, żeby nie siadać na bańkach z urobkiem ani nigdzie tam, gdzie trzeszczał aparat. Poradził mi też, żeby w czasie przerwy wyjeżdżać na górę i dopiero tam jeść śniadanie. I żeby nigdy nie pić kopalnianej wody.

Uran miał specyficzny zapach i Rosjanie oraz sztygarzy umieli znaleźć żyłę na węch. Wchodzili w chodnik ze zgaszoną lampą i węszyli. Uran śmierdział tak, jakby się coś rozkładało w wodzie, śmierdziało trupem, gdyśmy na żyłę trafiali.

Czasami, jak nie mogli trafić w żyłę, to przychodził aparatowy i szukał. Nieraz zdarzało się tak, że aparatowy po takim badaniu szybko się wycofywał, a nam mówił tylko: „Kopcie, chłopaki”

Promieniowanie w kopalni było tak duże, że zegarki górnikom stawały same i nie chciały działać. Nikt się jednak nie skarżył. Jeden powiedział po pijaku, że wie, czemu go tak twarz po robocie szczypie, to go zatłukli na śmierć, a ciało porzucili w rowie.

To wszystko było dobrze pomyślane, Rosjanie zakładali, że nikt tych warunków w kopalni nie przeżyje i będą mieli problem z Miedzianką z głowy. Ale się przeliczyli. Gdyby oni to wtedy wiedzieli, toby nas tutaj na pewno tak nie zostawili. My byśmy byli już dawno pod ziemią.

– Z listami z ubecji chodził taki mały gówniarz. I jak tylko pojawiał się na zakładzie, to po ludziach szedł blady strach. Bo kto dostawał od niego list, to zwykle już na kopalnię nie wracał. Ten posłaniec pojawiał się w zakładzie kilka razy w tygodniu i za każdym razem miał pęk takich listów. Ludzie nie chcieli ich od niego brać, więc czasami kładł je na ziemi pod nogami górnika i odchodził.

– Najpierw tłukli takiego pałkami do nieprzytomności. Potem cucili i znów bili. Tak kilka razy. A jak się mimo to nie przyznał, to prowadzili do kopalni, strzelali w tył głowy, a szyb zawalali. I po takim człowieku ślad ginął, nikt się zresztą o niego specjalnie nie upominał.

„Bili rękojeścią pistoletu w zęby i w głowę i już nie było ratunku. Zabijali i wywozili do zasypywanych szybów”¹⁵.

– U nas w Miedziance promieniowanie nie było takie duże. Ale w Kletnie górnicy nie dawali rady na dole i tracili przytomność. Więc ich stamtąd wynosili, ale niektórzy pewnie już tam zostali na zawsze.

– Tych, co gadali za dużo, prowadzili na posterunek UB w Janowicach. Obok tego posterunku był wtedy niewielki staw. Jak się UB stamtąd wyprowadziło, to ten staw zasypali piachem, a potem już sam zarósł trzcina i krzakami. Jak pod koniec lat siedemdziesiątych gmina chciała ten staw odkopać, żeby znów tam woda była, to przyjechali jacyś ważni i im tego zabronili. Na dnie tego stawu podobno mnóstwo trupów górników leży.

– Ci, co nawet dziś o kopalni nie chcą mówić, na pewno mają coś na sumieniu. Bo tam każdy coś za uszami miał, tam nie płacili za nic. Więc ludzie nie ze strachu nie chcą o kopalni opowiadać, tylko ze wstydu, że wtedy byli takimi świniami.

– Kiedyś przyszedł do mnie enkawudzista i powiedział, żebym nie przeoczył ani jednej grudki uranu, bo zobaczę, jak wyglądają białe niedźwiedzie. Kilka tygodni po tym wydarzeniu zwolniłem się i poszedłem do pracy w papierni.

Urobek ładowaliśmy na samochody, a gdzie oni z nim potem jechali, tego ja nie wiem. Mówi się, że do Legnicy, a stamtąd do Rosji, ale kto ich tam wie. Na każdym samochodzie z urobkiem jechał radziecki żołnierz z pepeszą. Gdzieś w połowie drogi wymieniali też polskich kierowców na swoich, więc nawet polscy nie wiedzą, gdzie to jechało.

– Żadnych kontroli z geigerami na bramach nie było, a ludzie to wymyślają, żeby nadać grozy tym wszystkim opowieściom. Mnie nikt nigdy nie sprawdzał. Co tam było do wynoszenia? Te kamienie? Na bramie kopalni stał zwykle żołnierz i sprawdzał przepustki, a że niektórzy z nich

czytać nie umieli, to i nieraz wchodziło się na papier sprzed dwóch miesięcy.

Wszyscy wiedzieli, co kopią, i wszyscy o tym mówili. Całe miasteczko wiedziało, co się dzieje w kopalni, bo niektóre szyby stały zaraz obok prywatnych domów i nie były niczym ogrodzone. Trzeba było tylko uważać, żeby dzieciaki się tam nie pałętały.

– Górnikom dawali pół godziny przed końcem szychty, żeby mogli wytrześć ubrania przed sprawdzaniem na bramie. W kopalni działały też łaźnie i pralnia, ale nie wszyscy górnicy z nich korzystali. Niektórzy prosto z szybu szli do domu w ubraniach pełnych tego radioaktywnego pyłu.

– Ja o nic nie pytałam, o niczym nie wiedziałam, o tym, że tam kogoś zabili, to się dopiero od pana dowiedziałam. Ja chciałam pracować, mieć pieniądze i święty spokój. I tak mi się udało przeżyć tą kopalnię, nie wiedząc o niczym, bo po co mi ta wiedza.

Niech żyje Mikołajczyk!

Tych, co pracują na przodku, można poznać po tym, że ciągle spluwają. Idzie taki ulicą, charka i strzyka śliną. Albo miesza ozorem w gębie, kaszle i wychodzi na chwilę. Wraca, ociera usta. Niektórzy próbują płukać. Najczęściej wódką, a jak knajpa jest zamknięta, to samogonem. Płukanie pomaga tylko na chwilę.

– Nie da się tego kurewstwa odkaszląć – mówią i zamawiają kolejną setkę. Mają gest i po tym też można ich poznać. W dniu wypłaty do knajpy igły nie wciśniesz, w powietrzu siwo od dymu. Tu na górze wszyscy rozmawiają o pogodzie.

O robocie można pogadać na dole. Za zmianę tego porządku idzie się do piekła. Mimo że oficjalnie przecież żadnego piekła nie ma.

Niebo

Czy piekło jest, dowie się za chwilę Ludwik Kaczmarzski. Jest niedziela, minęła jedenasta, właśnie szykowały się do kościoła, gdy pojawił się w drzwiach. Wyglądał jak duch, przyszedł na czworakach, teraz leży na łóżku i prosi, żeby natrzeć mu ciało, bo go strasznie boli. Anna Kaczmarzka delikatnie rozpina jego koszulę, tuż obok stoją odświętnie ubrane ich trzy córki – Marysia, Bronka i Natalka. W milczeniu patrzą na sine ciało ojca i płaczącą matkę. Czwarta z sióstr wkrótce ma się urodzić, Anna Kaczmarzka jest w zaawansowanej ciąży.

– Co oni ci zrobili? – pyta przez łzy, lecz Ludwik już nie odpowiada. Dzień wcześniej poszedł do Janowic na imieniny Mikołajczyka, górnika z Trzcińska. Jak ten Mikołajczyk miał na imię, czy na pewno istniał i czy naprawdę był postacią dla górników tak fatalną, jak to się jeszcze później okaże, nie wie nikt i już się pewnie nie dowie.

Miało być tak: chłopcy sobie popili, nabrali rezonu, zaczęły toasty. Był toast za Grzyba, był za Kaczmarskiego, był też za Mikołajczyka. Tych za Mikołajczyka było najwięcej, w końcu on stawiał. Ktoś obok knajpy przechodził, ktoś usłyszał. A może na ubecji sami usłyszeli, daleko nie mieli, to zaledwie parę domów. Mikołajczyk to w tych czasach złe nazwisko, najgorsze z możliwych. Takiego nazwiska nie powinno wypowiadać się w ogóle, a jeśli już, to szeptem i z najwyższym obrzydzeniem. Skandować takie nazwisko to grzech, za który można na własnej skórze sprawdzić, czy piekło istnieje.

Wpadli do knajpy, łapali, kogo się dało. Ci, którzy wypili najmniej i trzymali się jeszcze na nogach, uciekali przez okna w las. Ci, którym refleksu zabrakło, zostali. Wśród nich był Kaczmarski. Zabrali go na posterunek, trzymali całą noc. Chyba nie chcieli zabić, bo gdyby chcieli, biliby gdzie popadnie. A on ma ślady tylko poniżej szyi, najwięcej na plecach i brzuchu. Przedobrzyli. Nad ranem wyrzucili za drzwi. Z trudem dowlókł się do Miedzianki. Pełził starą drogą, może dlatego nikt go wcześniej nie znalazł, wszyscy korzystają już dziś z asfaltowej szosy. Była jesień, zimny poranek, nad Janowicami wisiała mgła. Gdy dotarł do domu, ledwo żył. Umarł po dwudziestu minutach.

Piekło

Odkaszlnąć nie może Stanisław Gruszka, lat 23. Tak jak pozostali pracuje w kopalni na akord. Najpierw był wózkowym, szybko awansowali go na przodowego. Wiercenie w granicie jest jednak trudne, skała twarda i obrywa się wielkimi kawałami, więc trzeba uważać, żeby nie przygniotła. Czasami we dwóch napierają na bor, a skała nie chce puścić. Niekiedy

wystarczy puknąć raz kilofem i wielki blok odpada sam. Skała w kopalni jest nieprzewidywalna i wszyscy górnicy się jej boją.

Wydobycie polega na tym, że najpierw w skale wierci się otwory. Wierci się na sucho, więc w chodnikach jest zwykle takie zapylenie, że dwóch idących za sobą górników z lampami nie widzi się nawzajem. Raz dali im maski, ale po kilku minutach wszystkie się zapchały i zaczęli się w nich dusić. Bez masek szło lepiej. Gdy zarząd kopalni wprowadzi świdry wierzące na mokro i zmniejszające zapylenie, górnicy i tak będą wiercić bez wody. Tak jest szybciej, mają lepszy wynik, a przez to także większą wypłatę. A przecież nikt dla przyjemności na dół nie schodzi.

Gdy otwory są gotowe, robi się odstrzał. Ledwo huk ucichnie, a ich już wysyłają w chodnik. Nikt nie czeka kilku godzin, tak jak to jest w innych kopalniach, aż pył opadnie. A wraz z pyłem to, co po odstrzale wisi na stropie. Na takie rzeczy nie ma czasu.

Żeby mieć dobry wynik, trzeba się jeszcze przyjaźnić z Ruskimi. To oni mają aparaty i badają skałę. Na sześć metrów w głąb ściany wiedzą, gdzie jest żyła. Jak się człowiek z takim nie zakoleguje, to choćby harował jak wół, i tak swojego nie urobi. Rusek mu pokaże marną żyłę i cały wysiłek na marne. Jak żyła jest dobra, to nie trzeba nawet specjalnie się starać, na swoje się wyjdzie. Dlatego przyjaźń polsko-radziecka musi tu na dole kwitnąć.

Staszek Gruszka woli pracować pod nadzorem Ruskiego niż Polaka. Z Ruskiem człowiek zawsze się dogada. Jak trzeba weselisko wyprawić, to idzie się do inżyniera i prosi, żeby wpisał trochę więcej urobku. Wtedy jest większa wypłata i wesele jak się patrzy. To także rosyjski aparatowy mówi pewnego razu Staszekowi coś, co na długo utkwi mu w pamięci:

– Śniadanie to ty jedz na górze. I wody stąd nie pij, bo ci zaszkodzi.

Niebo

Zaczęło się w czterdziestym ósmym. Najpierw przyjechali ruscy spece, łazili po starych niemieckich szybach, coś mierzyli. Takich miejsc znaleźli

na całym Dolnym Śląsku ponad sto pięćdziesiąt. Pierwsze szyby ruszają w Kowarach, Kletnie i właśnie w Miedziance. Pewnego dnia w pałacu kwaterują się dwie kompanie wojska i już wiadomo, że coś jest na rzeczy.

Kopalnia wchodzi w skład Zakładów Produkcji Rud (ZPR-1, a w skrócie R-1). Centrala zakładów jest w Kowarach. Także tam mieszka czterdziestu trzech radzieckich inżynierów wraz z rodzinami. To oni nadzorują prace we wszystkich filiach ZPR-1.

W Miedziance chętnych do roboty nie brakuje. Ziemia tu nieurodzajna – żeby obrobić te kamienie, trzeba się naharować od świtu do nocy. A tam mają dobrze płacić i płacą. Gdy po pierwszym miesiącu górnicy odbierają wypłaty, nie mogą uwierzyć własnym oczom. Dostali po czterdzieści tysięcy i więcej. Litr wódki kosztuje osiemdziesiąt złotych. W knajpie od razu robi się tłok. Po okolicy szybko się roznosi, że na Miedziance górnicy to prawdziwe krezusy. Ci, którzy muszą iść z wypłatą do sąsiednich wiosek, proszą o obstawę żołnierza z bronią, po lasach już się bowiem na nich czają miłośnicy wtórnego zarobku.

Tylko głowę trzeba trzymać na kłódkę i się nie chwalić, co się robi. Karolina Kolis się nie wychyla. Robotę ma prostą, choć ciężką. Odbiera przy windzie wózek z urobkiem i pcha go po torach do hałdy. Tam jest najtrudniej, bo wózek trzeba przewrócić, a urobek wysypać. Potem jeszcze za pomocą kilofa czyści się wózek i pcha z powrotem. Osiem godzin dziennie, deszcz, nie deszcz. Najgorzej jest zimą, bo dali im drewniaki i one się całe oblepiają śniegiem. Co kilka kroków trzeba je czyścić, żeby człowiek się nie wyłożył jak długi. Karolina wie, co jest w wózkach – tam jest uran. Ale ta wiedza do niczego nie jest jej potrzebna. Nie wie, do czego uran służy. I nie chce wiedzieć, bo w kopalni mówią, że im mniej się wie, tym lepiej. Więc Karolina siedzi cicho i się nie odzywa. Raz tylko zabrała głos. Na zebraniu wózkowych kierownik zapytał:

– Kobitki, powiedzcie no mi, jak wy chcecie zarabiać: dniówkę, czy wolicie być na procencie?

I wtedy tylko Karolina rękę podniosła:

– Panie kierowniku, ja chcę być na procencie.

A on wtedy na to:

– Wy, Kolis, najmniejsza jesteście i chcecie być na procencie? Co wy się tak do roboty trzepiecie?

– Bo jak już mam się tak narobić przy tych wózkach, to chcę coś z tego mieć.

Jak odebrały wypłatę, wszystkie potem Karolinie dziękowały. A ona im tłumaczyła, że skoro wszyscy górnicy, tam na dole, są na procencie, to znaczy, że będą szarpać, żeby zarobić. A jak będą szarpać, to urobku będzie więcej. Ktoś ten urobek na górze będzie musiał na hałdę powieźć, żeby nie było przestojów w robocie.

Przy wózkach pracuje też Baśka Wójcik, na którą mówią teraz Mała Baśka. Trochę sobie żartują, bo Baśka już wcale mała nie jest, pcha wózki jak nikt inny, szybko została przodownicą i przyucza też nowe do roboty. Z wózkami nie jest łatwo, a jak się nie wie, jak do cholerstwa podejść, to można sobie napytać biedy. Bo z pełnym trzeba zjechać na dół i do tego przydaje się kij. Jak się wózek za bardzo rozpędzi, to trzeba go przyhamować tym kijem. Ale trzeba wiedzieć, gdzie go włożyć, żeby nie stracić zębów. Jak się wózkiem nie wyhamuje, to on tam na dole w najlepszym razie wypadnie z toru, a w najgorszym wpadnie na którąś z kobiet. Pod górę pcha się już wózek pusty, więc jest trochę lżej. Ale i tak ciężko.

Piekło

Staszek Kopczyński do roboty przyszedł jako górnik, potem go zrobili elektrykiem i spawaczem. Cały czas pod ziemią. Pracę dostał od razu, teraz trochę się boi, że na górze dowiedzą się, co naprawdę robił w ak, i go wyrzucą. Na zarobku bardzo mu zależy. Teść wywiązał się z obietnicy, jak tylko Staszek przyjechał do Janowic – zrobili wesele. Niedługo urodzi mu się dzieciak.

Kopczyński najbardziej boi się jednak, że mu ludzka głupota odbierze życie. W kopalni jest niebezpiecznie, więc zanim się cokolwiek zrobi, trzeba trzy razy pomyśleć. Jak się nie pomyśli, to może być różnie.

Staszek nie pomyślał trzy razy. Za pierwszym razem wpadł na pomysł, że zamiast po drabinie wyjedzie na górę windą do urobku. Chwycił linę i jak nim zakręciło po drodze, to zobaczył wszystkie gwiazdy. Prawie się puścił, a wtedy na dole zostałyby z niego mokra plama. Od tego czasu Staszek chodzi drabiną jak trzeba.

Za drugim razem kazali mu coś pospawać na dole. Pojechał, poszedł w chodnik, spawa. Był koniec dnia, myślami był już na powierzchni, więc zapomniał, że tam na dole nie ma wentylacji. Nawdychał się oparów cynku, sam nie wie, jak wyszedł na górę. Położył się w rowie i stracił przytomność. Znaleźli go dopiero wieczorem, był ledwo żywy.

Za trzecim razem pracował przy pompach. Włączało się je specjalnym heblem, mógł to robić tylko elektryk w specjalnych rękawicach. Staszek rękawic zapomniał, włączył gołą ręką. Z hebla buchnął płomień i od tego czasu Staszek już wie, żeby bez rękawic do pomp nawet nie podchodzić.

Takich wypadków w kopalni jest coraz więcej. Zakładowy szpital w Kowarach przyjmuje rocznie tysiąc pacjentów. A to oznacza, że wypadkowi ulega tu co dziesiąty pracownik zakładów. Przyczyną najczęściej jest ludzka niefrasobliwość i głupota. 24 września 1949 roku dwóch górników ginie od tego, że jeden z nich niesie na szyi lonty wraz ze spłonkami, które zapalają się od lampy karbidowej. Inny w styczniu 1951 roku wyszedł z nieczynnej klatki transportowej i postanowił zejść na dno szybu po jego ścianie. W międzyczasie klatka ruszyła prosto na niego. Spadł na dół i zmarł w wyniku ciężkich obrażeń. Kolejny spadł z rusztowania wysokiego na czternaście metrów, inny obsługiwał wyciąg, mimo że nie był do tego przeszkolony. Jego kolega uderzony w głowę zmarł jeszcze pod ziemią. Tylko w 1950 roku w kopalniach R-1 umiera dziesięciu górników, dochodzi tam w sumie aż do 1039 wypadków. Rok później jest ich 757.

Najpoważniejszy wypadek, jaki Staszek widział w kopalni, był wtedy, jak przygniotło Józka Sarula na przodku. Tego widoku nie zapomni nigdy, czasem się tylko zastanawia, czy Józek był taki głupi, czy skała nieobliczalna. Józek ledwo potem żył przez całe życie.

Niebo

W drodze na górę obowiązuje górników kilka zasad. Kończą pracę pół godziny przed końcem szachty i wychodzą na powierzchnię. Całe pół godziny mają na trzepanie ubrań. Mało który zostawia łachy w kopalni. Z łaźni też raczej nie korzystają. Większość z nich mieszka tuż obok, wolą iść do siebie. Odwijają mankiety, wywijają kieszenie, zdejmują buty i trzepią. W zakamarkach katany nie może zostać najmniejsza drobinka urobku, choćby jeden kamyk czy szczypta pyłu.

Na bramie stoją żołnierze i sprawdzają czujnikami. Gdy czujnik zatrzeszczy, wywijają mankiety, sprawdzają kieszenie.

Jeśli coś znajdą, ten ktoś znika. Już tu krążą szeptane historie o takich, którzy nie wytrzepali ubrań zbyt dokładnie. Nikt ich już potem nie widział, pewnie nie żyją. W praktyce wygląda to inaczej. Z bramy zabierają takiego delikwenta funkcjonariusze kopalnianego posterunku Służby Bezpieczeństwa, przesłuchują, wypytują. Jeśli delikwent ma szczęście, to dostaje pouczenie i wpis do akt. Na dobrą żyłę już nie ma co liczyć. Jeśli ma pecha, to każą mu się spakować i jeszcze tej samej nocy opuścić miasteczko. Znika, a wśród górników zaczynają krążyć niesamowite opowieści. Tylko w 1949 roku zakłady R-1 wyczyszczono z pięćdziesięciu pięciu takich ludzi.

Wszyscy się więc boją i trzepią dokładnie. Trzepanie to prawdziwy test koleżeństwa, jeden sprawdza drugiego, pomagają sobie nawzajem, zaglądają za kołnierze. Trzepią w milczeniu, skupieni, ukradkiem spoglądają w kierunku żołnierzy. Po trzepaniu stają w kolejce do bramy. Bywa i tak, że jeden drugiego nie lubi albo usłyszy w miasteczku, że tamten do jego baby przychodzi. Jak to wśród ludzi. Wtedy wystarczy takiemu po trzepaniu, a przed sprawdzaniem wrzucić do kieszeni kamyk i można być o wierność kobity spokojnym. Tak też się w kopalni czasem dzieje.

Na górze obowiązuje też zasada, by nie mówić, co się wykopało, ile wózków wysłało do windy, jak szła robota. Najlepiej nic nie mówić, pytania o pracę kwitować uśmiechem, zmieniać temat, patrzeć w niebo.

W domu też najlepiej nie rozmawiać. Janek Majka, ten sam, który ubiegłej wiosny po raz pierwszy szedł z mamą do Miedzianki, tylko raz pyta, co ona tam robi. Barbara Majka (z domu Kmiecik) jest tak zwaną lebiódką, obsługuje kopalnianą windę, wie dosyć o zakładzie, żeby gadatliwość syna kosztowała ją przynajmniej utratę pracy.

– Synuś, lepiej, żebyś ty nie wiedział, po co masz się w szkole wygadać, wszyscy byśmy mieli z tego problem.

Piekło

Pilnować się trzeba także na dole. Górników ciągle tu przerzucają między brygadami, zmieniają im stanowiska, miejsca pracy, brygadzystów. Nigdzie nie zagrzewają miejsca dłużej niż dwa, trzy miesiące. Chodzi o to, by ludzie za dobrze się nie poznali. SB ma tu swoich agentów, ich zadaniem jest pracować tak, jak pozostali, i słuchać, o czym mówi się na przerwach. Górnicy przeważnie wiedzą, kto jest swój, a kto kapuś. Profilaktycznie nie ufają jednak nikomu, a zwłaszcza nowym. Mówi się, że gdy w grupie stoi pięciu mężczyzn, to jeden z nich na pewno donosi. Tak naprawdę SB dysponuje zaledwie dwoma, trzema agentami na każdych stu pracowników kopalni. Tych dwóch nie może być wszędzie, nie będą słyszeć wszystkiego, nie dowiedzą się o każdym wywrotowym słowie czy myśli, jakie pojawiają się w labiryncie chodników pod Miedzianką. Już sama atmosfera strachu jednak wystarcza, by drażliwych tematów nie poruszać.

Oczywiście SB próbuje pozyskać nowych donosicieli. Ma na to swoje sposoby. Na pierwszy ogień idą ci, u których znaleziono coś na bramie, oraz wszyscy inni, którzy w jakikolwiek sposób podpadli. Wmawia im się zdradę albo ujawnienie tajemnicy obiektu, grozi wywiezieniem na Wschód albo aresztem. Niektórzy miękną, podpisują. Trafiają do swoich starych brygad, ale tam już wszyscy wiedzą, czego SB mogło od nich chcieć. Więc podejrzliwość narasta, ludzie rozmawiają o pogodzie. Tacy kapusie z przymusu szybko się zniechęcają, wykręcają od donosicielstwa i nie ma z nich większego pożytku. O wiele bardziej przydatni są tacy, którym za

informacje się płaci. Nagrodą są nie tylko pieniądze, te trzeba jakoś odebrać, coś podpisać, skądś je podjąć, coś z nimi zrobić. Ludzie mają przed tym opory. W przypadku górników i mierniczych najlepszą formą takiego dodatkowego wynagrodzenia jest dobra ściana. Dlatego na dole krąży opinia, że ten, kto zawsze trafia na żyłę, wcale nie ma szczęścia, ma za to nieczyste sumienie i lepiej od takiego trzymać się z daleka.

Niebo

Ludwika Kaczmarskiego pochowali 1 listopada w Janowicach, na cmentarzyku tuż obok kościoła. Wcześniej, w jednym z ponemieckich grobowców, ważni z Jeleniej Góry zrobili szybką sekcję zwłok. Annie Kaczmarskiej powiedzieli, że umarł na skutek obrażeń organów wewnętrznych – nerek, wątroby, płuc. Kto te obrażenia zadał, nie powiedzieli. Zanim zamknęła trumnę, zrobiła mu zdjęcie. Widać na nim, że leży na wznak, w białej koszuli, ręce ma złożone na brzuchu. Obok głowy ktoś położył czapkę. Chowają go bez butów. Na grobie kazała napisać, że zginął tragicznie i że: „Pokój jego duszy” Wężni kręcili głowami.

Kilka tygodni później na tym samym cmentarzyku przybędzie jeszcze jeden grób. Pogrzebią w nim małą dziewczynkę, która urodzi się martwa. Nadadzą jej imię Ludwika. Będzie leżeć kilka kroków od swojego ojca.

Wszystkie Kaczmarskie klepią teraz biedę. Najstarsza z sióstr, Natalia, idzie do pracy w kopalni. Specjalnie w tym celu podrabia swoją metrykę, w innym wypadku by jej tam nie przyjęli. Do pracy przyucza ją Mała Baśka. Natalka później powie, że gdyby nie Baśka, nigdy by sobie przy tych wózkach nie poradziła. Basia Wójcik jej się odwdzięczy, dodając, że takim chucherkiem jak Natalka ktoś się musiał zająć, a ona akurat była w pobliżu.

Kaczmarskim pomaga też Jan Miroś, piekarz z Miedzianki. Każę dziewczynkom przychodzić co rano po świeże bułki i chleb. Gdy w drzwiach piekarni zjawia się czasem Anna Kaczmarska i chce płacić za

pieczywo, Miroś tylko macha rękami, a potem wychyla się przez ladę i konspiracyjnym szeptem mówi:

– Wy macie u mnie wszystko za darmo.

Ze swojej obietnicy wywiązuje się przez kilkanaście lat. Nawet wtedy, gdy przeniesie piekarnię do Janowic, dziewczynki będą chodziły do niego po chleb, a on nigdy nie weźmie od nich za to pieniędzy. Zresztą po chleb do Mirosia chodzi cała Miedzianka, bo nikt takiego dobrego jak on zrobić nie umie.

Ani w Janowicach, ani tym bardziej w Miedziance o Kaczmarским się nie rozmawia. To temat tabu, którego lepiej nie poruszać. Zwłaszcza uczestnicy pamiętnych imienin siedzą cicho. Choć minęło kilka miesięcy, boją się, że zanim umarł, wygadał jakieś nazwiska.

Wezwania na posterunek roznosi po kopalni mały Janek Czyżyk, sierota. Pojawił się w miasteczku kilka miesięcy temu, szukał pracy. Do kopalni był za młody, nigdzie indziej go nie chcieli. Przymierał głodem, więc go na posterunku przygarnęli i kazali nosić korespondencję między kopalnią a Janowicami. Każdego popołudnia Janek bierze torbę z listami i idzie do szybu. Tam czeka, aż górnicy skończą szychtę. Gdy wychodzą na powierzchnię, wręcza im koperty. Niektórzy nie chcą brać. Wtedy kładzie im je na ziemi, tuż przed nimi, i odchodzi.

Pewnego dnia swoją kopertę otrzymuje Staszek Kopczyński. W wezwaniu jest napisane, że określonego dnia i o konkretnej godzinie ma wyjść przed dom i się rozejrzeć. W oddali zobaczy osobę, która okreśną drogą zaprowadzi go do lokalu, w którym funkcjonariusze zadadzą mu kilka pytań. Staszek się boi, wie, że nakłamał w życiorysie i teraz oni na pewno będą go pytać o to, co naprawdę robił w szczucińskiej ak. A przecież nie powie im, że komuchów prał po gębach i patrzył tylko, czy im te gęby równo puchną.

Gdy wybija ustalona godzina, Kopczyński wychodzi przed dom i rozgląda się w nadziei, że nikogo nie zobaczy. W oddali widzi jednak ubeka, który na jego widok odwraca się i powoli rusza w swoją stronę. Staszek zgodnie z zaleceniem idzie za nim. Mimo strachu czuje się trochę jak w szpiegowskim filmie.

A raczej komedii, bo cała ta konspiracja nie trzyma się kupy. Janowice to większa wioska – każdy każdego tu zna. Każdy wie, że jeśli najpierw idzie smutny ubek, a za nim przestraszony Staszek, to znak, że ten pierwszy prowadzi tego drugiego do mieszkania starego Pielu, w którym ub ma zakonspirowany pokój do przesłuchań.

Chodzą tak w kółko po wsi, jak idioci, aż w końcu rzeczywiście lądują w mieszkaniu Pielu. Tutaj są biurko, lampa i wielki portret Stalina na ścianie. Dają Staszekowi kartkę i długopis i każą pisać życiorys. Jak skończy jeden, ma napisać drugi, potem następny i następny. Produkuje tych życiorysów kilkanaście, a oni z każdym wychodzą. Wracają po chwili i każą mu pisać kolejne. W końcu wprost pytają o Szczucin i ak. Staszek trzyma się swojej wersji, mówi o węglu. Ale ich to już nie interesuje, teraz pytają o młodego Krochmala.

Znają się jeszcze z czasów partyzantki, przyjaźnią się. Gdy Krochmal zamieszkał w Janowicach, Staszek znalazł sobie chałupę obok niego i tak mieszkają dom w dom. I teraz ubowcy chcą wiedzieć, czy Staszek mógłby się z nim jeszcze bliżej zaprzyjaźnić i trochę go wybadać. Wtedy może by się lepsza ściana znalazła w kopalni, a może nawet awans, gdzieś tam potrzebują brygadzystów i oni mogą załatwić, że Staszek by takim brygadzystą został.

– Oferta towarzyszy jest niezwykle kusząca, jednak ja się z Krochmalem zaprzyjaźnić nie mogę tak, jakby sobie tego towarzysze życzyli, gdyż kłopot jest taki, że nasze baby się pokłóciły i ja do Krochmalów wstępu nie mam ani on do nas. Więc chciałbym bardzo, ale nie pomogę.

Towarzysze trochę purpurowieją na gębach, wydają kartkę i ołówek.

– To wy, Kopczyński, życiorysy do zaszranego śmierci będziecie tutaj pisali!

Piekło

Na górze są więc ubecy, a na dole jest radon. To produkt rozpadu radu, a ten z kolei powstaje z uranu. Radon to cichy zabójca, promieniotwórczy gaz,

który wraz ze skalnym pyłem osadza się w płucach. Pylica, choroba zawodowa górników, w kopalniach uranu ma więc wybitnie uciążliwy przebieg, gdyż przez cały okres rozkładu radonu jest pylicą promieniotwórczą. Powoduje nowotwory i zwyrodnienia. Coraz więcej kolegów Stanisława Gruszki skarży się na zdrowie. On sam po dwóch latach pracy w kopalni postanawia się zwolnić. Za dużo nasłuchiwał się od Rosjan o tym, co tak naprawdę wydobywa. Skalny pył coraz częściej drapie go w gardło, Staszek zauważył też, że obsesyjnie pociera dłonie, próbując pozbyć się szarego osadu, który osiadł na nich w kopalni. Trze nawet wtedy, gdy ręce są już czyste i wymyte. Do decyzji o odejściu skłania go też wypadek, który wydarzył się ostatnio pod ziemią. Zeszli do chodnika tak jak zwykle, włączyli świdry, nie zdążyli jednak stanąć przy ścianie, gdy zemdlał pierwszy z nich, a zaraz potem kilku następnych. Staszek nie pamięta, kiedy sam stracił przytomność. Obudził się już na górze obok innych. Na dole było za mało powietrza. Przyszedł kierownik, wymachiwał rękami, zabronił im iść do lekarza, każdy dostał tylko dziesięć dni dodatkowego urlopu. Potem wszyscy wrócili do pracy.

Wszystko, co mogą zrobić, to przestrzegać zasad, o których w tajemnicy powiedzieli im Rosjanie. W kopalni nie ma już chyba nikogo, kto nie byłby ostrzeżony przez zaprzyjaźnionego „towarzysza”. Nie piją wody, nie jedzą pod ziemią, nie siadają na puszkach z rudą. Ale przy uranie pracują nie tylko górnicy. Wózki z urobkiem transportują przecież także kobiety. Wśród nich jest Karolina Burzawa z domu Kolis. Niedawno wyszła za mąż, teraz pcha wózki, nie wiedząc jeszcze, że jest w ciąży. Gdy się dowie, złoży wypowiedzenie. Karolina ma szczęście, kilka miesięcy później urodzi zdrową dziewczynkę.

Tego szczęścia nie ma już Julia Jaroszevska. Też pracuje przy uranie, też jest w ciąży. Nie zwalnia się, idzie na urlop macierzyński. Jej dziecko rodzi się chore, dość szybko pojawia się nowotwór. Gdy Jaroszevska tłumaczy lekarzom w Jeleniej Górze, gdzie pracowała, ci nie mogą w to uwierzyć.

W kopalni nigdy nie było i nigdy nie będzie ostrzeżeń przed promieniotwórczością. Oficjalnie wydobywaniu uranu nie towarzyszą żadne dodatkowe niebezpieczeństwa. Jednak nawet gdyby górnicy wiedzieli

o czyhających na nich zagrożeniach, nie bardzo mieliby się komu poskarżyć. W zakładzie jest Inspektorat Górniczy, jednak podlega bezpośrednio dyrekcji, więc żadnej kontroli nie przeprowadzi wbrew jej zarządzeniom. Do 1956 roku w żadnej kopalni zakładów R-1 nie prowadzi się badań mogących ustalić szkodliwości zawodowe. Pierwsze pomiary, wykonane na długo po zamknięciu kopalni w Miedziance, wykazują, że w niektórych kopalniach stężenie radonu sześćset razy przekracza dopuszczalne normy. Wydobycie objęte jest jednak ścisłą tajemnicą, wszystkie problemy muszą pozostać w obrębie zakładu. Gdy do kopalni przyjeżdża inspektor pracy z Zarządu Głównego Związku Zawodowego Kopalni Rud Nieżelaznych, żołnierze z wartowni dzwonią bezpośrednio na „piętnastkę”, czyli do posterunku kopalnianego UB. Po chwili inspektor ląduje w pomieszczeniu bez okien i będzie tam siedział przez następnych kilkadziesiąt godzin o chlebie i wodzie. Gdy wróci do centrali, zda raport, kończąc go słowami: „Kazali powtórzyć, żeby tam nikogo więcej na inspekcje nie delegować”.

Niebo

Cztery lata działania kopalni uranu to dla Miedzianki lata tłuste. Tak jak przed wojną jest tu apteka, kilka sklepów, piekarnia, masarnia i warsztaty. W dawnej niemieckiej gospodzie zorganizowano teraz świetlicę i co sobotę odbywa się tu zabawa.

Przychodzą na nią górnicy oraz mieszkańcy Miedzianki i pobliskich Ciechanowic, Mniszkowa i Janowic. Także w świetlicy raz w miesiącu jest pokaz kina objazdowego. Przyjeżdżają z nim rosyjscy żołnierze ochraniający kopalnię, za każdym razem wyświetlają inny film sławiący waleczność i męstwo żołnierzy radzieckich na frontach wielkiej wojny. Wstęp na seans kosztuje kilka złotych, jednak dzieci z okolicy mają swój sposób, aby obejrzeć film za darmo. W dniu seansu zakradają się do świetlicy i wpęłzają pod prowizoryczną scenę, nad którą wyświetlony

zostanie obraz. Zgaszenie światła i terkot projektora są sygnałem, że można już kryjówkę niepostrzeżenie opuścić i w spokoju oglądać film.

Górnikom wiedzie się dobrze. Już na pierwszy rzut oka widać, kto pracuje w kopalni i na jakim stanowisku. Niektórzy kupują sobie motocykle, inni remontują domy. Baśka Wójcik w lutym 1949 roku odbiera pensję w wysokości dwudziestu ośmiu tysięcy złotych. Zdarza się, że Stanisław Kopczyński przynosi do domu wypłatę dwa razy większą. Po raz kolejny skarby ukryte w ziemi sprawiają, że miasteczko rozkwita. To tu, a nie w Janowicach, tętni dziś życie. W miasteczku co rusz pojawiają się kolejni chętni do pracy w kopalni. Władze szacują, że w szczytowym okresie mieszka tu prawie trzy tysiące osób. Tylu mieszkańców miasteczko nie miało nigdy.

O źródle tego sukcesu należy jednak milczeć. W oficjalnych dokumentach kopalnia uranu w Miedziance jest zarejestrowana jako Fabryka Papieru w Janowicach Wielkich. Nawet w wewnętrznej korespondencji jak ognia unika się tu słowa „uran”, zamiast tego używane są określenia zastępcze, takie jak: „ruda okrzemkowa”, „R-2” albo „P9”¹⁶.

Po wydobyciu czystą rudę, bez dodatku skał, pakuje się ręcznie do ciężkich metalowych puszek. Wytwarza się je na miejscu, w specjalnym warsztacie. Chodzi o to, żeby informacja o tym, ile danego dnia zeszło puszek, nie wydostała się na zewnątrz. Gdyby kopalnia gdzieś je zamawiała, ktoś by je musiał zrobić, ktoś policzyć, ktoś wreszcie przywieźć do Miedzianki. Każdą z tych osób trzeba by sprawdzić, chodzić za nią, wypytywać o kontakty, przeszłość, rodzinę na Zachodzie. Strasznie by było dużo roboty z tym zamawianiem puszek na uran.

Gdy ruda jest już zapakowana, do kopalni przyjeżdżają ciężarówki z polskimi kierowcami. Na każdą ładują kilkadziesiąt puszek i rosyjskiego żołnierza z pepeszą. Potem taki konwój odjeżdża na północ. Po drodze zatrzymuje się w określonym miejscu. Tam już czekają puste ciężarówki oraz radzieccy kierowcy. Zamieniają się samochodami. Rosjanie odjeżdżają ciężarówkami w kierunku Legnicy, a Polacy wracają z pustymi samochodami do kopalni.

Wydobywana w Miedziance ruda zawiera około 0,2 procent czystego uranu. Dlatego potrzebne są dziesiątki ton skalnego urobku, żeby uzyskać kilka ton rudy, z której powstanie raptem kilka kilogramów uranu. Normy są wyśrubowane, wydobyć idzie na trzy zmiany, w kopalni pracuje prawie tysiąc pięćset osób. Większość z nich mieszka w miasteczku, część dojeżdża jednak kopalnianymi ciężarówkami z okolicznych wiosek, niektórzy przychodzą przez góry sami.

Górnice szyby upstrzyły już całą okolicę, wokół każdego z nich piętrzą się hałdy urobku. Ile dokładnie jest w tej górze miejsc, w których wydobywa się uran, nie wie nikt. W ciągu czterech lat wydrążono tu czterdzieści tysięcy metrów bieżących tuneli. Niektórzy mówią o kilku, inni o kilkunastu, jeszcze inni o kilkudziesięciu stanowiskach wydobywczych. Dość powiedzieć, że wszystkie sztolnie kopalni ZPR-1 mają razem długość stu sześćdziesięciu kilometrów, a gdyby połączyć wszystkie szyby w jeden, sięgałyby głębokości trzydziestu kilometrów.

Część tuneli, w których wydobywa się w Miedziance uran, wydrążyli jeszcze Niemcy. Są odpowiednio zabezpieczone, władze kopalni dysponują ich pełną dokumentacją. Nieco inaczej jest z nowymi chodnikami. W kopalni panuje zasada, że idzie się za żyłą. To aparaty wskazują kierunek, w którym prowadzone jest wydobywanie. Mało kto zastanawia się nad tym, co jest na górze. Górnicy opowiadają sobie, że zdarza im się dotrzeć z chodnikiem tuż pod powierzchnię gruntu. Pół biedy, jeśli nad nimi jest pole. Wtedy gospodarz znajdzie któregoś dnia wielki krater, do którego nawiezie kilka wywrotek piachu i będzie po kłopotcie. Gorzej, jeśli podążając za żyłą, górnicy dotrą pod miasteczko, a tak przecież też się zdarza. Wtedy osuwająca się ziemia powoduje zapadanie się podwórek i piwnic, pękają ściany budynków. Władze kopalni starają się ratować sytuację, podpierają domy drewnianymi stemplami, na własny koszt likwidują zapadliska. Ich wysiłek coraz częściej okazuje się daremny.

Piekło

Oprócz zwykłych górników w kopalni pracują też żołnierze. Są przywożeni ciężarówkami z Ciechanowic, gdzie mają koszary. Z żołnierzami nie ma prawie w ogóle kontaktu, pracują w swoich brygadach, nawet jedzą oddzielnie. W kopalni mówi się, że to są żołnierze tylko z nazwy, a tak naprawdę to więźniowie polityczni. Wiele w tym prawdy.

Jeszcze jesienią 1949 roku w niektórych jednostkach Wojska Polskiego przeprowadzona zostaje akcja „nabór specjalny do górnictwa” Rozpędzająca się gospodarka potrzebuje rąk do pracy, a gdy nie można było znaleźć ochotników w cywilu, zdecydowano się ich poszukać wśród żołnierzy. Chętnych zgłasza się jednak niewielu, większość z nich trafia do kopalni węgla na Górnym Śląsku.

W lutym 1951 roku marszałek Konstanty Rokossowski podpisuje rozkaz, na mocy którego dowódcy mogą kwalifikować żołnierzy do batalionów pracy. Od teraz przydział do kopalni jest kolejnym narzędziem politycznej represji. Można tu trafić za śpiewanie AK-owskich piosenek, odmowę wstąpienia do partii albo udziału w szkoleniu oficerskim. Pod ziemię trafiają także wszyscy wrogowie narodu – arystokraci i ich synowie, rodziny księży, ziemian i prywatnych przedsiębiorców, synowie przedwojennych policjantów i kułaków. Górnikami zostają też ci, którzy po prostu wydają się niepewni – Ślązacy, Mazurzy, Kaszubi, Słowacy ze Spiszu, reemigranci z Jugosławii. Wreszcie kilof zamiast karabinu dostają do ręki członkowie niezależnego harcerstwa, powstańcy warszawscy, żołnierze AK, Batalionów Chłopskich, WiN-u. Im mówi się wprost: „Wy nauczyliście się strzelać w lesie”

W całych zakładach R-1 pracują dwa bataliony żołnierzy-górników, oznaczone numerami 10 i 11. Oba stanowią 10. Brygadę Pracy, która w szczytowym okresie liczy sobie 2755 żołnierzy. W Ciechanowicach, pięć kilometrów od Miedzianki, zakwaterowana jest kompania 2. Żołnierze są skoszarowani w kilku budynkach, ich szychta trwa zwykle od ośmiu do osiemnastu godzin. Kopią na najtrudniejszych odcinkach, tam gdzie wysokość chodnika nie przekracza osiemdziesięciu centymetrów. Inni górnicy omijają takie miejsca z daleka, w razie wypadku nie ma stamtąd ucieczki. Można tylko wołać o pomoc, może ktoś usłyszy. Pracują niemal

codziennie, także w niedziele. Dni wolne od pracy przysługują żołnierzom zaledwie kilka razy w roku – 1 maja, 22 lipca, 12 października (to Święto Wojska Polskiego) i na Barbórkę – 4 grudnia¹⁷. Z reguły chodzą też głodni. Na śniadanie i kolację w koszarach dostają chleb, cienką zupę i czarną kawę bez cukru. Obiad różni się tylko tym, że jedzą go w kopalni, a w zupie pływają czasem ziemniaki. Nieco lepiej jest w te dni, kiedy w jednostce pojawia się inspekcja. Żołnierze dostają wtedy kaszę albo makaron z gulaszem, na śniadanie są też biały ser i jaja na twardo. Tak naprawdę głodu nie czują tylko w Święto Wojska Polskiego – dostają wtedy dwudaniowy obiad i litr wódki na każdą brygadę.

Surowe warunki i ciężka praca sprawiają, że wydajność żołnierskich batalionów pracy dramatycznie spada. Do tego sprawiają oni wieczne problemy – nie zależy im na zarobku, więc jak mogą, unikają pracy. Czasami dochodzi też do konfliktów między nimi a ochraniającymi kopalnię żołnierzami Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W listopadzie 1951 roku żołnierze znikają z Ciechanowic, przestają pojawiać się także w kopalni.

Niebo

Miasteczkiem co rusz wstrząsają plotki o zatrzymaniu szpiegów, chcących wykraść tajemnice z takim wysiłkiem strzeżone w kopalni. Nie da się ukryć, że zakładami interesują się zachodnie wywiady. Trwa wyścig zbrojeń, budowa bomby atomowej jest w nim sprawą absolutnie kluczową. Zachód chce wiedzieć wszystko o uranie, którego w przyszłości mógłby użyć Stalin. Dlatego tak często w okolicy pojawiają się na wczasach pracownicy zachodnich konsulatów i ambasad. Kowary, które są siedzibą zakładów, to jednak miasto zamknięte. Wstęp mają tutaj tylko żołnierze i cywile legitymujący się odpowiednimi przepustkami, na rogatkach miasta stoją zaś szlabany i uzbrojeni żołnierze. Zagubionych podróżnych, którzy wysiądą na tutejszym dworcu, od razu ładuje się do pierwszego odjeżdżającego pociągu.

Podobne, choć nie tak surowe obostrzenia obowiązują we wszystkich kopalniach R-1. Także w Miedziance. Tyle teorii, bo w praktyce wygląda to nieco inaczej. Służba Bezpieczeństwa co chwilę apeluje w swoich raportach o przysłanie wartowników umiejących czytać oraz o grodzenie niektórych szybów górniczych, gdyż prowadzone tam wydobywanie odbywa się w bezpośrednim sąsiedztwie domów mieszkalnych.

To, co może pozostać widoczne dla mieszkańców miasteczka, z pewnością musi być ukryte przed przyjezdnymi, a zwłaszcza przedstawicielami zachodnich państw. Tymczasem w okolicy aż roi się od osób, które po wieloletniej emigracji we Francji czy Beneluksie postanowiły wrócić do kraju. Wiele z nich pracuje nawet w kopalniach. To zresztą doskonali fachowcy. Zdobyli na Zachodzie specjalistyczną wiedzę, którą teraz mogą spożytkować ku chwale komunistycznej Polski. Nie wszyscy mówią perfekcyjnie po polsku, dlatego mają swoje brygady, by łatwiej było im się komunikować w języku, którego nikt tu nie rozumie.

Służba Bezpieczeństwa bacznie ich obserwuje. Tym bardziej że coraz częściej kontaktują się oni z ambasadą Francji w Warszawie i konsulatami we Wrocławiu. Po kilku latach pobytu w Polsce zniechęcają się bowiem do panującej tu rzeczywistości i postanawiają wyjechać z powrotem na Zachód.

Pod koniec lat czterdziestych w jednym z zakładów wchodzących w skład R-1 zatrudnia się Stefan Burzyński, młody reemigrant z Belgii. Jest jednym z wielu, nikogo specjalnie nie zastanawia więc jego słaba znajomość języka polskiego. Burzyński bez trudu znajduje zatrudnienie w kopalni, jednak praca górnika jest tylko przykrywką. Naprawdę nazywa się Louis Quievreux, jest rodowitym Belgiem i agentem jednego z zachodnich wywiadów. Jego zadaniem jest przekazywanie informacji o poszczególnych kopalniach, skali wydobywania oraz rodzaju rud, które się tu uzyskuje. Przez kilka miesięcy Quievreux *vel* Burzyński ze swoich obowiązków wywiązuje się doskonale. Udaje mu się nawet wynieść próbkę rudy, którą przekazuje swoim łącznikom. Zaraz potem otrzymuje rozkaz natychmiastowego wycofania się przygotowanym wcześniej kanałem przerzutowym. Pech jednak chce, że młody Belg zakochuje się w pewnej

pięknej mieszkance Jeleniej Góry. Zwleka z wyjazdem przez ponad tydzień, nie chce wyjechać bez niej i to przynosi mu zgubę. Zostaje pojmany i skazany na trzykrotną karę śmierci. Trafia do celi w więzieniu na warszawskim Mokotowie. Szybko staje się ciekawostką i maskotką współwięźniów. Wyrok odsiada z nie byle kim. Obiady w więziennej kantynie jada z elitą wileńskiego ak: Maciejem Jeleniem, Romanem Woźniackim, Janem Pętkowskim. Mimo fatalnej sytuacji Quievreux imponuje im niezwykłym hartem ducha. Raz, zaczepiony przez oddziałowego, odpowiada z dumą, że miał prawo bronić swojej ojczyzny w sposób, w jaki to uczynił, gdyż uważa międzynarodowy komunizm za zagrożenie dla jej niepodległości¹⁸.

Mimo takiej zuchwałości wkrótce jego kara zostaje zamieniona na piętnaście lat więzienia, a on sam przeniesiony do zakładu w Strzelcach Opolskich. Tu ślad po nim ginie. Prawdopodobnie zostaje wysłany na Zachód w ramach wymiany schwytanych szpiegów.

Pieć

Szpiedzy czają się jednak wszędzie, także wśród swoich. Kto władzy kłamie, z tego władza prawdę wycisnie. Z młodszego górnika Czesława Dulla wyciskają całą noc. Gdy przyjmowali go do pracy, kazali mu napisać sześć życiorysów. Siódmy mieli w swoich archiwach, wiedzieli, że zataił przed nimi rodzinę na Zachodzie. Cały dzień przesiedział na posterunku bez jedzenia, w nocy przyszedł komendant i powiedział:

– Brać się za niego!

Najpierw bili po głowie, potem przywiązali do łąwy i tłukli gumami. Stracił przytomność, więc go ocucili. Zabrali go do domu i kazali gołymi rękami zedrzeć futryny i podłogi. Szukali broni. Nic nie znaleźli.

Teresę Stegnarską aresztują na dworcu w Jeleniej Górze. Pracowała przy sortowaniu uranu, nagle dostała polecenie wyjazdu w delegację do Kielc. Gdy wsiada do pociągu, jak spod ziemi wyrasta przy niej dwóch funkcjonariuszy w cywilu. Mówią, że ktoś doniósł im, że wyniosła

z kopalni uran. Dostaje zarzut z artykułu siódmego – szpiegostwo. W czasie przesłuchań mówią, że mają zeznania jej szwagra, dzięki niemu wiedzą nawet, w której kieszeni chowała próbki. Stegnarska żąda konfrontacji.

– Nie będziesz, kurwo, nami rządzić – pada odpowiedź.

Następnych czternaście miesięcy spędzi w areszcie we Wrocławiu. Potem przewożą ją na Rakowiecką w Warszawie. Siedzi tam przez kolejny rok, bez wyroku, bez aktu oskarżenia. Gdy wychodzi, przez wiele miesięcy nie może znaleźć żadnej pracy.

Niektóre z tych historii brzmią przerażająco podobnie. 27 lutego 1950 roku w gospodzie w Janowicach znów odbywa się impreza. Knajpa pełna jest górników, wśród nich jest Bolesław Grzyb, młodszy górnik, który przyjechał do kopalni aż z odległego Skaryszewa pod Radomiem. Jest też Andrzej Pacholski, kopalniany ślusarz. Młody i całkiem przystojny. Razem z żoną i trzema córkami mieszkają w kamienicy przy 1 Maja pod numerem dwudziestym czwartym. Do gospody mają stąd zaledwie dwa kroki. Pasją Pacholskiego jest piłka nożna, każdą wolną chwilę spędza na boisku, kopiąc z kolegami futbolówkę. Tym razem jednak przyszedł do gospody napić się za zdrowie kolegi z kopalni – Mikołajczyka.

Piją przez cały wieczór, są piosenki, są też toasty. Za Grzyba, za Pacholskiego, za Mikołajczyka. Po chwili do gospody wpada UB. Pacholski i Grzyb uciekają najwolniej. Zabierają ich na posterunek w parku. Trzymają całą noc, przesłuchują i biją na zmianę. Grzyba wypuszczają po kilku godzinach, z trudem dociera do domu, rany będzie lizał jeszcze przez kilka tygodni. Pacholskiego wiozą do Jeleniej Góry i tam wszystko zaczyna się od nowa. Biją go do nieprzytomności, a potem odwożą do Janowic i wyrzucają zaraz obok ośrodka zdrowia. Tamtej nocy przejdzie tędy Baśka Wójcik, przestraszy się leżącego w rowie charczącego pijaka i ucieknie. Nad ranem znajdą go sąsiedzi, zanoszą do domu. Zdąży jeszcze przyjechać pogotowie, zabiorą go do szpitala w Miłkowie. Tam umrze. Pochowają go w Janowicach, na cmentarzyku przy kościele.

Niebo

W 1951 roku łatwo dostępne złoża uranu pod Miedzianką są już na wyczerpaniu i doskonale wiedzą o tym rosyjscy specjaliści. Zaczynają to odczuwać także górnicy, których zarobki, choć nadal wysokie, są o wiele niższe od tych z początku wydobywania. Załoga kopalni w Miedziance zostaje więc okrojona. Część pracowników zwalnia się sama – wśród nich są Karolina Kolis i Staszek Gruszka. Ona zajmie się teraz dziećmi, on znalazł pracę w papierni w Janowicach. Zarabia kilka razy mniej, ale przynajmniej nie musi się martwić drapiącym w gardło pyłem.

Baśkę Wójcik przenoszą do Radoniowa, Staszka Kopczyńskiego do Kletna. Natalka Kaczmarek wychodzi za mąż za Staszka Kołodę, szefa kopalnianej straży pożarnej. Już nie będzie musiała pchać wózków. Razem z mężem chodzi często na grób taty. Na wieść o zamykaniu kopalni część górników przenosi się w okolice Lubina i Legnicy. Rusza tam właśnie wydobywanie miedzi, kopalnie potrzebują kilku tysięcy fachowców. Ci, którzy przyjadą, dostaną nowe mieszkania.

W 1952 roku kopalnia zostaje zamknięta, pompy odwadniające wyłączone, sztolnie i szyby powoli wypełniają się wodą. Wraz z jej przybywaniem w ludziach narasta przekonanie, że za likwidacją kopalni kryje się jakaś tajemnica. Coraz częściej słychać plotki o tych, którzy zostali pod ziemią, o niemieckich skarbach, tajemniczych ciężarówkach, sekretach i szpiegach. Im więcej wody, tym więcej takich opowieści krąży po Miedziance.

Ci górnicy, którzy wcześniej o to nie zadbali, zostają teraz bez pracy. Całe dni spędzają przed swoimi domami, pokasłując i wspominając czasy, w których na wszystko było ich stać. Teraz nie stać ich prawie na nic. Zresztą nawet gdyby chcieli, i tak nie mieliby gdzie swoich pieniędzy wydać. Z dnia na dzień Miedzianka wyludnia się coraz bardziej, pustoszeją kolejne domy, znikają sklepy i warsztaty. Miasteczko szybko staje się upiorem, który straszyć będzie jeszcze przez dwadzieścia lat.

Post scriptum

– Panie dyrektorze, wyżeł niedysponowany, mięsa *nie budiet* – krzyczy roześmiany Bronek Hac do dyrektora Pawłowicza, a ten robi srogą minę. Jack, szorstkowłosy wyżeł, rzeczywiście dziś zaniemógł, leży zbolały przed wejściem do biura i nawet nie podniesie łba. A to oznacza, że geolodzy z Miedzianki nie zjedzą rosołu oraz że wieczorem będą mieli w końcu święty spokój. Zwykle jest bowiem tak, że najpierw Jack przynosi w pysku kurę, oni jedzą obiad, który przyrządzi im niezastąpiona Lena, a potem przychodzi gospodarz z awanturą, że znowu mu się coś nie zgadza w kurniku.

Studenci zaklinają się, że nikt Jacka nie tresował. Można więc powiedzieć, że łapanie kur wyssał z mlekiem matki. Dyrektor na wybryki psa i studentów spogląda łaskawym okiem, tylko raz się obruszył, gdy w swoim pokoju wywiesili wielki transparent z napisem:

RANO WSTAWAĆ – PRÓŻNA PRACA
POPIĆ RANO TO POPŁACA

Pułkownik Ryszard Pawłowicz to swój chłop, chociaż Rusek. Wszystko, co radzieckie, jest dla niego najlepsze. Pracuje jako specjalista w Zjednoczeniu Kopalnictwa Rud Nieżelaznych w Złotym Stoku, wcześniej był dyrektorem kopalni Konrad, teraz przesunęli go na Miedziankę. Mówi po polsku, gorzej z pisaniem, dlatego zatrudnia do tego Lenę. Tylko ona musi wstawać wcześniej, jeszcze w pidżamie idzie do biura i siada przy maszynie, a dyrektor chodzi po pokoju i dyktuje jej oficjalne pisma.

Pozostali chłopcy, głównie studenci geologii z Wrocławia, powoli przygotowują się wtedy do pracy. Odbywają tu swoje wakacyjne praktyki, Pawłowicz jednak im płaci, spędzą więc tutaj kilka miesięcy, a na uczelnię wrócą dopiero w listopadzie. Zadanie mają jak co dzień takie samo. Od tygodni kartują sztolnie i szyby nieczynnej kopalni uranu. Zamknięto ją w ubiegłym roku, teraz trzeba sprawdzić, co tak naprawdę jest w środku. Rosjanie, wycofując się, zabrali ze sobą wszystkie plany, a część kopalni zalali. Tam, gdzie jest choćby cieniuteńka warstewka wody, studentom nie wolno wchodzić. Niektóre szyby i studnie nie są bowiem niczym oznaczone na powierzchni, wchodząc tam łatwo można więc stracić grunt pod nogami i już nigdy nie wypłynąć na powierzchnię.

Do środka wchodzi sztolnią odwadniającą, jedyną, która przy likwidacji kopalni nie została zniszczona. Ich przewodnikiem w labiryncie korytarzy jest miejscowy górnik. Mówią na niego Pan Kot i przez kilka miesięcy pobytu w Miedziance żadnemu nie przyjdzie do głowy zapytać go o imię. Kot doskonale zna układ kopalni. Wie też, gdzie szukać miedzi. Wędrując po nieczynnych korytarzach, Bronek co rusz napotyka geologiczne okazy rud miedzi nietknięte ręką górników. Wie, że ich interesował tylko uran. Teraz jednak na swoje plany nanosi każde takie znalezisko, władze rozpatrują bowiem wykorzystanie kopalni do ponownego wydobywania miedzi. Badania powierzchniowe prowadzone tu przez inżynierów z Wrocławia dają obiecujące rezultaty, teraz przed skorzystaniem z wydrążonych w ziemi korytarzy należy sprawdzić, czy to, co na powierzchni, znajduje potwierdzenie także pod ziemią. To jest właśnie zadanie Bronka i jego kolegów.

Nie trzeba jednak wchodzić do wnętrza góry, żeby miedź znaleźć. Zalega ona w pokaźnych ilościach na hałdach. Widząc to, dyrektor Pawłowicz postanawia uruchomić eksploatację kopalni. Po otrzymaniu odpowiednich zezwoleń z centrali, zatrudnia kilku pozostałych jeszcze w miasteczku górników, wskazuje im jedną z zawalonych sztolni i każe ją najpierw odgruzować, a potem rozpocząć odstrzały. Górnicy posłusznie czyszczą korytarz, wkrótce okolicą wstrząsają pierwsze eksplozje. Przy odstrzałach pracuje jednak tylko pięć osób, nie ma mowy, by poradziły one sobie

z segregacją i obróbką urobku. Wcale jednak nie muszą. Swoim zadaniem górnicy są wyraźnie rozbawieni, mają tylko dbać o to, by od czasu do czasu w Miedziance rozlegał się huk.

Kilkanaście następnych osób, już bez przygotowania górniczego, Pawłowicz zatrudnia do pracy na hałdach. To stamtąd pozyskują miedź, która trafia potem do Gliwic. Rudę wybiera się ręcznie. W centrali płacą od tony, uwzględniając nie tylko ilość uzyskanej rudy, lecz także tonaż całego urobku. Dlatego do czystej rudy załadowanej już na ciężarówkę Pawłowicz każe dosypywać zawsze trochę gruzu. Wtedy współczynnik odzysku ma odpowiednią wartość, a pracownicy otrzymują za swoją pracę ekstrawynagrodzenie.

Ten proceder trwa w Miedziance kilka miesięcy, po skartowaniu wszystkich korytarzy biorą w nim udział także młody Bronek Hac i inni studenci. Pewnego razu Bronek pyta nawet dyrektora, po co prowadzony jest ten sztuczny odstrzał.

– W papierach musi być porządek. Miedź się wydobywa spod ziemi, a nie z hałdy. Porządek jest najważniejszy – słyszy odpowiedź.

Gdy już jednak wszystkie hałdy są oczyszczone z rudy, Pawłowicz nakazuje zaprzestania bezsensownych odstrzałów i już wiadomo, że nikt tu nigdy pod ziemię więcej nie zejdzie. Dokumentacja sporządzona przez studentów jest jasna: badania sondażowe na powierzchni fałszyfikują prognozy wydobycia rud miedzi w okolicach Miedzianki.

W czasie swoich podziemnych eskapad Bronek Hac przekonuje się jednak nie tylko o tym, że uruchomienie kopalni nie ma tu większego sensu. Inżynier Kot prowadzi go bowiem w takie miejsca, w których dokładnie widać, jak rabunkową gospodarkę prowadzili tu ci, którzy szukali uranu. Do kilku piwnic w Miedziance Bronkowi i jego kolegom udaje się wejść od spodu, Kot co chwila zatrzymuje się i mówi, pod którym budynkiem właśnie się znajdują. Raz pokazuje im nawet drogę do podziemi pałacu stojącego nieopodal kościoła. Te korytarze pod miastem są tylko prowizorycznie ostemplowane. Szalunek nie wytrzyma próby czasu i miasteczko w końcu się zapadnie. Bronek wie, że przed tym losem nie da się już Miedzianki uchronić.

A potem wszyscy wyjeżdżają, Pawłowicz do Wałbrzycha, chłopaki do Wrocławia kończyć studia, górnicy znów siadają przed domami z rękami na brzuchach. Kopalnia znika w oczach. Ostatnie szyby są już zasypane, sztolnie zawalone, złom wywieziony, a baraki zburzone. Po kilku latach tylko hałdy porastające zielskiem przypominają, że ktoś tu w ogóle wchodził kiedyś pod ziemię.

Ostatni

Ostatni mieszkają na obrzeżach miasteczka, zajmują tylko kilka domów, nie rzucają się w oczy. Nikt nie wie, czy mają jeszcze jakąś nadzieję, czy zostali, bo po prostu nie mają już siły, by cokolwiek zmienić.

Piętro domu pod dziewięćdziesiątym ósmym zajmują siostry Blümke. Są stare, noszą czarne spódnice, ciasno spięte włosy przykrywają zwykłe czarnymi chustkami. Niektórzy w miasteczku mówią o nich „zjawy”. Młodsza pomaga u Spiżów, zajmuje się dziećmi. Baśka i Stefan mówią na nią „babcia Blimka”. Trochę się jej boją, bo babcia nie mówi po polsku (z rodzicami rozmawia po niemiecku) i ma surową rękę do dzieci. Baśka Spiż tylko raz zobaczyła, jak babcia Blimka czesze się przed lustrem. Zaraz potem musiała uciekać, bo starsza pani wpadła w szal i miotając niemieckimi przekleństwami, zaczęła ją gonić.

Starsza siostra Blümke przez dwanaście lat życia w polskiej Miedziance wychodzi z domu zaledwie parę razy. Być może robi to też w nocy, nie zmienia to jednak faktu, że niewiele osób w miasteczku wie, jak wygląda. Gdy do Blimków zapukać, ich drzwi pozostaną najczęściej zamknięte. Siostry na nikogo nie czekają. Czasami tylko w drzwiach robi się niewielka szparka, a przybysz usłyszy kilka niezrozumiałych, niemieckich zdań. Potem drzwi zostaną zamknięte.

Pod dziewięćdziesiątym ósmym mieszka też grabarz – Alfred Neumann. To on kopie równe groby ostatnim, którzy zdążyli tu umrzeć. Grzebie ich

plecami do miasteczka. Nie ma jednak zbyt wiele roboty. Polaków chowa się na cmentarzu w Janowicach.

Są też Gliszczyńscy. Tak teraz mówi się w miasteczku na Maksymiliana von Glyschinsky i jego rodzinę – żonę Lotte oraz trójkę dzieci. Maksymilian prowadzi rozlewnię lemoniady w swoim domu pod dwudziestym pierwszym. To zaraz przy rynku, zaledwie kilka kroków od browaru. Być może dlatego Gliszczyńscy przyjaźnią się z rodziną Spiżów. Stefan doskonale zna niemiecki, nie ma więc żadnych problemów z komunikacją. Podczas gdy panowie spędzają miło czas przy zimnym piwie, ich dzieci – Basia, Stefan i Hania oraz Peter, Kristine i Margaret – bawią się razem w chowanego na tyłach browaru.

Maksymilian budzi wśród polskich dzieci respekt. Nie ma jednej nogi, postukuje więc drewnianą protezą. W swojej fabryczce zatrudnia niekiedy najodważniejszych malców – powierza im zadanie mycia szklanych butelek na lemoniadę. Za godzinę pracy dostają kilka złotych. Mogą je odebrać tylko w gotówce, choć wielu wolałoby w lemoniadzie produkowanej przez Maksymiliana. Stary Niemiec trzyma się jednak surowo ustalonych zasad – wypłaca dzieciom pieniądze i to one, mając je w ręku, muszą zdecydować, na co je przeznaczą.

1957 rok jest ostatnim, w którym Niemcy mogą wyjechać z Polski w ramach powojennych repatriacji. W tym celu trzeba złożyć odpowiednie dokumenty w Warszawie. Decydują się na to wszyscy, którzy żyją jeszcze w tym czasie w miasteczku. Stefan Spiż przychodzi pewnego dnia do domu i mówi, że wkrótce żadnego z Niemców już tu nie będzie. I że trzeba im pomóc zorganizować ten wyjazd, żeby Miedziankę zapamiętali jak najlepiej.

Najpierw wyjeżdża babcia Blimka wraz ze swoją siostrą. Spiż długo je zapewnia, że mogą zostać w Miedziance tak długo, jak chcą, on obiecuje im opiekę aż po sędziwą starość. Decyzja została już jednak podjęta. Babcia dokładnie sprząta w mieszkaniu, a potem na drzwiach zakłada kłódkę

owiniętą w nasączoną towotem szmatkę. Żegna się z dziećmi, wsiada do ciężarówki i odjeżdża. Baśka i Hania Spiżówny płaczą.

Zaraz potem znikają Gliszczyńscy. Maksymilian przekazuje fabryczkę Staszкови Pławiakowi. Meble i cały dobytek przez kilka dni wożą na dworzec w Janowicach, tam stoi już wagon, którym powiozą wszystko na Zachód. W końcu Lotte wraz z dziećmi wsiada po pociągu osobowego i odjeżdża w kierunku granicy. Maksymilian pojedzie wagonem razem z całym dobytkiem. Zostaje jeszcze kilka dni, porządkuje ostatnie sprawy. 9 lipca 1957 roku żegna się serdecznie ze Stefanem, zamyka dom i odchodzi drogą w kierunku Janowic. Jest ostatnim Niemcem opuszczającym miasteczko.

7 listopada 1957 roku Maksymilian von Glyschinsky pisze list do swojego starego przyjaciela, grafa Christiana Friedricha zu Stolberga-Wernigerodego: „Pałac w Johannesdorfie jest teraz domem starców. Ogrodnictwo jest czynne, a budynki gospodarcze w dobrym stanie. Domek celnika, w którym mieszkała rodzina Stiefów, zawalił się, tak samo dom dzierżawcy. Pałac w Rohrlach należy teraz do państwa.

Najgorzej wygląda Kupferberg. Był od 1948 roku największą kopalnią uranu na Wschodzie. Główny szyb kopalni znajdował się na polu Gräbela. Gospodarstwo po prostu zburzono i na tym miejscu wykopano głęboki na trzysta metrów szyb wydobywczy. Gruz rozsypano na leżący poniżej teren rolny. Posiadłość grafa została całkowicie zlikwidowana, stajnie zamieniono na warsztaty, dziedziniec na plac składowy. W pałacu zakwaterowały się dwie kompanie rosyjskiej piechoty jako ochrona kopalni. Po zlikwidowaniu kopalni pałac służył jako dom kolonijny dla dzieci. Wokół Kupferbergu wykopano łącznie trzydzieści cztery szyby kopalniane i tyleż samo usypano hałd. Bergmühle unieruchomiono. Turbinę oddano na złom, pozostałe części maszyny jeszcze tam są. Mieszka tam też ten Polak, którego sprowadził jeszcze burmistrz Fürle. Drewniany mostek przez Bóbr został zniszczony, to samo stało się z domem pana Teigego. Przy Bergmühle jest pompownia wody dla Kupferbergu. Duże ilości wody były potrzebne do chłodzenia potężnej mocy kompresorów dostarczających

powietrze do kopalni uranu. Do tego celu wybudowano też duży basen na wodę umiejscowiony powyżej targu bydła.

Stan ogólnego zdżiczenia przejmuje jednak grozą”

Grobów nie ruszać

– Ostatniego chowali tam jakiegoś Niemca, i to już robił polski ksiądz. Ten Niemiec musiał być strasznie niski, bo największe wrażenie zrobiło na mnie to, że ta trumna była taka mała.

Do cmentarza prowadziła żelazna, kuta brama, a na skrzyżowaniach alejek stały kamienne figury aniołów. Na każdym skrzyżowaniu jeden. Każdy miał ze dwa metry wysokości. Zresztą my wtedy byliśmy dziećmi, może nam się tylko wydawało, że one były takie wielkie? Ten mur, który był dookoła, też wydawał nam się nie do przejścia, a jednak jakoś przechodziliśmy.

Na tyłach cmentarza były grobowce niemieckich bogaczy, wielkie jak te, które stoją w Jeleniej Górze przy kościele garnizonowym. W każdym były miejsca na kilka trumien. Raz uciekliśmy z domu i do jednego z tych grobowców nanieśliśmy siana. Spędziliśmy tak całą noc, było ciepło i nikomu nie przyszło do głowy, żeby nas tam szukać. Wtedy w tych grobowcach nie było już trumien. Nie wiem, co się z nimi stało.

– Przyjechali ciągnikami, nikt ich nie znał. Zaczepiali łańcuchami o nagrobki i wyciągali całe płyty na drogę. Potem załadowali to na przyczepy i odjechali. Zostały tylko te odsłonięte groby i po jakimś czasie ludzkie kości zaczęły walać się po całym miasteczku. Jednego dnia dzieciarnia grała w piłkę ludzką czaszką.

– Tymi deskami paliliśmy w piecach. Szło się do grobowca i wyciągało drewno. Tam nie było w środku kości, bo Niemcy w tych grobowcach składowali same puste trumny. Dlatego nic w tym złego, że my te trumny paliliśmy.

– Ci, którzy później przyjeżdżali po kamień, byli z Bielska. Jeździli od wioski do wioski przez cały Dolny Śląsk i zbierali niemieckie nagrobki. Potem ścierali z nich stare napisy i używali znów, jak umarł jakiś Polak. Pomagałem za parę groszy ładować te kamienie na samochody. U nas to wszystko tylko krzakami zarastało, nikt z tym nic nie robił.

– Mieliśmy po kilka lat. Poszliśmy tam jednego dnia, a chłopcy weszli do jednego z tych większych grobowców. My zostałyśmy na zewnątrz, bo się bałyśmy, a poza tym ktoś musiał patrzeć, czy nikt nie idzie. Chłopcy otworzyli obie trumny. W pierwszej była tylko jedna osoba, a w drugiej chyba kobieta, bo między nogami miała małą czaszkę. Tak jakby umarła razem z dzieckiem w trakcie porodu albo tuż po. Chłopcy nadziali tą małą czaszkę na patyk i biegali z nią po całej wsi, a potem wyrzucili w krzaki.

Już po wszystkim, w nocy, mi się ta mała czaszka przyśniła. Obudziłam się z krzykiem i powiedziałam o wszystkim mamie. Straszne dostałam wtedy lanie. Rodzice kazali nam znaleźć tę czaszkę i odłożyć tam, skąd żeśmy ją zabrali. Mamusia mi wtedy jeszcze powiedziała, że tego, co jest w grobach, nie wolno ruszać.

– Cmentarz to było miejsce, gdzie kwitło życie towarzyskie: tam się chodziło na piwo, pograć w karty albo jak się chciało ukryć przed kobitą. Ale nikt z tym cmentarzem nic złego nie robił, tam się żadne takie rzeczy nie działy.

– Gdy w miasteczku zaczęli znów pojawiać się Niemcy, to od razu szli właśnie tam. Najpierw szli na cmentarz. I chodzili po nim, ale nie było widać po nich złości. Oni nawet nie pytali, dlaczego tak się stało. Po prostu chodzili w tę i z powrotem. I wie pan – to, że oni o nic nas nie pytali, było najgorsze.

– Cmentarza nie pamiętam, ale my do miasteczka sprowadziliśmy się dość późno. Ludzie mówili, że tam były groby, ale wtedy już po nich śladu nie było. Ja tam chodziłem przed Bożym Ciałem po gałązki, z których mama i babcia plotły potem wieńce.

– Nam matka często mówiła: „Grobów nie ruszać”, ale tam przecież wszyscy chodzili. Myśmy nawet zawody robili, kto z tych trumien odkręci więcej takich srebrnych aniołków. W szkole te aniołki to przez chwilę były

nawet czymś w rodzaju waluty. Zdobycie nowych było łatwe, bo cmentarz był po drugiej stronie drogi, więc na przerwach biegaliśmy tam i chłopcy wyciągali dla nas te aniołki z grobów.

– Ten ostatni szkielet wyciągnęli latem. To było tuż przed moim wyjazdem do technikum, koniec podstawówki. Nudzili się, wyciągnęli go z grobu i postawili pod murem. Wyglądało to tak, jakby on sam z tego grobowca wyszedł.

Mur też rozebrali, bo on był z dobrych kamieni. Później była tam już tylko łąka i na tej łące pasły się krowy kilku gospodarzy. A my mieszkaliśmy tak, że ja te krowy widziałam z okna i obserwowałam, do kogo one należą. I potem biegłam do mamusi i mówiłam, żeby od tych gospodarzy mleka nie kupować, bo ich krowy pasą się na cmentarzu. Mnie się to wtedy wydawało obrzydliwe, żeby takie mleko pić.

– Co się później działo z tym cmentarzem?

– Kiedy „później”?

– No, jak już go wyszabrowali.

– Ale przecież nikt tam nie szabrował. Później już się z nim nic nie działo.

– Ale teraz go nie ma.

– No nie ma. Tylko tablica pamiątkowa jest. Ten Niemiec postawił. Ja nie wiem, co się działo z tym cmentarzem potem, czy ten cmentarz się sam zawalił. Nie mam pojęcia.

Była taka obawa

– Mamusia zostawiała nas często w domu i wtedy ja musiałam się opiekować moją młodszą siostrą. Mieszkałyśmy w tym szarym domu na samej górze, przy zakręcie drogi. Tam podobno kiedyś była niemiecka gospoda, ale jak myśmy tam mieszkali, to po tej gospodzie nie było już śladu.

Jednego dnia zostałyśmy same w całym domu. Było prawie południe, gdy miałam wyjść po coś na zewnątrz. I gdy podeszłam do drzwi, to usłyszałam taki hałas na schodach, jakby tam biegła gromadka dzieci. Wyszłam zaraz na zewnątrz, ale tam nikogo nie było, a na górze drzwi były zamknięte. Cały dzień przesiedziałam potem w pokoju i bałam się ruszyć.

– W czasie imprez mój ojciec zawsze wysyłał Wacka po wódkę do Janowic. Sklepy nocą były zamknięte, ale jak się chciało wódki, to wiadomo było do kogo iść i w które okno zapukać. Wacek zwykle chodził starą drogą, żeby było szybciej. Raz poszedł, ale nie minęło piętnaście minut i wrócił z obłędem w oczach. Mówił, że w lesie zagrodziła mu drogę taka czarna postać. I on ją próbował minąć, ale jak ruszył w lewo, to postać też, a jak w prawo, to ta postać za nim. I już jej chciał Wacek dać w mordę, gdy ona się rozplynęła. I niby mógł pójść po ten bimber do Janowic, tyle że jemu już się zupełnie odechciało pić i wrócił.

– Do jednego z tych, którzy szabrowali cmentarz, przyszła w nocy trupia czaszka i mu powiedziała: „Ty masz mnie odnieść tam, skąd mnie wzięłeś” I on przerażony następnego dnia pobiegł i tą czaszkę włożył do grobu. I już wszyscy mieli potem nauczkę, żeby tych grobów nie ruszać. Wśród ludzi

była taka obawa, że Niemcy w zemście zostawili tu swoje duchy, które nas będą niepokoić.

– Przy starej drodze na Mniszków był grób magnata czy rycerza. I tam zawsze na pierwszego listopada stoi świeca i nikt nie wie, kto ją zapala, bo żeby tam się dostać, to trzeba przejść koło domu Pławiaków. A Pławiakowie pilnują, żeby im nikt po polu nie łaził i nigdy nie widzieli, żeby tam ktoś we Wszystkich Świętych szedł ze świecą.

Kiedyś, jak przechodziłyśmy wieczorem koło tego grobowca, to przez drzewa zobaczyłyśmy, że z tego miejsca idzie taka łuna świetlista, jakby tam ktoś tysiąc żarówek zapalił. I już nigdy więcej tam nie chodziłyśmy.

– Duchów w miasteczku było pełno, ale w głowach ludzi. Nas babcia straszyła, że w chlewiku, w którym my nigdy świń nie trzymaliśmy, słysząc w nocy kwik zarzynanych prosiaków. Więc myśmy się od tego chlewika trzymali z daleka. Ale babci chodziło tylko o to, żebyśmy tam nie wchodzili, bo on się cały walił i mogłoby nam coś na łeb zlecieć.

Babcia straszyła nas też, że mamy być grzeczni, bo jak nie będziemy, to przyjdą do nas duchy dzieci, które Niemcy rzekomo zakopali żywcem pod podłogą domu. Tych zakopanych dzieci baliśmy się najbardziej.

– W jednym z szybów straszyło. Jak wracałam z popołudniówek z fabryki w Marciszowie, to koło niego przechodziłam. To było zwykle po dwudziestej drugiej i tam ciągle było słyszeć takie dudnienie i krzyki, aż skóra cierpła. Chodziłam potem inną drogą tylko po to, żeby nie słyszeć tego wszystkiego.

– Ten las, przez który trzeba było przejść, idąc z miasteczka do Janowic, był nawiedzony przez ducha kominiarza, który się tam zabił z miłości. I myśmy zawsze przez ten las starali się biec, żeby niczego nie zobaczyć i niczego nie słyszeć, bośmy się tego kominiarza strasznie bali.

Na skraju lasu rosło takie potężne drzewo z częściowo wypalonym pniem. I w tym pniu często chowali się chłopcy zawinięci w prześcieradła i nas straszyli, jak wracałyśmy ze szkoły. Ale to były wszystkie duchy, jakie na Miedziance straszyły.

Niemcy idą

W sierpniu 1961 roku reporter „Nowin Jeleniogórskich” pisze: „Bywają ponoć miejscowości, przeciwko którym sprzysięgło się wszystko zło błakające się po świecie. Na takie upośledzone miasteczka i wsie spada zawsze grad, oszczędzając sąsiednie miejscowości, tam najczęściej pioruny wznecają pożary. Tak przynajmniej twierdzą ludzie zabobonni.

Inni, których bardziej zajmuje doczesność, twierdzą, że jak PKS ma gdzieś odwołać kursy swoich wozów, to zrobi to właśnie w tej upośledzonej miejscowości.

Kłeska i fatum obiera sobie tu siedlisko, a co gorsze jeszcze, że ludzie bezduszni dokładają się swą ciężką pracą do nieszczęść takiej umęczonej miejscowości. Miedzianka jest umierającym półtrupem miasteczka, które gotowe nie dożyć dni swej przyszłej chwały. Miedzianka umiera z dnia na dzień. Na czterdzieści opuszczonych budynków rozleciało się już w gruzy około dziesięciu. Zerwane dachy straszą w różnych częściach rynku. Co dzień gniją dalsze okna i drzwi, framugi, progi i podłogi. Później zacieka deszcz i budynek kładzie się jak człowiek, któremu podcięto nogi”

1

Pierwsze wspomnienie Bogdana Spiża z Miedzianki: wiatr unosi kolorowe pudełka, a szklane buteleczki toczą się z brzękiem drogą w kierunku Janowic. Bogdan czuje bezradność. Ma sześć, może siedem lat. Jest połowa lat pięćdziesiątych. Właśnie zlikwidowano aptekę w rynku. To, co po niej

zostało, jest dla takiego brzdąca jak on bezcennym skarbem. Wziął, ile mógł, szedł do domu, gdy zerwał się wiatr. Nie wie, co robić, ratować to, co upadło, czy wytrwać i donieść do domu cokolwiek.

Ostatnie wspomnienie Bogdana Spiża z Miedzianki: tata płacze.

Mieszkają w żółtej willi w dolnej części miasteczka. Nieopodal jest browar, a Stefan Spiż jest jego kierownikiem, ma pod sobą prawie dwudziestu pracowników i dlatego przesiaduje tam całymi dniami. Ciągłe powtarza starą maksymę browarników:

– Są trzy zasady przygotowywania piwa: pierwsza to porządek, druga to porządek, trzecia to porządek. Innych zasad nie ma.

W piwnicach browaru jest suszarnia, na górze znajdują się tanki, tam warzy się piwo. W innym miejscu leżą wielkie bloki lodu służące do chłodzenia pomieszczeń. Pracownicy browaru dbają o dzieci Spiżów jak o własne. Basia, Hania i Bogdan mogą jeździć na łyżwach na pobliskim stawie. Oczywiście, każde ich pojawienie się tam sprawia, że na staw biegnie też cała dzieciarnia z okolicy i wkrótce jest tam taki tłok, że o żadnej jeździe nie ma mowy.

Zakładowy dekarz robi też małym Spiżom sanki, Bogdanowi pomaga zaś zorganizować hodowlę gołębi na strychu willi. Nic z tego nie wychodzi, w okolicy grasuje jastrząb-gołębiarz i każdy wylot stada kończy się tragedią. Kierowca zakładowego samochodu Stanisław Czapla pozwala też Bogdanowi siadać na miejscu pasażera w szoferce wielkiego zisa i gdy tylko może, zabiera go w trasę po restauracjach i sklepach, które odbierają piwo warzone w Miedziance. Jeżdżą tak do Szklarskiej Poręby, Karpacza, Świerzawy, a nawet Złotoryi i Gryfowa Śląskiego. Małe, specjalnie w tym celu produkowane beczki z piwem Złoto Miedzianki trafiają też do schroniska Szwajcarka. Zaletą tych wycieczek jest nie tylko możliwość przejażdżki wielką ciężarówką, lecz także szansa napicia się lemoniady. Przy niemal każdym browarze działa bowiem dodatkowo rozlewnia tego smakołyku. Podobnie było zresztą w Miedziance, tuż obok browaru była przecież do niedawna rozlewnia starego Gliszczyńskiego. Bogdan był tam wiele razy, Maksymilian przyjaźnił się z jego ojcem. Chłopiec obiecał sobie

nawet, że jak dorośnie, sam będzie produkował lemoniadę i już nigdy mu jej nie zabraknie.

2

Jest rok 1959, gdy „Nowiny Jeleniogórskie” donoszą: „Robotnik browaru w Miedziance, Pisarczyk, od dłuższego czasu wynosił stale z zakładu drobne stosunkowo ilości jęczmienia, co mu jak dotąd uchodziło bezkarnie. Tak go to rozzuchwaliło, że pewnej nocy wyniósł z browaru aż 4,5 kwintala jęczmienia. Tym razem jednak noga mu się powinęła. Zauważył go przy wynoszeniu worków z jęczmieniem dozorca nocny i zaalarmował kierownika browaru, który z kolei powiadomił posterunek MO w Janowicach. Zarządzona niezwłocznie rewizja w mieszkaniu Pisarczyka ujawniła 1270 kg jęczmienia stanowiącego własność browaru. Pisarczyk został aresztowany i osadzony w więzieniu” Kilka numerów później gazeta informuje, że Miejska Rada Narodowa w Jeleniej Górze podjęła decyzję o budowie nowego osiedla mieszkaniowego na dwudziestohektarowym placu przy ulicy Legnickiej. Kompleks będzie wyposażony nie tylko w wygodne bloki mieszkalne, lecz także sieć handlową, kino, restaurację i niezbędne do życia punkty usługowe. Pierwszych dziesięć hektarów ma być zabudowanych do 1965 roku. W sumie na nowym osiedlu powstanie pięć tysięcy izb mieszkalnych. Już w marcu następnego roku redakcja wraz z prezydium Miejskiej Rady Narodowej organizuje konkurs na nazwę osiedla. Mieszkańcy miasta przysyłają kilkadziesiąt propozycji. Wśród tych rozpatrywanych przez jury są takie jak: Bolkogród, Pokój i Przyjaźń, Zjednoczenie, Postępu, Żwirki i Wigury, Sarenka. Wygrywa pomysł, by osiedle nazywało się Piastowskie. Szybko okazuje się jednak, że inne Piastowskie powstało właśnie w Bolesławcu. Z pomocą przychodzą pracownicy Wydziału Zdrowia Prezydium MRN. Według nich osiedle powinno mieć nazwę Zabobrze. „Za nazwą przemawiają następujące okoliczności: jest ona utworzona od istniejącej, bardzo starej słowiańskiej

nazwy rzeki Bóbr, zbudowana jest zgodnie z zasadami polskiego nazewnictwa i jest łatwa w potocznym użyciu” – tłumaczy redakcja.

3

Odkąd zamknięto kopalnię, Miedzianka pustoszeje. Teraz mieszka tu około trzystu osób. Większość z nich pracuje w papierni w Janowicach i w zakładach lniarskich w Marciszowie. Część dojeżdża do pracy aż do Jeleniej Góry. PKS zatrzymuje się w miasteczku cztery razy dziennie. Coraz więcej jest tutaj opuszczonych domów, część z nich nadaje się do rozbiórki, inne wymagają remontu i pewnie mogłyby zostać zamieszkane. Działa tylko jeden sklep i zakład rzeźniczy starego Zygmunta Pikusa. Po pieczywo mieszkańcy Miedzianki chodzą do piekarni Mirosiów w Janowicach Wielkich. Jest jeszcze świetlica, co tydzień zabawy urządza tu Koło Gospodyń, pomaga im w tym Helena Spiż.

Władze gminy zdają sobie sprawę, że wyludniające się miasteczko wkrótce stanie się problemem. Próbują więc sytuację ratować. Pod koniec lat pięćdziesiątych w Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego w Wałbrzychu ktoś wpada na pomysł, by wyremontować kilka domów w Miedziance i osiedlić tam górniczych emerytów. Miasteczko ma zdrowy klimat, jest tam cisza i spokój, gdyby przywrócić mu samowystarczalność, emeryci mogliby tam mieć jak w raju.

Wkrótce ruszają pierwsze remonty. Domy, które były w najlepszym stanie, szybko pięknieją. Emeryci jednak nigdy nie pojawiają się w miasteczku. W czasie robót okazuje się bowiem, że większość domów stoi na zbyt niepewnym gruncie. Robotnicy odkrywają zapadnięte piwnice, popękane ściany; osuwiska i kratery powstają tu z dnia na dzień. Plan wałbrzyskich górników tylko wtedy miałby sens, gdyby w miasteczku udało się osiedlić sporą grupę starszków. Osadzenie tutaj kilku osób skazałoby je na wegetację w trudnych do zaakceptowania warunkach.

Na wyremontowane domy szybko znajdują się jednak chętni. Oni o zniszczeniach górniczych nie mają po prostu pojęcia. W miasteczku

pojawia się ostatnia grupa osadników. Pochodzą z centralnej i wschodniej Polski, wśród nich są też repatrianci z Ukrainy i Białorusi.

Pod trzydziestym czwartym zamieszkuje rodzina Gębusiów. Przyjechali z Częstochowy. Nie mogli tam dostać mieszkania, bo prowadzili kiosk z dewocjonaliami pod Jasną Górą, a jeden z ich synów jest księdzem. Władzy to wystarczyło, by uprzykrzyć im życie. Zajmują dom, w którym była apteka – to stamtąd mały Bogdan Spiż wynosił niedawno swoje skarby. W czasie wojny kamienica należała do aptekarza Kurta Haenisch, można to jeszcze wyczytać z wyblakłych napisów na froncie budynku. Przed Haenischem mieszkał tam zaś sam myśliwy Rotter. Na strychu zostało po nim mnóstwo myśliwskich trofeów, w tym także imponującej wielkości dwunastak ustrzelony przed laty. Teraz mała Hania Gębuś wynosi te skarby, a koledzy robią jej z nich brosze i wisiory.

Mniej więcej w tym samym czasie w Miedziance pojawia się rodzina Klubów. Wysiadają obładowani tobołkami na dworcu w Janowicach. Baśka Kluba ma pięć lat, nigdy nie widziała tak stromej góry, z trudem podąża więc za rodzicami. Jeszcze większe problemy ma trzyletni zaledwie Janek. Wszystko wydaje się olbrzymie: drzewa rosnące wzdłuż drogi i góry otaczające miasteczko. Gdy dochodzą do pierwszych zabudowań Miedzianki, na ich spotkanie wybiegają miejscowe dzieci, a gospodynie wyglądają z zaciekawieniem przez okna. Rodzina Klubów przedstawia widok dość osobliwy – dwoje dzieci w lichych ubrankach wraz z rodzicami, a każdy obładowany niezliczoną ilością bagażu. Miejscowi przyglądają im się w milczeniu. W pewnym momencie Baśka słyszy wyraźnie za swoimi plecami słowa, które zapamięta już na zawsze:

– Niemcy idą.

Na nowych mieszkańców będzie się mówiło w ten sposób jeszcze przez kilka lat.

Wśród tych, którzy pojawiają się w miasteczku pod koniec lat pięćdziesiątych, jest też Irena Barwicka. W pięćdziesiątym ósmym mieszka jeszcze wraz z mężem w Andrzejewiczach na Białorusi, pracują na kolei, mają ładne mieszkanie w dworcowym budynku, tu wychowują roczną Alinę. Któregoś dnia przychodzi jej teść i mówi:

– Słuchaj, my będziemy wyjeżdżać do Polski. Tu się nie da żyć.

Jest Polakiem, a odkąd odmówił zapisania się do kołchozu, gospodarzy mu się coraz trudniej. Polska przyjmuje jeszcze repatriantów i to jest ostatni moment, żeby wyjeżdżać. Irena siada z Władkiem przy stole, myślą. Im żyje się dobrze, ale bez rodziców nie dadzą sobie rady. Postanawiają złożyć dokumenty. Po kilku dniach dostają odmowę, a Władysław Barwicki wezwanie na posterunek NKWD.

– Co, Barwicki? Sajuz się wam nie podoba?

Władek wie, że jeśli odpowie źle, już nigdy Ireny nie zobaczy, tłumaczy, że urodził się w Polsce i teraz tam wyjeżdżają jego rodzice. I on z tęsknoty za nimi też chce wyjechać. I tylko dlatego. Zgody nie otrzymuje, ma się starać w Grodnie. Tam nie zdąży nawet dobrze gęby otworzyć, gdy usłyszy:

– Macie dziesięć dni albo zostaniecie tu już na zawsze.

Szybko sprzedają kury i prosiaka, pakują się i wsiadają do pociągu. W międzyczasie przychodzi list od rodziców Władka. Piszą, że mieszkają w Miedziance na Dolnym Śląsku, mają dwupoziomowe mieszkanie i dużo pola. „Na pracę w kolejach nie ma szans, ale damy radę gospodarzyć” – kończą.

Droga do Polski trwa kilka godzin, na granicy odbierają im wszystkie wystawione przez radzieckie władze dokumenty i puszczają dalej. Punkt repatriacyjny jest w Białej Podlaskiej. Polscy urzędnicy pytają, czy Barwiczcy wiedzą, dokąd chcą jechać, proponują Zieloną Górę albo Gorzów.

– My już mamy rodzinę w Miedziance. Tam jedziemy – odpowiadają. Irena dostaje bilet na pociąg osobowy i wyrusza z Aliną na zachód. Władek dojedzie później pociągiem towarowym razem z całym dobytkiem.

25 kwietnia 1959 roku, jeszcze przed obiadem, Irena Barwicka wysiada wraz z małą Alinką na dworcu w Janowicach. Ludzi wracających z kościoła pyta, którędy na Miedziankę. Mówią, że trzeba iść pod górę, jak minie browar, będzie na miejscu. Idą, Alinka zbiera kwiatki, Irena rozgląda się po okolicy. Mijają dwa kamienne krzyże, jest też browar. Potem Irena staje jak wryta. Miasteczko wygląda tak, jakby właśnie przeszedł przez nie front. Domy bez okien, drzwi powyrywane, gdzieniegdzie gruzy. Jeden z kościołów w kompletnej ruinie, drugi zamknięty na cztery spusty. Pyta

o Barwickich, ktoś pokazuje jej drogę. Gdy widzi dom, w którym ma zamieszkać, zaczyna płakać. Na spotkanie wybiega jej szwagierka, potem teściowie. Irena nie wytrzymuje:

– Gdzie wyście nas ściągnęli?! Na Zieloną Górę nas kierowali, do Gorzowa, do nowych bloków, wszędzie by było lepiej niż tu! Nawet w Andrzejewiczach.

Wchodzą do środka, ale tu nie jest lepiej. Irena nie może się opanować, boi się też, co zrobi Władek, gdy zobaczy trzy zrujnowane pokoje bez ogrzewania, w których gnieździć się będą teraz w ośmioro. I rzeczywiście, Władysław Barwicki, gdy tylko wysiadzie z ciężarówki, którą przywiózł dobytek, rzuci tylko do ojca:

– Gorszej dziury nie znaleźliście?

A potem nie będzie się do niego odzywał przez kilka następnych tygodni.

4

Pierwszy telewizor w Miedziance stoi w małej świetlicy, którą zorganizowano w willi przy browarze. Teoretycznie miejsce to przeznaczone jest tylko dla pracowników zakładu. W praktyce korzystają z niego wszyscy mieszkańcy. Obsługą odbiornika zajmuje się Bogdan. Tylko on umie włączać go i wyłączać, wie także, co zrobić, gdy pogorszy się odbiór, a walenie pięścią nie pomaga. Kłopot w tym, że chłopiec potrzebny jest w świetlicy tylko wtedy, gdy trzeba coś przy telewizorze pomajstrować. Gdy tylko na szklanym ekranie ukaże się obraz, dorośli wypędzają malucha na zewnątrz. Bogdan potrafi jednak walczyć o swoje. Gdy w czasie projekcji *Kobry* nagle obraz znika, wszyscy wołają właśnie jego. On postanawia obrazić się profilaktycznie i przez dobry kwadrans pozostaje w swym postanowieniu nieugięty. W końcu, po obietnicy, że będzie mógł zostać, znów kręci jakąś gałką. Od tego czasu już nikt nie będzie ryzykował i chłopiec ma zagwarantowane miejsce w pierwszym rzędzie oglądających.

Skapitalizować potencjał, który drzemie w jedynym w miasteczku telewizorze, umie też Baśka Spiż. Postanawia inkasować po dziesięć złotych za wstęp od wszystkich dzieci, które przyszły na dobranockę. Sprawa wychodzi na jaw jeszcze tego samego wieczora, do Spiżów przybiegają zbulwersowane matki, których pociechy wróciły z płaczem do domu. Baśka musi przejść po wszystkich domach w miasteczku i oddać pieniądze. Potem dostaje jeszcze lanie od ojca. To rzecz rzadka, Stefan Spiż jest bowiem człowiekiem spokojnym i zrównoważonym. To raczej cichy i obojętniejszy łagodny flegmatyk. Nikt w miasteczku nie pamięta, by widział kiedykolwiek kierownika browaru w stanie wzburzenia. Co więcej, mało kto pamięta, by Spiż podnosił głos. Za każdym razem, gdy musi sprawić Baśce albo Bogdanowi lanie, przychodzi do nich wieczorem i tłumaczy:

– To, że dostaliście w skórę, znaczy tylko tyle, że zrobiliście coś złego. A ja was kocham i nie chcę, byście robili złe rzeczy. Rozumiecie to?

Zupełnie inna jest mama. Pracownicy browaru śmieją się nawet, że kierownikiem jest tu wprawdzie Stefan, ale bać trzeba się Heleny. Jest to kobieta energiczna, pewna siebie i zdecydowana. Potrafi huknąć albo zmyć komuś głowę. Niekiedy można odnieść wrażenie, że Stefana całkowicie trzyma pod pantoflem. To jednak tylko pozory, Stefan ma swoje za uszami, nie stroni od piwa, w browarze utarło się nawet zawołanie, którym pracownicy rozpoczynają dzień. Gdy kierownik tylko pojawi się na horyzoncie wołają: „Stefanku, piwa z tanku!” Siadają wtedy razem niemal całą załogą, a jeśli na dworze jest chłód, świeże piwo podgrzewają w specjalnych puszkach zanurzanych w gorącej wodzie. Stefan lubi do tego wypić dwa, a nawet trzy surowe jajka. Dopiero tak pokrzepiony może rozpocząć pracę. W ciągu dnia do warzelni zachodzi jeszcze parokrotnie. W browarze co rusz pojawiają się jego znajomi, urzędnicy z gminy, milicjanci. Z każdym trzeba się napić. Piwo jest tu po prostu napitkiem takim, jak każdy inny. Popija się nim drugie śniadanie, a schłodzonym koi pragnienie w upały.

W te dni, gdy przez browar przewinie się zbyt wielu znajomych, nawet w głowie Stefana zaczyna nieco szumieć. Helena jest wtedy na niego zła.

Wieczorne kłótnie rodziców odbywające się w kuchni dzieci zapamiętają na długo. Z reguły słychać wtedy uniesiony głos matki i uspokajający ton ojca.

Powodem kłótni rodziców z pewnością są też plotki, które pojawiają się w miasteczku co jakiś czas. Ludzie gadają, że jak Stefan Spiż ma zatrudnić w browarze dziewczynę, to ta dziewczyna musi być ładna, inaczej na przyjęcie do pracy nie ma szans.

Baśka Sobieś jest ładna. Pracę w browarze dostaje jednak nie dzięki swojej urodzie, ale dzięki skierowaniu z urzędu pracy, do którego zgłosiła się zaraz po ukończeniu szkoły. Sprawdzili jej miejsce zameldowania – Miedzianka, wysłali więc do jedyne go zakładu w miasteczku. Pracuje jako fermentorka; gdy pojawia się w browarze, ludzie od razu zaczynają szeptać. Być może dlatego, że Stefan Spiż jest szczególnie wylewny, jeśli chodzi o komplementy. Gdy pewnego dnia zakład wizytują kontrolerzy z Wałbrzycha, kierownik, przedstawiając swoją fermentorkę, mówi:

– A to jest Baśka, moja najpiękniejsza pracownica!

Ktoś, kto kierownika zna mniej, może więc sobie pomyśleć, że za tymi komplementami idzie coś więcej. Plotka pada na żyzny grunt. Niekiedy tak żyzny, że dochodzi do dramatu. Swojego czasu w browarze pracuje piękna Adela, do pracy w Miedziance oddelegowano ją z browaru w Lwówku Śląskim. Pracuje w biurze, siłą rzeczy często przebywa z kierownikiem. Ludzie gadają o nich cały czas, wytykają Adelę w miasteczku palcami. Dziewczyna w końcu nie wytrzymuje, z płaczem rzuca pracę i opuszcza Miedziankę.

Jest jeszcze Werka Butyńska. O niej też gadają. Werka przyjechała ze Wschodu, mieszka w Janowicach, ma maleńkie dziecko i nie ma chłopaka, bo gdy tylko dowiedział się, że będzie ojcem, uciekł w Polskę. Została sama, bez pracy i z dzieckiem na utrzymaniu. W Boże Narodzenie 1965 roku chce się nawet z tego powodu zabić. Przewija właśnie dziecko, gdy do domu wchodzi jej wuj. Werka prosi go, by zamknął drzwi, na zewnątrz szaleje zamieć, mały może od przeciągu zachorować.

– Zrobiłaś sobie, kurwo, jedno, to jak ci zdechnie, zrobisz sobie drugie – słyszy odpowiedź. Szybko zabiera małego i idzie na poddasze. Kładzie dziecko do łóżka, z szuflady wyciąga lekarstwa. Chce połknąć wszystko,

ale nie ma siły. Patrzy na leżące tuż obok maleństwo i wie, że jakkolwiek by to jej życie wyglądało, dziś się ono nie skończy.

Pomocną dłoń wyciąga do Werki nie kto inny, jak Stefan Spiż, oferując jej pracę w browarze i nie grymasząc na to, że młoda mama przychodzi do pracy razem z dzieckiem. W suszarni ścielą posłanie z kożuchów – jest tam ciepło i sucho, suszarnia to też takie miejsce, w którym ciągle ktoś się kręci, pracownicy mają więc ciągle baczenie na malca. Gdy Sławek podrośnie, stanie się prawdziwą maskotką i pupilem całej załogi.

Weronka jest w browarze lubiana. Do pracy się garnie, mężczyznom imponuje, że sama potrafi wziąć na plecy pięćdziesięcikilogramowy worek jęczmienia i wnieść go na drugie piętro. Gdy zaś trzeba jechać do Janowic i rozładować na bocznicę wagon z dostawą, Werka tak jak mężczyzna wsiada na ciężarówkę i jedzie z innymi. W pamięci większości z nich utkwiają jednak te chwile, gdy Werka w samej bieliźnie przegarnia suszące się w podziemiach browaru wysłodki. Zwłaszcza latem jest tam tak ciepło, że praca ta jest możliwa tylko w półnagliżu. Gdy Werka ma więc zejść do podziemia, Stefan Spiż zarządza, aby wszyscy mężczyźni je opuścili. Najbardziej ciekawscy próbują podglądać przez piwniczne okienka. Bywa więc tak, że Stefan w milczeniu zakrada się do nich i garbuje im skórę kijem przygotowanym na takie okazje. Być może także to sprawia, że ludzie we wsi gadają o płomiennym romansie Werki i kierownika browaru.

Wszystkie te głosy docierają do Heleny Spiż, więc Stefan po powrocie z pracy musi wysłuchiwać jej złorzeczeń. Jedna z tych awantur kończy się nawet specyficzną separacją – Stefan ma przez kilka dni zakaz wstępu do domu, Helenie zaś nie wolno wejść na teren browaru. Zwłaszcza w tej drugiej kwestii najbardziej jednak cierpią pracownicy – rzuceni między młot a kowadło, boją się podpaść kierownikowi, ale nie mają odwagi sprzeciwić się energicznej Helenie. Z czasem jednak złość wszystkim przechodzi i sprawy wracają na swoje dawne tory.

W 1962 roku Bogdan i Baśka Spiżowie kończą podstawówkę i Bogdan postanawia być wierny swojemu postanowieniu z dzieciństwa. Chce mieć rozlewnię lemoniady. Szkół uczących produkcji lemoniady jednak nie ma, jest natomiast technikum browarnicze w Tychach. Z Baśką jest więcej kłopotu, bo co chwilę zmieniają jej się pomysły na życie. Raz chce być nauczycielką, innym razem pielęgniarką. Trudno się w tym wszystkim połapać. W końcu nie wybiera ani jednego, ani drugiego i za namową brata także postanawia wyjechać do Tychów. Za naukę w szkole z internatem płaci lwówecki browar, któremu podlega zakład ich ojca w Miedziance. Umowa jest prosta – browar inwestuje w ich naukę, oni po jej zakończeniu będą pracować w Lwówku albo Miedziance.

Wyruszają w podróż jeszcze w sierpniu tego samego roku. Odtąd Miedziankę będą oglądać rzadko, dwa razy w roku, na święta i w czasie wakacji, ale tylko wtedy, gdy nie będą musieli odrabiać praktyk zawodowych w innych browarach. Zresztą jesienią z miasteczka na kilka miesięcy wyjeżdża cała rodzina Spiżów. Stefan otrzymuje zadanie zajęcia się produkcją w Lwówku, stanowisko kierownika przejmuje na ten czas Jerzy Słowiński. Jest on wyznawcą tej samej zasady, co Stefan Spiż: sekretem dobrego piwa jest porządek, porządek i jeszcze raz porządek. Druga w kolejności jest odpowiednia jakość wody. A tej w Miedziance zaczyna brakować. Browar produkuje milion litrów piwa rocznie, co pokrywa jedną piątą zapotrzebowania deklarowanego przez spragnionych mieszkańców regionu. Każdy obywatel powiatu jeleniogórskiego wypija bowiem w ciągu roku aż 46 litrów złotego trunku. Jeśli odliczyć dzieci i osoby najstarsze, wychodzi, że każdy jeleniogórzanin w sile wieku wypija rocznie dwieście litrów piwa. Zawód browarnika z pewnością ma więc przyszłość. Pytanie, czy przyszłość tę ma w Miedziance. Browarniane ujęcie wody nie jest w stanie pokryć zapotrzebowania zakładu, coraz częściej Słowiński musi korzystać z miejskiego wodociągu. Być może dlatego mówi się niekiedy o możliwości zamknięcia browaru, ale nikt, kto piwa z Miedzianki skosztował, nie bierze tych plotek poważnie. Zakład jest przecież jedynym browarem w okolicy. W wojewódzkich degustacjach piwo z Miedzianki zawsze zajmowało czołowe miejsca, a Stefan Spiż był

wówczas pytany o sekret tak wyśmienitego piwa. Z szelmowską miną odpowiadał, że sukces ukryty jest w prawidłowym stosowaniu odpowiedniej temperatury oraz w jakości wody czerpanej do produkcji piwa w Miedziance. O swoich trzech zasadach rządzących produkcją piwa dziennikarzom i konkurentom raczej nie wspominał.

6

W sześćdziesiątym trzecim znika czereśnia w ogrodzie u Czapłów. Jest lipiec, ale leje jak w październiku. Wczasowicze snują się po Janowicach albo pakują walizki i uciekają. Ze szczytu Miedzianej Góry spływają niewielkie potoczki. Niektóre docierają aż do rzeki, która zrobiła się już brunatna i mętna, inne gubią się gdzieś po drodze. Ludzie już wiedzą, co to znaczy, uważniej patrzą pod nogi, tutaj długotrwały deszcz jak nigdzie indziej wróży kłopoty. Ziemia nasiąka i robi się ciężka.

Któregoś poranka do Jerzego Słowińskiego przychodzi załamany stary Czapla. Właśnie miał jechać z piwem do Złotoryi, samochód jest już załadowany.

– Nie pojadę, panie kierowniku, ja dziś w ogóle do pracy nie przyjdę. Nie przyjdę, bo mi w ogrodzie czereśnia zniknęła.

Idą, patrzą. Była czereśnia, nie ma czereśni. Jest tylko dziura w ziemi i woda się leje. A w dziurze, jak poświecić latarką, widać czubek drzewka z kilkoma czereśniami, co ich jeszcze dzieciaki nie zdążyły oberwać. Dzieciaki też stoją na brzegu tej dziury, patrzą, milczą. Czaplowa tylko raz po raz chwyta się za głowę i Bogu dziękuje, że to się wszystko nie stało w nocy, bo obok tej czereśni to cała rodzina do wychodka chodziła.

– Jakby się ktoś w nocy wybrał, toby go przecież żywcem pogrzebało – mówi.

Z tym drzewem na dnie czekają jeszcze kilka dni, aż zupełnie przestanie padać, a potem stary Czapla bierze z browaru furgonetkę i jedzie po gruz, żeby czereśnię pogrzebać. Wozi tak przez miesiąc, aż po dziurze nie ma śladu.

I tylko Czaplowa potem chodzi do ludzi po prośbie, żeby jej dali trochę owoców na kompoty, i każdemu mówi, że ich czereśnia jest przecież głęboko pod ziemią.

7

Wychowaniem dzieci w Miedziance zajmuje się Kazimierz Milcuszek. Po raz pierwszy do miasteczka trafia jeszcze na początku lat sześćdziesiątych. Lubi chodzić po górach, często przyjeżdża w Karkonosze, niekiedy także w Rudawy. Jest samotnikiem, większość górskich szlaków przemierza w pojedynkę. Gdy dociera do Miedzianki, miasteczko nie robi na nim dobrego wrażenia. Milcuszek powie później, że pachniało tam końcem.

Gdy kończy studium nauczycielskie we Wrocławiu, decyduje się starać o pracę w Jeleniej Górze. Tam chwilowo nie ma wolnych miejsc, nauczyciela pilnie poszukuje jednak właśnie niewielka szkoła w Miedziance. Trochę chcąc, ale bardziej chyba nie chcąc, Kazimierz Milcuszek zostaje jej kierownikiem. Działają tu cztery klasy, w których uczy się aż sześćdziesięcioro dzieci. Z roku na rok jest ich jednak coraz mniej. Przybywa natomiast Romów. Kazimierz Milcuszek ma z nimi pewien problem, bo romskie dzieci nie są zbyt skore do nauki i pozostawania na lekcjach w czasie na to przeznaczonym. Jednak zamiast karać, postanawia zastosować taktykę kija i marchewki. Kupuje więc instrumenty muzyczne wszelkiego rodzaju – od cymbałków i bębenków, po trójkąty i talerze. Pokazuje je romskim dzieciom, które aż rwą się do gry. Zawiera jednak z nimi pakt. Pograć na hałaśliwym instrumentarium będzie można dopiero na trzeciej i czwartej przerwie, pod warunkiem że będzie się pilnie siedziało na wszystkich poprzedzających je lekcjach. Ten fortel sprawia, że problem wagarów przestaje dotyczyć Romów. Co oczywiście nie znaczy, że ze szkoły w Miedziance znika zupełnie. Targające wzgórzem wichry wywiewają niekiedy z lekcji całe klasy.

Dzięki wrodzonemu talentowi Romowie osiągają taki kunszt muzyczny, że wkrótce swoją grą i tańcem uświetniają wszystkie szkolne, a nawet

gminne akademie, wzbudzając zachwyt i aplauz publiczności. Nie wiedzą, że to jednak z innego powodu będą ich potem mieszkańcy Miedzianki pamiętać.

O ile starsze dzieci chodzą do szkoły w Miedziance, a najstarsze i młodzież do szkół w Janowicach i Jeleniej Górze, to problem jest z tymi, które wymagają opieki przedszkolnej. Przedszkola nie ma bowiem ani w Miedziance, ani w żadnej z okolicznych wiosek. Matki są więc zmuszone radzić sobie ze swoimi brzdącami same. Te, które nie pracują, problemu nie mają, jednak większość kobiet z Miedzianki dojeżdża do pracy w zakładach lniarskich w Marciszowie. Dzieci zostają więc w domu same albo pod opieką sąsiadek czy członków rodziny.

Jednym z takich dzieci jest Urszulka Wyka. Jej matka Helena Wyka pracuje w Marciszowie na trzy zmiany, dziewczynką opiekują się więc sąsiedzi i siostra matki. 12 października 1965 roku nikogo nie ma w domu, dwuletnia Urszulka wchodzi na niewielką kuchenną szafkę i ściąga stamtąd butelkę z benzyną. Butelka jest tylko częściowo zakręcona, dziecko w kilka chwil całe jest ubrudzone jej cuchnącą zawartością. Gdy sięga po zapałki dochodzi do tragedii. Ubranko Urszulki nie staje w płomieniach, a tli się przez kilkadziesiąt minut.

O tym, co się dzieje, alarmuje mieszkańców dopiero dym wydobywający się z mieszkania. Sąsiadki wszczynają alarm. Wyważają drzwi, wpadają do środka. Urszulka leży na podłodze, jest ciężko poparzona. Nie spłonął tylko golf swetra, płomienie nie uszkodziły też twarzy. Wezwani na miejsce lekarze nie wiedzą, jak do dziecka podejść, by nie zadać mu bólu. Urszulka żyje jeszcze kilka godzin. Na pogrzeb przychodzą niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka, wielu z nich przynosi bukiety białych kwiatków, takich, jakie dziewczynka najbardziej lubiła zbierać w okolicy swojego domu.

W „Nowinach” napisano, że w Miedziance będą kręcić *Czterech pancernych*. Jest rok 1968, a nową naczelniczką gminy w Janowicach została właśnie Irena Siuta, żona szanowanego w okolicy lekarza. Wcześniej była nauczycielką w Jeleniej Górze, potem przenieśli ją do Janowic. Ludzie mówią, że jest Rosjanką. O możliwej wizycie Janka Kosa i jego wesołej kompanii Irena Siuta nie wie nic, jest tu nowa, nie zna nikogo, zresztą takie decyzje zapadają w powiecie, albo nawet w województwie. Argumentów do tego, żeby ściągnąć do miasteczka filmowców, z pewnością komuś tam nie brakowało. Chyba nigdzie w okolicy nie ma tylu ruin, chyba żadne dolnośląskie miasteczko nie wygląda też tak, jakby przed chwilą skończyło się tu bombardowanie. I to wszystko w miejscu, na które nigdy żadna bomba tak naprawdę nie spadła.

Z tymi ruinami jest coraz więcej kłopotów. Nocą niektóre domy wydają mrożące krew w żyłach odgłosy, zgrzytają, trzaskają, jęczą. Ludzie mówią wtedy, że domy zaczynają śpiewać. Wieczorami kładą się więc do łóżek, zamykają oczy i nasłuchują. Ci, którzy nocnych jęków swoich domów nie mogą już znieść, pielgrzymują do gminy. Domagają się interwencji, nikt nie chce mieszkać w ruinach. W końcu w miasteczku pojawia się komisja do spraw zniszczeń górniczych z samych Katowic. Wędrują od domu do domu, wchodzą do piwnic, zaglądają na strychy. Niemal wszędzie coś znajdują – u Barwickich zarysowane ściany, u Majków krzywiące się okna, u Żurków dach, który tylko cudem nie spadł komuś na głowę, bo trudno dociec, na czym się trzyma. Na kilku podwórkach inspektorzy zatrzymują się zadziwieni i spoglądają z obawą w czarne otchłanie, które otwierają się tu po każdym większym deszczu.

Komisja orzeka, że grunt pod miasteczkiem można by umocnić, zabezpieczając stare pokopalniane korytarze. W praktyce oznacza to wpompowanie pod ziemię trudnej do wyobrażenia ilości betonu. Na to nikt tu nie ma czasu ani tym bardziej pieniędzy. Poza tym nikt dokładnie nie wie, ile tych korytarzy tak naprawdę jest. Byłaby to gigantyczna praca, w praktyce niewykonalna. W jednym z artykułów opublikowanych w „Nowinach” na ten temat dziennikarze przyznają wprost: „Koszt zawrotny – cel żaden”.

Drugie rozwiązanie jest łatwiejsze – lokatorów tych domów, które w każdej chwili mogą się zawalić, trzeba jak najszybciej przesiedlić. Dokąd? To już nie jest problem komisji do spraw zniszczeń górniczych. Choć to nadal problem, i to niemały.

Najpierw rozpoczynają się migracje w samym miasteczku. Nakaz natychmiastowego opuszczenia budynków otrzymuje kilkanaście rodzin. To ci, których domy śpiewały najgłośniej. Przeprowadzają się tam, gdzie zniszczeń górniczych jest mniej albo nie ma ich w ogóle – najlepiej trzyma się zachodnia część miasteczka, tam stoi szkoła, kilka małych domków, żółta willa Spiżów i browar. Wkrótce jednak wolnych lokali w Miedziance zaczyna brakować, a ludzie nie chcą się przeprowadzać do klitek, w których musieliby się tłoczyć. Pierwsi mieszkańcy zaczynają rozglądać się za mieszkaniami w Janowicach. Chcą pozostać w okolicy.

Opuszczone domy popadają w jeszcze większą ruinę. Mieszkańcy okolicznych wiosek przyjeżdżają do Miedzianki po darmową cegłę i drewno, których jest tu pod dostatkiem i na wyciągnięcie ręki. Wystarczy wejść do któregoś z opuszczonych domów i wziąć to, czego się potrzebuje. Ruin nikt nie dogląda, w całej gminie jest dwóch milicjantów, którzy do Miedzianki wolą się nie zapuszczać. Miasteczko zaczyna mieć opinię Dzikiego Zachodu dającego schronienie przemytnikom, włóczęgom i wędrownym Romom. O osobliwych rozrywkach miejscowej młodzieży donoszą nawet „Nowiny”:

„Do chrzanu z takim sklepem: Droga Redakcjo! W Miedziance jest sklep spożywczy, który sprzedaje wino uczniom klasy piątej szkoły podstawowej. Chłopcy zachęceni przez sprzedawców kupują alkohol, a potem wypijają go w okolicznych ruinach i tak podochoцени zaczepiają przechodniów, rzucając w nich kamieniami”

„Wino tylko na kartki: Droga Redakcjo! W odpowiedzi na notatkę krytykującego sprzedaż alkoholu nieletnim przez sklep w Miedziance wyjaśniam, że wino sprzedawałam chłopcu, który przyniósł kartkę od matki z poleceniem zakupu wina”.

„Odpowiedź redakcji: Lepiej, żeby pani na taką kartkę od mamy sprzedawała dziecku chleb albo masło, a nie wino”.

Do dwustu stałych mieszkańców miasteczka zaczyna docierać smutna myśl, że ich dni w Miedziance są policzone. Pojawia się też plotka, że całe miasteczko zostanie przesiedlone na nowe osiedle w Jeleniej Górze – Zabobrze. Podobno jest plan, by upakować ich wszystkich w dwóch, może trzech blokach.



Są różne rodzaje błota – jest błoto rzadkie, płynne, przelewające się, o konsystencji farby olejnej, które wszystko, co w nim zanurzyć, pokrywa cieniutką, połyskliwą warstewką. Jest też błoto wiosenne, ciężkie, gliniaste, oblepiające buty w taki sposób, że już po kilku krokach człowiek musi się zatrzymać i jakoś się tego błota z nóg pozbyć, żeby iść dalej. Dalej jest błoto zmarznięte, twarde jak skała, takie, które nieuważnemu przechodniowi wykręca kostki lub łamie obcasy, bo przyzwyczajony do błota miękkiego myśli, zrezygnowany, że i w tym przyjdzie mu zanurzyć stopę. Jest wreszcie błoto ostateczne, na skraju którego człowiek zatrzymuje się i patrząc nań, wie, że aby znaleźć się po jego drugiej stronie, na „tamnym brzegu”, trzeba znaleźć inną drogę. Gorzej, jeśli innej drogi nie ma. Błota ostatecznego jest na Zabobrze najwięcej.

Mieszkańcy osiedla od początku heroicznie walczą o przetrwanie. Pierwsi wprowadzili się tu jeszcze w 1965 roku. W ciągu trzech następnych lat zasiedlonych zostało kilka kolejnych bloków. Na osiedlu panuje surrealizm w najwłaściwszym dla czasów, w których przyszło mu powstawać, wydaniu. Gdy w 1967 roku przychodzą pierwsze chłody, szybko okazuje się na przykład, że ekipy budowlane zapomniały podłączyć kilka bloków do kotłowni. Teraz mieszkają już tam ludzie, a podłączenie zajmie parę tygodni.

Zresztą problemy z ogrzewaniem mają wszyscy mieszkańcy nowego osiedla. Marzną w październiku i styczniu, w maju skarżą się zaś, że kotłownia grzeje pełną mocą, a w mieszkaniach nie da się wytrzymać. Kłopoty są także z wodą. Panuje zasada – im wyżej mieszkasz, tym później się kąpiesz. Lokatorzy z parterów i pierwszych pięter mogą zaczynać myśleć o kąpieli już około dwudziestej, ci z pięter ostatnich umyją naczynia i wykapią się dopiero po północy, gdy ciśnienie w rurach wzrośnie i woda zdoła dotrzeć na ich piętra. Oczywiście pod warunkiem, że z kranów znów nie pocieknie mętna i cuchnąca ciecz. A to zdarza się tu dość często.

Redakcja „Nowin” poświęca nowemu osiedlu coraz więcej miejsca. Listy od zdenerwowanych mieszkańców Zabobrza przychodzą niemal codziennie:

„Przed rokiem wprowadziłem się do bloku przy ulicy Szymanowskiego 12. Zastałem spływ w kuchni zatkany tynkiem. Wezwałem hydraulików, przynieśli archaiczną spiralę, która w trakcie przepychania urwała się. Półtora metra zostało w rurze, fachowiec powiedział jednak, że to nie szkodzi, bo sprężyna zgnije. Zlew jednak dalej nie działał, sąsiadowi woda zaczęła lać się do kuchni. Znów monitowałem, wyznaczono termin na 20 marca, godzinę ósmą dziesięć. Jest lipiec, do tej pory nikt nie przyszedł”.

„W niedawno oddanym bloku przy ulicy Szymanowskiego już woda zalała piwnice. Okazało się, że studzienki ściekowe są zapchane, a rynny nie działają. Prosiłem o sprawdzenie. Kierownik budowy powiedział, że trzeba czekać, aż spadnie deszcz. Nim zaczęło padać, nad studzienką ułożono stertę budulca. O sprawdzaniu nie było mowy”.

„Przy ulicy Szymanowskiego jest suszarnia, ale bez grzejnika, toteż pranie należy w tym domu do rzadkości, zwłaszcza że brakuje wody”

„W naszym bloku numer 5, mimo że stoi już pół roku, nieczynna jest pralnia. Kiedy zwracaliśmy się do administracji, odpowiadano nam, że brak jest palników do płyty gazowej. Technik poradził nam na odchodnym, żebyśmy więcej nie interweniowali o pralnię, bowiem możemy pracować w Bobrze” „W nie tak dawno oddanych pomieszczeniach powstają w ścianach dziury biegnące zygzakiem od dołu do góry, przez które można podawać sobie mydło i inne przedmioty”

„W mieszkaniu po prostu wypadło okno umieszczone w ścianie między kuchnią a pokojem. Parkiet zaś tak się porozsychał, że powstały w nim kilkucentymetrowe szpary, od dwóch lat przeciekają kaloryfery, co trzy, cztery dni nieczystości zalewają łazienkę, naprawdę nie sposób wytrzymać w tym zimnym i cuchnącym mieszkaniu”

Teoretycznie Zabobrze to część Jeleniej Góry, jednak mieszkańcy muszą wędrować aż trzy kilometry poboczem ruchliwej szosy, żeby dostać się do centrum. Nowej dzielnicy nie łączy z nim żaden most. Byłe mżawka sprawia zaś, że wszyscy toną w głębokim błocie, bowiem mimo oddania

pierwszych bloków osiedle jest nadal wielkim placem budowy. Właściwie nie ma tu nic poza blokami – ani budki telefonicznej, ani przedszkola, ani poczty. Osiedle zostało przyłączone do okręgu pocztowego znajdującego się na przeciwległym krańcu miasta. Tym, którzy to wymyślili, złorzeczą listonosze i mieszkańcy, którzy po odbiór przesyłek poleconych muszą iść aż sześć kilometrów. Mogliby wziąć taksówkę, jednak na Zabobrze nie ma ich postępu. Gdy w końcu się pojawia, taksówkarze nie chcą na nim stawać, bo wjazd do dzielnicy zbyt często kończy się urwaniem zawieszenia lub inną usterką. Nie na darmo mieszkańcy mówią o swoim osiedlu Zabłocie.

Problemy są też z zaopatrzeniem w najbardziej podstawowe produkty spożywcze. Mimo że żyje tu kilkaset rodzin, a docelowo ma być ich kilka tysięcy, nadal nie ma tu nawet najmniejszego kiosku z warzywami, o obiecywanym pawilonie handlowym nawet nie wspominając. Wszystkie sprawunki mieszkańcy dźwigają z miasta. Gdy na osiedlu staje pierwszy kiosk spożywczy, a wkrótce kolejne punkty handlowe i usługowe, do redakcji „Nowin” dociera nowa fala listów.

„Obserwując pracę dwóch ekspedientek z kiosku spożywczego na Zabobrze, klienci wyczekujący w długiej kolejce mają wrażenie, że oglądają film w zwolnionym tempie o przodownikach, dla których praca jest radością życia”

„Mamy w końcu na Zabobrze stragan z warzywami i to nas cieszy, zaś smuci nas, że sprzedawca nie jest pedantem. Brudnymi rękami z błotem za paznokciami podaje nie tylko warzywa, lecz także sięga po kiszoną kapustę i ogórki. Polecamy go opiece sanepidu”

„Kierownik punktu sprzedaży jarzyn i owoców na Zabobrze posiada maniery prawdziwego handlowca. Systematycznie odmawia zważenia ziemniaków w przyniesionej przez klienta nylonowej siatce, twierdząc, że »ona sama waży«, ładuje natomiast cenne płody rolne do oblepionej piachem miski, która według nas już sama »dobrze waży«”

„W dniu 13 kwietnia czekałam 6 godzin na uczesanie w oddziale damskim zakładu fryzjerskiego. Fryzjerka pani Litwin załatwiła cały szereg klientek podobno zamówionych, ignorując mnie. Szkoda, że nie powiedziała mi od razu, że czekanie jest bezcelowe”.

„Dnia 22 stycznia chciałem kupić kilogram cytryn. Ekspedientka oświadczyła mi, że je dostanę, jeśli kupię równocześnie jedną sztukę grapefruita”

Mimo tych wszystkich uciążliwości oficjalnie Zabobrze jest rajem i wybawieniem dla Jeleniej Góry. Odkąd ruszył tu przemysł, mieszkańców miasta gwałtownie przybywa, ponemieckie kamienice w centrum od dawna już pękały w szwach. Jelenia Góra przyciąga też mieszkańców okolicznych miasteczek – łatwiej tu o pracę, jest więcej szkół, są kina i teatr. Dla ludzi z Miedzianki Jelenia Góra jest jednak czymś więcej. Jest marzeniem o opuszczeniu miasteczka widma, w którym jęczą domy i w którym po każdej większej ulewie trzeba przed wyjściem z domu sprawdzać, czy na zewnątrz jest jeszcze kawałek ziemi, na którym można by postawić stopę (wychodzenie w nocy stanowczo niewskazane). Oni już wiedzą, że miasteczko wkrótce zniknie. Wiedzą też, że gminie udało się wykupić na Zabobrze aż dwa bloki, oznaczone numerami 9 i 11. Wkrótce dojdą do nich kolejne: 37, 39 i 45. Pieniądze na ich zakup pochodzą z odszkodowań za zniszczenia górnicze, które wypłaciło gminie Zjednoczenie Przemysłu Górniczego opiekujące się kopalniami w Miedziance. Teoretycznie za środki te powinno się ratować miasteczko. Gmina wprowadza jednak zakaz remontowania wałących się budynków. Mało kto wierzy, że da się tu cokolwiek ocalić.

10

Wyprowadzać się nie chcą tylko nieliczni. Staszek Pławiak mówi, że nie ruszy się stąd, nawet gdyby miał zostać w Miedziance sam wśród ruin. Nie wie, że niemal dokładnie tak się stanie. Na razie ma tu dużo pola, oborę pełną krów i zostawienie tego wszystkiego dla mieszkania w ciasnym bloku po prostu nie mieści mu się w głowie. Na razie więc Pławiakowie zmieniają ciągle domy, mieszkają kolejno pod numerami 88, 46, 75, 44. Każdy dom, w którym próbują żyć, nadaje się jednak do wyburzenia, przychodzi nakaz

wyprowadzki, a oni zajmują kolejny, opuszczony przez tych, którzy ruszyli na Zabobrze.

Wyprowadzać nie chce się też stara Płaksowa, która mieszka teraz w budynku szkoły. Ostatni dyrektor, Kazimierz Milcuszek, wyjechał stąd jako jeden z pierwszych. Zamieszkał w bloku pod dziewiątką.

Nie wyjeżdżają też Spiżowie. Helena i Stefan kłócą się już regularnie i wie o tym całe miasteczko, jednak w tej kwestii pozostają zadziwiająco zgodni. Z Miedzianki z pewnością się nie ruszą. Ich sytuacja jest jednak łatwiejsza niż innych – pod tą częścią miasta, w której stoją browar i żółta willa, zniszczeń górniczych właściwie nie ma, nic się tu nie wali, domy nie śpiewają, można więc tu żyć bez strachu. Wiadomo jednak, że gdy zniknie miasteczko, zniknie też browar. Nie będzie miał w nim kto pracować, a dowożenie pracowników na pustkowiu nikomu przecież nie będzie się opłacało. Czy Stefan tego chce, czy nie, dni browaru są policzone. Wiedzą też o tym pracownicy, w większości mieszkańcy miasteczka. W browarze będą pracować tylko tak długo, jak długo będą tu żyć. Nikt nie planuje jeździć do Miedzianki z Jeleniej Góry, tym bardziej że PKS utrzymuje już tylko dwa kursy łączące oba miasta. Z tego wszystkiego zdaje sobie sprawę Baśka, „najpiękniejsza pracownica” Właśnie wyszła za mąż za Janka Majkę, w prezencie ślubnym od Stefana dostali beczkę najlepszego piwa. Teraz Majkowie spodziewają się dziecka.

Nerwowa atmosfera udziela się wszystkim, nawet opanowanemu dotąd Stefanowi. Mimo że Baśka jest w zaawansowanej ciąży, kierownik każe jej nosić ciężkie worki z jęczmieniem. Pracownicy patrzą na to z niedowierzaniem, nikt jednak nie protestuje. Tłumaczenia Basi nie skutkują, oboje szybko od słów przechodzą do krzyków. Nikt do tej pory nie widział kierownika w takim stanie. Baśka wybiega z browaru zapłakana, Stefan wzburzony trzaska drzwiami. Po chwili do browaru wpada Józef Sobieś, ojciec Baśki i dobry znajomy Stefana. Wyciąga go na zewnątrz i wali z całej siły w twarz.

– A jak jeszcze raz każesz jej, skurwysynu, worki nosić, to cię tak załatwię, że już nigdzie pracy nie znajdziesz – mówi na odchodnym, a Stefan szuka swojej czapki w głębokim śniegu. Sobieś jest w partii, zna

takich, którzy w spełnieniu jego groźby mogliby pomóc. Stefan z kolei wie, że przesadził. Obaj zdają sobie sprawę, że incydent rozładował atmosferę. Wkrótce znów będą spotykać się na piwie, nie czując do siebie urazy.

W sześćdziesiątym dziewiątym wyjeżdżają Barwiczcy. Wystarczyło, że wpuścili do domu komisję od zniszczeń, a nakaz wyprowadzki dostali od ręki. Podobnie było ze starą Majkową, matką Janka – wyjechała w tym samym roku, teraz mieszka na Zabobrze pod jedenastką. Rok później miasteczko opuszczają między innymi Klubowie, których dwanaście lat wcześniej wzięto za Niemców, i Żurkowie, którzy jeszcze nie tak dawno cieszyli się z nowego mieszkania na poddaszu przy rynku. Szybko okazało się, że poddasze śpiewa. Janina Żurek przez ostatnie dwa lata miała problemy ze snem, bo zamiast zasypiać wpatrywała się w sufit, który w każdej chwili mógł spaść jej na głowę. Dla Żurków, Barwickich i kilkunastu innych rodzin wyprowadzka na Zabobrze jest prawdziwym wybawieniem i ulgą.

11

Po skończeniu technikum i odrobieniu praktyk Bogdan Spiż idzie do wojska. Kartę powołania dostał zaraz po maturze, za beczkę piwa udało mu się załatwić, żeby służbę odbywać w Jeleniej Górze. Tu na Bogdana mówią Miedzianka. Niekiedy szeregowy Miedzianka otrzymuje misję dość szczególną – na motocyklu pędzi do browaru swego ojca i cichaczem wynosi stamtąd niewielką beczułkę, z którą na złamanie karku wraca do jednostki. Nawet nie wie, że zwyczaj wykradania piwa ma tutaj wieloletnią tradycję zapoczątkowaną przez młodego Georga Franzkiego. Dzięki dobrym układom w jednostce podlewanym wybornym piwem służba wojskowa upływa Bogdanowi dość przyjemnie i prawie wcale się nie dłuży. A im bliżej terminu przejścia do rezerwy, tym więcej w Bogdanowej głowie pomysłów na usprawnienie browaru zarządzanego przez ojca.

Gdy wraca na stałe do Miedzianki, w końcu ma czas przyjrzeć się jej dokładnie. Wiedział, że miasteczko pustoszeje, coraz częściej na ulicach

Jeleniej Góry widywał znajome twarze. Jednak dopiero spacer po straszących ruiną uliczkach uzmysławia mu skalę tego, o czym z takim przejęciem opowiadał ojciec. Tylko kilkanaście domów nie nosi śladów zniszczeń, pozostałe pozbawione są okien, drzwi i belek stropowych, niektórym brakuje całych ścian. Na części tych ruin gmina kazała umieścić tablice, że wejście do wnętrza grozi śmiercią. Są też i takie domy, w których przez zrujnowany parter wchodzi się na zamieszkałe przez kogoś piętro. O tym, że nie wolno stąd wyciągać belek nośnych, alarmują kwiatki w doniczkach wystawionych na parapety. W 1971 roku w Miedziance żyje już tylko nieco ponad setka mieszkańców, z czego zdecydowaną większość stanowią Romowie. Przesiedlono ich z Płoszczyny w myśl przepisów nakazujących osiedlanie ludności romskiej i uniemożliwienie jej prowadzenia wędrownego trybu życia. Romowie zajęli pustostany, zapewniają jednak, że nie zostaną tu długo i wkrótce wyruszą w dalszą drogę.

W pierwszej fali wyprowadzek w 1968 i 1969 roku wyjechało stąd kilkadziesiąt rodzin. Ich domów nikt nie zagospodarował. Zamknięta została świetlica, w której jeszcze nie tak dawno Helena Spiż organizowała huczne sobotnie zabawy. W miasteczku nie ma też żadnego sklepu, ten ostatni został zlikwidowany, bo jego utrzymywanie było nierentowne. W niemal każdej rozmowie wypływa temat schyłku. Nikt nie łudzi się, że miasteczko można uratować, z pewnym uznaniem mówi się o tych, którzy wbrew przeciwnościom losu postanowili zostać.

Bogdan jest jednym z nich. Baśka Spiż znalazła chłopca i pracę w Wałbrzychu, do Miedzianki nie chciała już wracać. Bogdan wręcz przeciwnie, w browarze prowadzonym przez ojca widział spełnienie swoich wszystkich marzeń. Ma odpowiednie wykształcenie i udaje mu się wprowadzić kilka unowocześnień w zakładzie. Ojciec mu na to pozwala, dogląda jedynie najważniejszych spraw i w razie potrzeby służy radą. Taka współpraca jest dla Bogdana nieocenioną szansą, Stefanowi zdejmuje zaś z barków część męczących zadań.

Ambicje młodego browarnika nie idą jednak w parze z zamiarami lwóweckiej centrali, która wprost informuje Spiżów, że browar nie przetrwa

likwidacji miasteczka. Nic więc dziwnego, że dyrekcja wpada w złość, gdy na początku lat siedemdziesiątych Bogdan wysyła specjalne, nieoznakowane butelki ze swoim piwem na targi browarnicze do Monachium.

W degustacjach Złoto Miedzianki zajmuje wysoką, drugą lokatę. Gdy wychodzi na jaw, że przysłano je zza żelaznej kurtyny, wybucha międzynarodowy skandalik. Telefony w Lwówku i Miedziance urywają się, decydenci z centrali wściekają się, bo zwycięstwo ważonego przez Spiżów piwa wytrąca im argumenty za likwidacją browaru. Bogdan otrzymuje natychmiastowy nakaz zniszczenia wszystkich, specjalnie wyprodukowanych na tę okazję butelek oraz znajdującego się w nich piwa. Dzwoni więc po kolegów, siadają we trzech i niszczą piwo przez kilkanaście następnych godzin bez przerwy. Jeden z nich, Bogdan Markowski, powie później, że w całym swoim życiu nie miał takiego kaca, jak po tamtym niszczeniu w browarze na szczycie góry.

– Było to niszczenie prawdziwie wyniszczające – doda z szelmowskim uśmiechem.

12

13 maja 1972 roku podpisany zostaje ostateczny wyrok. Wojewódzka Rada Narodowa we Wrocławiu podejmuje decyzję o likwidacji miasteczka Miedzianka. Dokument zawiera harmonogram działań likwidacyjnych. Jeszcze w tym samym roku ma zostać zamknięty browar, a do końca 1973 roku wyjechać stąd mają ostatni mieszkańcy. Potem ma nastąpić rozbiórka miasteczka podzielona na trzy etapy – najpierw zostanie rozebrana zabudowa, potem wywiezie się gruz wraz z większymi fragmentami fundamentów, na koniec zasadzi się tu las.

Zgodnie z harmonogramem ostatnie rodziny opuszczają Miedziankę w 1973 roku. Wśród nich „najpiękniejsza pracownica w browarze” – Baśka Majka z mężem i malutkim synkiem. O otrzymaniu przydziału dowiedzieli

się 19 marca, w czasie imienin ojca. Siedzieli akurat w knajpie w Janowicach, gdy do środka wpadł ktoś z urzędu gminy z kwiatami.

– Józef, w prezencie imieninowym dostajesz dziś trzy mieszkania na Zabobrze, dla ciebie i obu twoich córek.

Józef Sobieś płacze, ale chyba nie z radości. Za nic na świecie nie chciał wyruszać do miasta, w Miedziance byłoby dobrze, gdyby tylko nie ten strach, że zaraz spadnie mu coś na głowę. Co innego Baśka i Janek – dla nich Miedzianka jest prawdziwym utrapieniem. Na przydział czekali z niecierpliwością, właściwie na walizkach. Jeszcze w maju wynajmują zdezelowanego żuka i przenoszą się do bloku przy Karłowicza 45. Dostają mieszkanie na czwartym piętrze. Przez kilka następnych lat będą ustawiali budzik na pierwszą w nocy, żeby wstać i w półśnie wziąć kąpiel. Mimo to nigdy nie będą żałować tej zamiany.

W tym samym roku wyprowadza się z Miedzianki jeszcze kilka rodzin – Chutyрко, Mądreccy, Wędzłowię. Znikają nawet Romowie, część przenosi się do okolicznych wiosek – Trzcńska, Janowic, Radomierza, inni ruszają do Kowar, jeszcze inni rozpluwają się gdzieś w Polsce.

W miasteczku żyją już tylko ci mieszkańcy, którzy wbrew zachętom władz zdecydowali się zostać. To w sumie kilkanaście osób: Spiżowie, Pławiakowie, Płaksowie, Łuczakowie, przy drodze w kierunku Ciechanowic są jeszcze Dudkowie. Ich domy nie są zagrożone zniszczeniami, władza może tylko przekonywać, że po likwidacji miasta zostaną tu sami, na kompletnym pustkowiu bez środków do życia. Te argumenty jednak do nich nie trafiają.

Co więcej, któregoś dnia z pobocza drogi wiodącej do Janowic znika jeden z kamiennych krzyży ustawionych tu przed wiekami. Nie wiedzieć dlaczego rabusie połaskili się na ten bez zatartej inskrypcji. Być może zabierali krzyż w nocy i nie dostrzegli różnicy. A może chcieli zabrać oba, ale ktoś ich spłoszył. Tak czy inaczej, przy drodze został już tylko jeden krucyfiks z „Memento” wyrytym na poprzeczce. Wkrótce potem jeden z miejscowych rolników przeniesie go w zupełnie inne miejsce, na miedzę po przeciwnej stronie drogi.

Pod koniec 1972 roku ostatnich mieszkańców miasteczka wywabia z domów potężny hałas. Drogą od strony Janowic wspina się w kierunku Miedzianki ogromna koparka, za nią jadą ciężarówki z robotnikami. Zatrzymują się w rynku, rozchodzą na wszystkie strony, oglądają, stukają, żywo gestykulują.

Patrzy na to Bogdan Spiż. Tak, nie ma złudzeń, że to już naprawdę koniec. Nie wie tylko, jak o tym powie ojcu.

Czyja wina

– Kto ma wiedzieć, ten wie, ludzie pamiętają. Wszystko zamieniło się w ruinę. Ale samo to się przecież nie stało. Nasza „pani doktorowa”, wielka hrabianka, wyczuła interes i już było po miasteczku. Ona na tym nieszczęściu Miedzianki życie sobie ustawiła tak pięknie, że tylko pozazdrościć. I dlatego ludzie jej tak nienawidzą.

Siutowa to był ruski człowiek, ze Wschodu, w teczce przywieziona, żeby zatrzeć wszystkie pozostałości tego, co tu zostawili Rosjanie. Lansowała się na wielką hrabiankę, tak jak i jej matka zresztą, która Polką nigdy nie była.

Ludzie, którzy komunistom uwierzyli, dzielą się na takich, którzy uwierzyli z biedy, i takich, którzy uwierzyli, bo tak było wygodniej. Ona nie wiedziała, co to jest bieda, władza jej też nigdy krzywdy nie zrobiła. To już wiadomo, czemu ona była taka czerwona.

Przez chwilę dla niepoznaki pracowała w szkole, uczyła rosyjskiego, ale szybko wsadzili ją na naczelniczkę gminy. A potem rządziła w Karpaczu, była wojewodą. Ludzie się jej bali, mówiło się, że miała znajomości w samym KC, a nawet w Moskwie, bo przecież stamtąd przyjechała. I ona już od nich miała instrukcje, co robić, żeby z miasteczka nie został ślad. Same krzaki, ot, tyle, co nam pani doktorowa załatwiła.

– Miedziankę zburzyła doktorowa Siuta i gdyby nie ona, miasteczko stałoby do dziś. Były nawet plany, żeby puste domy remontować i osiedlać tu emerytów z Wałbrzycha, a skoro takie plany były, to znaczy, że się nic nie waliło. Zniszczenia to był tylko pretekst, żeby ona przysłała nam ekipy rozbiórkowe.

To się zaczęło już w sześćdziesiątym dziewiątym. Wyburzali dom po domu. Z cegły z Miedzianki zbudowali nie tylko domki nauczycielskie w Janowicach, lecz także Pałac Kultury w Warszawie. Pociąg, który tę cegłę woził, stawał na boczniczy koło Starych Janowic i tam te samochody się rozładowywały.

– Wołaliśmy na nią „nasza pani Siutowa”, ale ani ona była nasza, ani żadna z niej pani. Tyle że ładna była, makijaż, fryzura zrobiona, jeździła samochodem.

Strasznie pazerna na antyki, jak tylko coś wypatrzyła, to potrafiła przyjść do obcego domu i zabrać. A wtedy władzy się nie odmawiało, więc ludzie dawali. Ona tych antyków zgromadziła cały dom i potem sprzedawała na prawo i lewo. Zresztą ze sprzedaży Miedzianki też swoje miała. Za pensyjkę z gminy by domu nad Bobrem nie postawiła.

– Ja do niej nic nie mam, bo mi osobiście krzywdy nie zrobiła. Ale że dzwony w Radomierzu chciała sprzedać na złom, to jej wszyscy pamiętają. Sama tam pojechała, żeby je zdjąć, jednego tylko takiego dryblasza wzięła ze sobą, ale to już było dla ludzi za dużo i nie pozwolili. Cała wieś tam wtedy przyszła. Zrobiła się z tego straszna afera. Siutowa na drabinę, to ludzie ją z drabiny. Katolickich dzwonów, i to zabytkowych, zabierać nie wolno, a ona – komunistka – tego nie rozumiała. Dopiero jak ją widłami popędzili, to odpuściła, wsiadła do samochodu i pojechała. Myśmy jej tych dzwonów nigdy nie wybaczyli.

– Miedziankę rozebrali Cyganie, a specjalnie w tym celu sprowadziła ich tu Siutowa, przewodnicząca gminy. Odbywało się to tak, że wprowadzano Cyganów do pustego domu i oni tam mieszkali tak długo, aż wszystko spalili. Zrywali podłogi, schody, parkiety, ramy okienne i palili tym na parterze. Jeśli w domu nie było już pieców, to oni te swoje ogniska palili wprost na podłodze w kuchni. Gdy już z takiego domu nic nie zostawało, Cyganie zrywali jeszcze dach i wyprowadzali się do następnego. I tak dom po domu.

Te budynki, z którymi już się Cyganie rozprawili, były burzone przez ekipy rozbiórkowe. Przyjeżdżała taka wielka koparka, my ją nazywaliśmy Wielka Dziunia, zaczepiała łyżką o okna i burzyła ścianę po ścianie. Potem

wchodzili robotnicy i wybierali dobrą cegłę. A potem Wielka Dziunia zrównywała wszystko z ziemią.

– Miedzianka rzeczywiście się waliła, ale żaden budynek nie zapadł się od dołu, za to wszystkie od góry. Kopalnia nie miała tu nic do rzeczy. Przez kilka lat miasteczko było źródłem darmowego budulca dla całej okolicy. Kto potrzebował cegły, to jechał na Miedziankę i sobie brał, ile mu trzeba było. Ja sam komórkę za domem postawiłem z tych cegieł, stoi do dziś, bo to dobra, ponemiecka cegła. Niejeden dom w Janowicach z tej cegły powstał.

I nie jest prawdą, że miasteczko wykończyli Cyganie. Tam było kilkadziesiąt domów, to ilu by musiało być tych Cyganów, żeby oni sami sobie z tym wszystkim poradzili? Oni rujnowali miasteczko tak samo, jak inni mieszkańcy. Mieszkał taki na parterze i jak mu było zimno, to szedł na piętro, zrywał kawałek podłogi albo piłował więźbę dachową i palił tym w piecu. A gdy mu się woda zaczynała lać na głowę albo ściana rysować, to szedł do gminy prosić o przydział na nowe mieszkanie. Miedzianka to był Dziki Zachód i ruina.

– Całe miasteczko wykończyli Cyganie. Sprowadziła ich Siutowa. I oni tutaj rządzą przez kilka dobrych lat.

– Sami wszystkie domy wykończyli?

– Sami, dom po domu, zajmowali pustostany i rujnowali.

– Ilu ich było?

– Przyjechały ze dwie rodziny, mieszkali najpierw w pałacu, ale oni się szybko rozmnażali i po roku połowę mieszkańców Miedzianki to Cyganie stanowili, aż się Polacy zaczęli buntować, bo oni całe miasteczko do ruiny doprowadzali.

– Były z nimi problemy?

– W kościele, tym, co go już nie ma, na ołtarzu katolickim konie zarzynali! Stary Mirga wprowadzał konia do środka, walił go taką wielką pałką w łeb, podrzynał mu gardło i koń się wykrwawiał. Potem kroili tego konia na wielkie kawały i dzieciaki biegły z tym dymiącym jeszcze mięchem do domów. Gotowali to mięso w kotłach do bielizny i w całej Miedziance śmierdziało przypaloną koniną.

– Widział to pan?

– Nie, ale wszyscy w miasteczku mówili, że Mirgowie w katolickim kościele konie zarzynają. Krew to aż po schodach na ulicę kapiała.

– Ludzi z domów wysiedlali podstępem. Przyjeżdżała Siutowa z komisją i mówiła, że budynek będzie remontowany, więc mieszkańcy będą przenoszeni do innego. Jak już się ludzie wyprowadzili, to przyjeżdżały spychacze i burzyły wszystko.

Potem, gdy zabrakło już pustych budynków do przesiedleń, przeprowadzili kilkanaście rodzin na Zabobrze, do bloków. Powiedzieli im, że to tylko na rok, na czas remontów. Ludzie uwierzyli, zabrali z Miedzianki tylko najpotrzebniejsze rzeczy. A jak wrócili po roku, to po miasteczku i ich domach śladu nie było, trawa rosła.

– Ludzie z miasteczka wyjeżdżać nie chcieli, bo tu było pięknie i nic się nie waliło. Ale władza postanowiła inaczej i my nic do gadania nie mieliśmy, trzeba było się spakować i jechać. Część wysiedlili do Janowic, ale jak tam zabrakło mieszkań, to kupili dwa bloki na Zabobrze i tam nas wszystkich upchnęli. A zaraz potem Miedziankę zrównali z ziemią, żeby nie było śladów po kopalni.

– Ona to była kobieta jak sople lodu. Jak ktoś chciał coś w gminie załatwić, to wolał iść do Słowińskiej niż do Siutowej.

Tej się ludzie bali, a poza tym ona nie była stąd i nie wiadomo, kto nią sterował. Za to jej mąż to był dusza człowiek, lekarz, przez kilka lat jeździł z Wyścigiem Pokoju. Wszyscy się dziwili, jak ona go musiała omotać, że on z nią wytrzymywał. Doktor Siuta był na każde zawołanie, przyjeżdżał nawet w środku nocy i żadnych pieniędzy nie chciał. Może i ona nie była taka zła, może po prostu musiała robić, co jej kazali w powiecie albo w województwie. Ale to już nie jest nasza sprawa, że ona złych szefów miała.

– Jak to się stało, że Miedzianki już nie ma?

– Jak to się stało? Siutowa, kurwa jej mać.

- Co Siutowa?
- Przyjechała i wypędziła.
- Sama wypędziła?
- No, miała kilku pomagierów, złodziei, takich jak i ona.
- Przecież się waliło?
- Waliło się, ale nie wszędzie. A ona wszystkich wypędziła i kazała zaorać. Można to było przecież inaczej załatwić, ludzi nie wypędzać.
- I co zrobić?
- A bo ja wiem, co zrobić? Czy teraz na Miedziance się coś wali? Nic się nie wali, więc wtedy też nic by się nie waliło.

Ta zła

Najlepsze, co o niej mówią, to że ma wspaniałego męża. Poza tym mówią tylko źle.

– Nie chodzi o zemstę – podkreślają – ale niech sobie ta pani nie myśli, że my nie wiemy. Szkoda tylko, że uszło jej płazem. Dorobiła się, piękny dom postawiła, a kto wie, czy nie kilka domów. Nasza pani doktorowa.

Ta Zła mówi:

– Niech pan mi da kilka dni czasu, wszystko muszę sobie przypomnieć. Mam osiemdziesiąt lat, wiem, jak się nazywam, nie zamierzam jeszcze umierać, niczego się nie wstydę.

Wracają akurat z rodzicami z wakacji, gdy na niebie pojawiają się samoloty. Spieszą się na Wołyń, do Zahajców i Tytylkowców, tam ojciec ma majątek, tam chcą się ukryć. Z tego majątku za chwilę zostaną im tylko wspomnienia.

Ojciec jak mantrę (na starość zostanie buddystą) powtarza Irenie, że może zaraz Hitlerowi wojnę wypowiedzą Anglia i Francja i jeszcze wszystko skończy się dobrze. Gdy wkraczają Rosjanie, przestaje tak mówić. Do wsi wchodzi czerwonoarmiści, a w majątku Kamieńskich od razu pojawia się NKWD. Zabierają ojca, trzymają przez dwa dni. Irena jest przerażona.

Po okolicy chodzą plotki, że burżujów będą wywozić na Sybir albo zabijać na miejscu. Tata jest burżujem.

Chłopi stają w obronie Kamieńskiego. Wystawiają komitet, idą do enkawudzystów i błagają, by go wypuścić. Mówią, że on swój pan, a nie żaden ciemężyciel. Wstawiennictwo skutkuje, a Kamieński wychodzi na wolność. Jeszcze tej samej nocy ci sami chłopi przychodzą do majątku i wyprowadzają całą rodzinę ze wsi. Mają informacje, że następnego dnia mogłoby już być za późno na jakikolwiek ratunek.

A więc na zachód, do Niemców, przez rzekę. Rzeka to Bug. Ale Bug jest daleko, trzeba więc iść, płacić za przewodników, spać w stodołach, chować się przed chłopami, Ukraińcami, Ruskimi. Chować się przed każdym. Nie wiedzą, kto przyjaciel, kto wróg. Oni to Lachy, pany, skoro się ukrywają, to mają coś na sumieniu. Panów tu nie lubią – tak się przynajmniej mówi. Więc trzeba uciekać jak najdalej, w nocy i bocznymi drogami albo lasem i polami, na przełaj. A gdy się nie da iść, przycupnąć gdzieś i czekać w ukryciu, aż znowu będzie można. Byłe do rzeki, na zachód. Zachód jest lepszy niż wschód.

Idą tak ponad dwa miesiące, kluczą, wyczekują dogodnej okazji, w grudniu docierają do rzeki. Wynajmują łódź i kolejnego przewodnika. Irena siada z matką w środku, ojciec z przewodnikiem idą w wodzie, przeprawiają się na drugi brzeg. Są w Guberni, ale nadal nie są przecież bezpieczni.

Ojciec ma tu jednak znajomości, jego przyjacielem jest hrabia Maurycy Stanisław Potocki, właściciel Jabłonny koło Nowego Dworu. Docierają tam pod koniec roku. Potocki daje Adamowi Kamieńskiemu pracę inkasenta w swoim majątku, tu przez chwilę będą mogli się czuć bezpiecznie.

Jabłonna jest o wiele większa i wspanialsza niż majątek Kamieńskich zostawiony na Wołyniu. Przepychnięty pałac i otaczające go ogrody silnie kontrastuje tu jednak z twardą rzeczywistością, w jakiej przyszło żyć wszystkim jego mieszkańcom. W domu panują bieda i głód, krótko po przyjeździe do Jabłonny Irena musi iść do pracy. Znajduje zatrudnienie w fabryce lemoniady, codziennie myje tam butelki.

Jabłonna ma też swoje plusy – to ciągle duży ziemski majątek, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Jedną z nich jest obecność koni. Mała Irenka jeszcze na Wołyniu ukochała sobie te zwierzęta, tęsknota za nimi

była chyba największym utrapieniem w czasie jej jesiennej tułaczki. Ta miłość do koni staje się jednak dla niej przyczyną kłopotów. Pewnego dnia w majątku Potockiego pojawia się oficer niemiecki. Jest konno, przyjechał z pobliskiej twierdzy Modlin. Irena nie wyczuwa niebezpieczeństwa, nic sobie nie robiąc z osoby jeźdźca, podchodzi do konia, głaszcze go po pysku, całuje w chrapy.

Być może dziewczynka nie umie połączyć ze sobą sylwetki niemieckiego oficera i napisów, które swojego czasu widziała na ławkach w parku: *Eintritt für Hunde, Juden und Polen verboten*. A może po prostu zakłada, że wspólna miłość do koni na chwilę przełamie lody między nią a żołnierzem. Cokolwiek by sobie wyobrażała, myli się jednak zasadniczo. Niemiecki oficer wpada w furję i nakazuje Irenie stawić się następnego dnia w Twierdzy. Ma tam pełnić funkcję jego służącej i dbać, by codziennie z samego rana na stole niemieckiego oficera znalazło się śniadanie oraz świeża kawa. Do jej zadań należeć będzie także czyszczenie butów oraz pilnowanie porządku w domu. Sama praca nie jest ani zbyt uciążliwa, ani trudna. Wystarczy skrupulatnie wywiązywać się ze swoich obowiązków i nie rzucać się w oczy. Zupełnie inaczej jest z drogą do pracy. Tej Irena boi się najbardziej. Aby dostać się do Twierdzy, trzeba nie tylko przejść przez kilka wiosek i osad, lecz także pokonać most, ulubione miejsce organizowania przez Niemców łapanek. Kilka razy nazwisko „pracodawcy” ratuje jej życie.

W sierpniu 1944 roku w Warszawie wybucha powstanie, a pobliskie Legionowo jest jedynym miejscem poza stolicą, w którym także trwają walki. Zadaniem powstańców jest osłona miasta od północy. Niemcy dość szybko się rozprawiają z oporem, od wschodu nacierają jednak Rosjanie. Ich wkroczenie jest tylko kwestią czasu. Wie o tym także Adam Kamieński, który po raz kolejny musi szukać schronienia dla siebie oraz swojej rodziny. Znajduje je w samą porę w nieodległym Baboszewie.

Jeszcze we wrześniu Rosjanie docierają do Jabłonny, a uciekający Niemcy podpalają majątek Potockich. Wkrótce czerwonoarmiści są już także w Baboszewie. Adam Kamieński popełnia wtedy błąd, którego tylko

cudem nie przypłaca życiem. Nie rozpoznawszy radzieckich uniformów, wybiega naprzeciw żołnierzy i wita ich po niemiecku.

Wojna się kończy, jednak o powrocie na wschód Kamieńscy nie mają co marzyć. Właśnie rusza machina przesiedleń, która setki tysięcy ludzi wyrwie ze swoich domów i rzuci na zachód. Kamieńscy także zastanawiają się, co robić. Wołyń nie jest już w Polsce, w okolicach Warszawy z kolei nie ma sensu zostawać, sama stolica przypomina teraz kupę gruzów. Po wojnie odżywają jednak także stare kontakty ojca. Z obozu koncentracyjnego w Neuengamme wraca jego dawny przyjaciel i kompan Czesław Centkiewicz. Irena pamięta jeszcze przedwojenne opowieści o jego polarnej wyprawie i innych szalonych podróżach. Teraz z zapartym tchem słucha także o walkach w powstaniu. Wkrótce Centkiewicz dostaje propozycję pracy w Zjednoczeniu Energetycznym. Ma być Dyrektorem Technicznym Okręgu Dolnośląskiego. Taka praca stwarza oczywiście możliwości, a Centkiewicz chce je wykorzystać, by pomóc przyjaciółom. Proponuje więc, by wraz z nim na zachód pojechali także Kamieńscy. Właściwie nie ma się nad czym zastanawiać. Jadą.

Z gruzów Warszawy docierają do gruzów Wrocławia. Stamtąd ruszają na południowy zachód. W maju 1946 roku są już w Jeleniej Górze. Przez pierwszych kilka dni Irena chodzi po mieście i przeciera oczy ze zdumienia. Domy mają tu dachy i okna, nigdzie nie ma ruin, niemieckie *Hausfrau* co rano zamiatają chodniki, a co wieczór polewają je wodą. Działają polskie urzędy, jeżdżą tramwaje. Jakby wojny nigdy tutaj nie było.

Wraz z Centkiewiczami Kamieńscy zajmują willę przy ulicy Aleksandra Fredry. Budynek nie jest zbyt wygodny, ale ma jedną, ogromną zaletę: jako własność Zjednoczenia Energetycznego jest chroniony przez Straż Przemysłową. To ważne, bo w okolicy i w samym mieście coraz częściej słychać o szabrownikach i szajkach pospolitych bandytów, którzy korzystając z powojennego zamieszania, ogoławają mieszkania opuszczane przez Niemców. Na ulicy Jeleniej działa nawet targowisko, tak zwany szaberplac, na którym kupić można dosłownie wszystko.

Ojciec dostaje pracę w energetyce, Irena idzie do szkoły. Tak jak wielu mieszkańców Jeleniej Góry, starają się zapomnieć o wojnie, rozglądają się

po mieście, zaczynają odkrywać okolice. W czasie jednej z niedzielnych wycieczek Irena Kamieńska odkrywa Miedziankę, urokliwe miasteczko górujące nad okolicą. Spaceruje stromymi uliczkami, zatrzymuje się na trójkątnym rynku, patrzy na góry. Zachwycają ją spokój i cisza, które tu panują. Podoba jej się to wszystko, obiecuje sobie, że będzie tu czasem wracać.

Ludzie ją za to przeklną.

Ta Zła mieszka z Tym Dobrym w mieszkaniu w Cieplicach, tuż przy szosie z Jeleniej Góry do Szklarskiej Poręby. Gdy w Polsce wszystko się zmieniło, właśnie tu postanowili zniknąć. Dom w Janowicach oddali synowi. Nie, żeby chcieli się ukryć, po prostu byli zmęczeni. W Cieplicach odpoczywają.

To taki trochę koniec świata. Trzeba przejechać przez całe uzdrowisko i kierować się na południe. Po kilku kilometrach znajdzie się wielorodzinny, ponemiecki dom – z zewnątrz bieda z nędzą. Żadnych ekstrawagancji, raczej proza przedmieścia przechodzącego płynnie w wieś. Wewnątrz jest trochę lepiej, na ścianach wiszą obrazy malowane przez jej ojca.

– To są Zahajce, to są Tytylkowce. Tylko raz tam wróciłam. Nie poznałam nic poza jednym wielkim dębem. Wszystko zniknęło, kamień na kamieniu nie został po tym, cośmy tam zostawili.

Już mieli odjeżdżać, gdy z pobliskiego domu wybiegła jakaś kobieta i zapytała nieśmiało: „Panienka Irenka?”

– Nie wiem, kim była. Płakałyśmy obie.

Na wizytówce z panoramą Karkonoszy Irena Kamieńska-Siuta ma łacińską maksymę: *Nummis praestas carere quam amicis* – Lepiej obywać się bez pieniędzy niż bez przyjaciół.

Największym przyjacielem Ireny Kamieńskiej-Siuty jest od lat jej mąż Stanisław Siuta. To o nim ludzie mówią „złoty człowiek”, a ona go sobie omotała.

Jest połowa lat pięćdziesiątych, Irena właśnie wróciła ze studiów w Warszawie, skończyła rusycystykę, teraz rozgląda się za pracą. Chce być nauczycielką. Pochodzenia nie ma najlepszego, o korzeniach lepiej głośno nie mówić, „córka obszarnika ze Wschodu” – to w tamtych czasach nie może brzmieć dobrze.

Jeszcze przed wyjazdem do Warszawy wstąpiła do partii. Miała siedemnaście lat – działała w OMTUR-ze, Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Teraz, po powrocie, ma trochę wolnego czasu, zakłada więc jeleniogórski Związek Młodzieży Polskiej i zostaje jego pierwszą przewodniczącą. Tak, Irena Kamieńska wierzy w komunizm. Poza tym ma nadmiar energii, ale niedobór talentów sportowych. Mogłaby się pewnie wyszaleć na boisku albo na korcie, ale odbita przez nią piłka nigdy nie leci w dobrą stronę. Raz Czesław Centkiewicz zabrał ją nawet zimą na narty biegowe.

Mieli dotrzeć do Bierutowic. Po drodze Irena przewróciła się 113 razy, potem przestała liczyć. Za każdy razem podnosiła się jednak i jechała dalej. Nie, nie należy wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków. Po prostu, gdyby się nie podniosła, toby pewnie w tych górach została. Centkiewicz nie miał w zwyczaju oglądania się za siebie. Jedyne, co Irena lubi robić, to pływać.

– Pływam dobrze tak w wodzie, jak i w życiu – powie po latach nie bez dumy.

W końcu dostaje pracę w jednym z jeleniogórskich liceów. Tu poznaje Staszka, przystojnego wuefistę, a w niedalekiej przyszłości studenta medycyny. Ona: ładna brunetka, energiczna, trochę przebojowa, wszędzie jej pełno. Płynna rtęć. On raczej cichy, spokojny i opanowany. Pasują do siebie, mimo że są jak ogień i woda. W tym zestawieniu bardzo im do twarzy. Zaczynają się spotykać i zostają ze sobą już na zawsze. Gdy on wyjeżdża na studia, ona rzuca się w wir pracy. Nie tylko uczy, lecz także działa w ZMP. Zostaje przewodniczącą Komisji Oświaty Miejskiej Rady Narodowej w Jeleniej Górze, kandyduje też do rady powiatowej.

Organizuje, szkoli, kontroluje. Ma ambicje, chce zajść wysoko. W wywiadzie udzielonym jednej z lokalnych gazet w 1965 roku przekonuje:

„Dokonano sporo pożytecznych przedsięwzięć, ale można było zdziałać jeszcze więcej przy pomocy ściślejszej więzi z terenem i społeczeństwem. Niedostateczna była przede wszystkim ilość spotkań komisji ze środowiskiem nauczycielskim, rodzicami uczniów czy nawet samymi uczniami. Mam nadzieję, że nowa Komisja Oświaty naprawi w tej dziedzinie uchybienia swojej poprzedniczki”.

Gdy Staszek Siuta wraca ze studiów medycznych do Jeleniej Góry, szybko biorą ślub. Muszą się spieszyć, bo on zaraz potem idzie do wojska, żeby odbyć obowiązkową dla lekarzy służbę. Kolejna rozłąka nie trwa jednak długo, nie zdąży nawet zrzucić munduru, gdy dostanie propozycję kierowania ośrodkiem zdrowia w Janowicach Wielkich. Nie bardzo wiedzą, gdzie to jest, szukają na mapie. Gdy znajdują, zastanawiają się tylko chwilę, Staszek kończy służbę, pakują walizki i wyjeżdżają. On zostaje dyrektorem, ona nauczycielką w miejscowej szkole. Ludzie patrzą na nich podejrzliwie. Do niego przekonują się szybciej, jest lekarzem, ma z nimi kontakt, leczy ich dzieci. Ona pozostaje zagadką.

Podstawówka na wsi to nie to samo, co liceum w Jeleniej Górze. Inne problemy, inni uczniowie, zupełnie inna rzeczywistość. Dla wielu dzieci dotarcie zimą do szkoły jest prawie niemożliwe – na przykład z takiego Mniszkowa, w którym nie ma przecież szkoły, trzeba iść sześć kilometrów. Jeśli drogę zawieje, o dotarciu na czas nie ma mowy. Poza tym nauczycielom ze szkoły na prowincji o wiele trudniej doprosić się o pomoce szkolne czy dodatkowe środki z centrali. Gdy Irena mieszkała w Jeleniej Górze, mogła przydusić kogo trzeba i konkretne rzeczy załatwić. Z Janowic jest to niemal niemożliwe.

Coraz częściej przychodzi więc do domu zniechęcona i zła. Walka z wiatrakami kosztuje ją wiele sił, nie ma też co ukrywać, że woli pracę ze starszą młodzieżą. Dzieci to wyczuwają i zaczynają wchodzić jej na głowę. Wymarzona praca zaczyna być utrapieniem.

– W każdej chwili możesz to rzucić – mówi któregoś dnia Staszek. O pieniądze nie trzeba się przecież martwić. Jako kierownik ośrodka zdrowia dobrze zarabia, w Janowicach tylko z jego pensji mogą dostatnio żyć. Ale to nie pieniądze trzymają Irenę w pracy, ale energia, której gdzieś musi dać upust.

– Ale jeśli nie szkoła, to co? – pyta.

– Nie wiedziałam, że mnie nienawidzą, robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby tych ludzi ratować – mówi zdziwiona, a słowo „ratować” wypowiada wolno i wyraźnie. Powtórzy je zresztą potem jeszcze kilka razy. – Nigdy nie odczułam niechęci ze strony ludzi akurat za tamto.

Na stole jest ciasto i herbata w fikuśnych filiżankach, zza okien dobiega gwar dzieciarni dokazującej w ogrodzie. W pokoju panuje jednak cisza. Tyka zegar, lata mucha, skrzypi podłoga u sąsiadów na górze. Ta Zła milczy, wpatrując się w spodeczek, obraca go w palcach, delikatnie stuka pomalowanym paznokciem. Z jej twarzy nie schodzi lekki półuśmiech, widać, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Nie wygląda na zdziwioną, bardziej na zrezygnowaną. Ten Dobry siedzi obok, patrzy na nią, jakby czekał, aż ona coś powie.

– Mogą mi nie wierzyć, ale ja naprawdę innego narodu niż ten nie mam. Matka moja była Rosjanką, ale ja jestem Polką. To jest wyjątkowo dziwny naród. Mamy piękną historię, piękną literaturę i mnóstwo pięknego chamstwa. W którejś z książek Wańkowicza jeden z jego rozmówców zapytał go, czy to picie wódki jest najtrudniejszą cechą Polaków. Wańkowicz odpowiedział, że picie nie jest problemem. Problemem jest bezinteresowna zawiść.

– Czego wam zazdrościli najbardziej?

– Mieliśmy więcej od nich, a ja byłam komunistką. Czy to nie wystarczy?

Jest wiosna 1969 roku. Nad Komarnem, jedną z wiosek w gminie Janowice Wielkie, przeszła właśnie potężna nawałnica. W kilkanaście minut wiatr zerwał dachy, a woda zmyła jedyną drogę dojazdową do wsi. Z przerwanych zagród uciekły zwierzęta, miejscowość jest odcięta od elektryczności. Ludzie biegają w tę i z powrotem, nie wiedzą, za co się chwycić, co ratować najpierw.

Do wsi przyjeżdża naczelniczka gminy Irena Kamieńska-Siuta. Robi zebranie w najmniej zniszczonej stodole. Kamieńska jest niska, więc żeby było ją widać, staje na podstawionym snopku. Zapewnia, że gmina pomoże, pyta o najpilniejsze potrzeby. Któryś z chłopów rzuca pytanie, co zrobić z dzikimi rozplodnikami. Naczelniczka pąsowieje, czuje, że to prowokacja, ale nabiera powietrza w płuca i rozpoczyna nauczycielską przemowę o wychowaniu młodzieży i o tym, jak sobie poradzić z młodymi chuliganami, którzy gwałcą wiejskie dziewczęta. Chłopi stoją, słuchają, niektórzy drapią się w głowy. Gdy Kamieńska dochodzi do tego, że gmina mogłaby zorganizować zajęcia dla młodzieży, by ta zajęła się czymś konstruktywnym (tyle jest przecież dziś do zrobienia), ktoś jej w końcu dobrotliwie przerywa:

– Chodzi o nasze buhaje, poszły w las, cholera wie, jak je teraz samemu wyłapać.

Bo Irena Kamieńska-Siuta, choć naczelniczką gminy została rok temu, nie jest stąd. Działała w Gminnej Radzie Narodowej, gdy padła propozycja, by kierowała całą gminą. To było rok temu, po tym, jak zrezygnowała z pracy w szkole i szukała sobie zajęcia. Zawsze ciągnęło ją, żeby coś organizować, działać. Kłopot z tym wszystkim był i jest jednak taki, że gmina jest wiejska, a ona na wsi po prostu się nie zna. Dzieciństwo i owszem, spędziła w majątku ojca, ale wszyscy mówili do niej „panienko”! niczego się tam tak naprawdę o wsi nie dowiedziała. Potem była Jelenia Góra, studia w Warszawie. Ludzie na nią tutaj patrzą jak na miastową. I słusznie, bo ona jest z miasta. Od tego, żeby znać się na problemach wsi, ma w urzędzie swoich ludzi. Utało się nawet tak, że jak ktoś ma coś do załatwienia w gminie, to idzie do Ireny Słowińskiej, sekretarza gminy, a nie do naczelniczki.

– Siutowa nie rozumie, o czym my do niej mówimy – żalą się Słowińskiej ludzie.

Stosunek do nowej naczelniczki oscyluje więc między podejrzliwością a pobbłazaniem. To jej jednak zupełnie nie przeszkadza.

– Wywieś w urzędzie kartkę, że drób przyjmujesz tylko zabity i bez pierza – żartuje kiedyś jej matka. W rzeczywistości jednak takie dowody wdzięczności do Ireny Siuty nie trafiają zbyt często.

Oczywiście, problemem jest także i to, że Siuta to „towarzyszka”. Do tego rosyjskie korzenie powodują, że ludzie nabierają podejrzeń co do jej rzeczywistych zamiarów, a także koneksji, którymi może się wesprzeć. We wsi gadają, że ważni przysłali ją tu specjalnie po to, by zlikwidowała wszelkie ślady radzieckiej kopalni uranu w Miedziance. Te plotki nie powiększają oczywiście grona jej sympatyków. Nie wiadomo, czy z premedytacji, czy po prostu przez zaniedbanie, w czasie pochodu pierwszomajowego wyjeżdża jej spod nóg trybuna, z której ma wygłosić przemówienie. Robotnicy ustawili ją na okrągłych beczkach, więc gdy naczelniczka staje przy mikrofonie, cały podest rusza powoli po pochyłości. Ludzie ryczą ze śmiechu, pracownicy urzędu rzucają się na pomoc szefowej. Szczęśliwie całe zajście udaje się obrócić w żart.

Tego, co ludzie naprawdę o niej myślą, dowiaduje się chyba dopiero w Radomierzu. Na początku lat siedemdziesiątych w urzędzie pojawia się ksiądz ze Szklar koło Nowej Soli. Buduje u siebie kościół, teraz jeździ po całym Dolnym Śląsku i kompletuje wyposażenie świątyni z tego, czego nie używają księża w swoich parafiach. Od konserwatora zabytków w powiecie otrzymał zezwolenie na zabranie nieużywanego dzwonu w starej dzwonnicy w Radomierzu. Wszystko ma się odbyć na koszt jego parafii, naczelniczka ma jedynie wydać odpowiednie zgody na zabranie zabytku z jej terenu. Irena Kamieńska-Siuta nie widzi problemu – dzwonnica w Radomierzu grozi zawaleniem, z dzwonu nikt tam nie korzysta, wszak obok stoi nowsza świątynia, w której odbywają się msze. Inicjatywę księdza ze Szklar uznaje więc za dobre rozwiązanie problemu ruiny, która wkrótce zacznie zagrażać mieszkańcom. Podpisuje odpowiednie pisma i wkrótce zapomina o sprawie.

Kilka tygodni później razem z Ireną Słowińską wracają z Jeleniej Góry do Janowic. W Radomierzu, nieopodal starej dzwonnicy, widzą zbiegowisko. Zatrzymują samochód, postanawiają sprawdzić, co się dzieje. Już z daleka słyszą podniesione głosy. W środku zbiegowiska stoi zastraszony ksiądz z parafii w Szklarach. Bez koloratki, w roboczym drelichu i przerażeniem w oczach. Dookoła niego zaś mieszkańcy wsi wygrażający mu pięściami i wyzywający go od przebierańca i uzurpatora.

Naczelniczka stara się łagodzić sytuację, tłumaczy, że dzwon ma być zabrany do innej świątyni, bo tutaj niszczy i może zagrażać mieszkańcom. Dopiero po chwili spostrzega, że dzwonu już w dzwonnicy nie ma.

– Schowali i nie chcą wydać. Nie wierzą, że jestem tym, za kogo się podaję – martwi się ksiądz.

– Katolickich dzwonów na złom nie wydamy! – krzyczy ktoś z tłumu.

Ktoś inny wygraża widłami. Inni stają murem przed pustą dzwonnica. Ludzie nabierają odwagi, w kierunku Ireny Siuty lecą niewybredne wyzwiska. Na miejscu pojawia się w końcu rosły posterunkowy z Janowic, pertraktacje trwają jeszcze kilkanaście minut. Żadne tłumaczenia jednak nie pomagają. W końcu naczelniczka wraz z księdzem dają za wygraną, wsiadają do samochodów i odjeżdżają. Po kilku dniach dzwon znów wisi na swoim miejscu. Jego obrońcy przez lata będą chodzić po wsi w glorii zwycięstwa.

Irena Słowińska mieszka dziś w Janowicach Wielkich w małym domku na szczycie wzgórza. To właśnie jej mąż Jerzy był przez niecały rok kierownikiem browaru w Miedziance, do dziś został mu zwyczaj mówienia o tym miejscu „mój mały browarek” Słowińska w urzędzie gminy przepracowała niemal całe swoje życie, odeszła na emeryturę pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Tamte wydarzenia w Radomierzu także pamięta doskonale, podsumowuje je w prosty sposób.

– Ja się wtedy bałam, bo część tych ludzi była agresywna. Irena sprawiała wrażenie opanowanej.

Swoją byłą szefową wspomina dobrze, choć teraz utrzymują raczej sporadyczny kontakt. Ich drogi rozeszły się, gdy w Polsce wszystko się zmieniło.

– Była wymagająca i surowa, cały czas trzeba było się starać o jej uznanie. Nikogo na co dzień nie rozpieszczała. Z drugiej strony, gdy ktoś z pracowników urzędu miał kłopoty, stawiała na głowie, żeby mu pomóc.

Gdy zapytać Irenę Słowińską, dlaczego Siutowej nikt już w okolicy nie lubi, a niektórzy wręcz nienawidzą, w pokoju zapadnie na chwilę cisza.

– To nie była osoba do lubienia. Ona była po prostu inna: lepiej wykształcona niż każdy z nas, z ambicjami i miejskimi manierami, ładna, modnie ubrana, oko miała zawsze umalowane. Jeździła swoim samochodem, miała męża lekarza, kolekcjonowali antyki. On dobrze zarabiał, ona robiła to dla satysfakcji, a nie dla pieniędzy. No, może trochę także dla sławy, lubiła, jak się o niej mówiło dobrze. Ale kto nie lubi? I co to za sława, w gminie albo powiecie?

Pierwsi mieszkańcy Miedzianki zaczynają przychodzić do gminy ze skargami już na początku lat sześćdziesiątych. W 1966 roku urzędowi szefuje jeszcze Janina Karwacka, cudem udaje jej się znaleźć trzydzieści dwa lokale zastępcze dla tych, których mieszkania w Miedziance zaczęły się właśnie rozsypywać. Przesiedleńcy trafiają do Janowic i Jeleniej Góry. Problem jednak nabrzmiewa. Gdy w 1968 roku Irena Kamieńska-Siuta zostaje naczelniczką gminy, na jej biurku ląduje już całkiem pokaźny stos papierów związanych z walącym się miastem. Teoretycznie odszkodowania za zniszczenia górnicze trafiają do kasy gminy z przeznaczeniem na remonty. W pierwszym roku urzędowania nowej naczelniczki jest to ponad dwieście tysięcy złotych. Kwota niemała, jednak to kropla w morzu potrzeb, w którym tonie miasteczko. Zamiast inwestować w ruinę gmina postanawia ściągnąć na wizję lokalną specjalistów z Katowic. Mają ocenić,

czy budowanie i remontowanie w Miedziance czegokolwiek ma sens. Aby to jednak było możliwe, zgodę na to wydać muszą władze powiatowe. Te nie są zbyt skore do zajmowania się tak skomplikowanym problemem, o wiele łatwiej uznać im, że rozwiąże się on sam, a mówiąc dokładniej – zapadnie się pod ziemię. Przekonywania i negocjacje trwają wiele tygodni.

W końcu katowiccy spece przyjeżdżają na miejsce. Samochód parkują na środku rynku, jest z nimi naczelniczka (ludzie potem powiedzą, że jednego dnia przyjechała czarną wołgą z takimi, którym całe to miasteczko sprzedała). Po kilku godzinach oględzin i analiz inżynierowie nie mają wątpliwości – miasteczko prędzej czy później zapadnie się pod ziemię, niezagrożona jest tylko jego niewielka zachodnia część. Ale i tam lepiej nie prowadzić większych prac budowlanych. Natomiast ludzi z rynku i przyległych doń uliczek należy wysiedlić niezwłocznie, zaniechać też trzeba wszelkich remontów, gdyż te mijają się z celem.

Pomysłów na rozwiązanie problemu jest kilka. Można za pieniądze z górniczych odszkodowań wybudować nowe domy na niezagrożonym terenie, można też wypłacić je ludziom i niech sobie radzą sami. Pierwsze rozwiązanie przerasta jednak chyba zdolności organizacyjne i finansowe całej gminy, drugie jest z kolei obarczone ryzykiem, że nie wszyscy do powierzonych im pieniędzy podejść odpowiedzialnie. Nie ma co ukrywać, w ciągu ostatnich lat Miedzianka stała się siedliskiem patologii, a milicjanci z Janowic coraz częściej są tam wzywani do pijackich burd czy wypadków, do których dochodzi w czasie plądrowania ruin. Oczywiście, żyją tam także praworządni obywatele, którzy po prostu utknęli w miasteczku z przyczyn losowych bądź nie chcą go opuszczać z sentymentu. Tych pewnie nawet jest większość, jednak opinia, z jakiej ostatnio słynie miasteczko, nie należy do najlepszych. Jest jednak jeszcze trzecie rozwiązanie – w Jeleniej Górze powstaje nowe osiedle, a pieniędzy z górniczych odszkodowań wystarczy akurat na to, by wykupić tam kilkadziesiąt mieszkań i w nich osiedlić mieszkańców Miedzianki. Irenie Kamieńskiej-Siucie to rozwiązanie wydaje się najrozsądniejsze. Wkrótce pierwsi mieszkańcy dostają przydziały w blokach na Karłowicza.

W 1972 roku do Urzędu Gminy w Janowicach Wielkich zaczynają przychodzić pierwsze listy z Jeleniogórskiej Spółdzielni Mieszkaniowej ze skargami na nowych mieszkańców przesiedlonych z Miedzianki. Ich sąsiedzi skarżą się na to, że na balkonach trzymają oni kury i drobne zwierzęta domowe, a na uwagi, że to nie miejsce na taką hodowlę, odpowiadają agresywnie. „Nowiny Jeleniogórskie” publikują zaś listy oburzonych czytelników, którzy nie życzą sobie, by na trawnikach nowego osiedla stały klatki z królikami i suszyło się pranie. Kamieńska rusza więc na Zabobrze wybadać, jak żyje się ludziom w nowych warunkach. Chce też sprawdzić, czy skargi mieszkańców są uzasadnione. W tych podróżach towarzyszy jej niekiedy Irena Słowińska. W czasie kilkudziesięciu wizyt żadnych kur jednak nie widzą. Rozmawiają z ludźmi – ci skarżą się nieco na to, że w blokach jest ciasniej niż w poniemieckich kamieniczkach, a i widoki z okien nie te same, co w Miedziance. Do szkoły za to jest blisko, pracę mają pod nosem, do sklepów też nie trzeba zbyt daleko chodzić. Nawet Mirosiowie zaczęli przywozić na Zabobrze swój chleb z Janowic, gdy dowiedzieli się, że Miedzianka jest teraz właśnie tutaj.

– Ja w czasie tamtych rozmów nie odniosłam wrażenia, żeby ludzie mieli nam coś za złe, że wyszli na tej zamianie gorzej. Owszem, tęsknili za Miedzianką, ale to przecież piękne miejsce, trudno za nim nie tęsknić. Na Zabobrze żyło im się jednak wygodniej – wspomina Irena Słowińska – wszyscy odnosili się względem nas albo życzliwie, albo po prostu z obojętną uprzejmością. Nie wszyscy musieli nas przecież kochać.

W 1981 roku jedna z jeleniogórskich gazet publikuje tekst o Irenie Kamieńskiej-Siucie, w którym nazywa ją Wampirem Karkonoszy. Trwa karnawał Solidarności, kilkanaście miesięcy reglamentowanej wolności, która zakończy się wprowadzeniem stanu wojennego. W sali jeleniogórskich zakładów Gencjana odbywają się spotkania działaczy

związkowych z przedstawicielami władzy. Ich celem jest rozliczenie rządzących województwem z ich poczynañ. W efekcie tych spotkań na przełomie stycznia i lutego 1981 roku dochodzi do strajku w Gencjanie, który kończy się podpisaniem jedenastopunktowego porozumienia. Punkt dziewiąty obliguje do złożenia rezygnacji z dotychczas pełnionych funkcji trzy osoby, w tym wicewojewodę jeleniogórską Irenę Kamieńską-Siutę.

W 1972 roku Kamieńska pożegnała się z Urzędem Gminy w Janowicach i przeniosła na stanowisko burmistrza Karpacza. Udało się to jej dzięki przebojowości i pewności siebie; w województwie potrzebowano energicznych działaczy, zwłaszcza na tak trudnych odcinkach, jak jedna z najważniejszych miejscowości turystycznych regionu. Podczas jednego z partyjnych spotkań działacz z sąsiedniej gminy śmieje się, że prędzej mu kaktus na ręce wyrośnie, niż jej uda się postawić nauczycielskie domki, jakie wymyśliła sobie wzdłuż ulicy Wojska Polskiego w Janowicach. Rok później Kamieńska zwraca się do niego tymi słowami:

– Towarzyszu, proszę pokazać kaktusa. Domki już u nas stoją, a mieszkają w nich nauczyciele.

Kilkadziesiąt lat później Irena Kamieńska-Siuta doda z uśmiechem, że z tych domków jest najbardziej dumna i sama nie wie, czemu ta ulica w Janowicach nie nazywa się jej imieniem.

W czasie swojego urzędowania w Janowicach Kamieńskiej udaje się też doprowadzić do tego, że miejscowość dwukrotnie zdobywa laur Wzorcowej Gminy Turystycznej Województwa Dolnośląskiego. Teraz ma ten sukces powtórzyć w większym Karpaczu.

Idzie jej tam całkiem dobrze, bo z fotela burmistrza trafia po czterech latach do gabinetu wicewojewody. Województwem kieruje wtedy Stanisław Ciosek, późniejszy minister do spraw związków zawodowych, pracy, płac i spraw socjalnych, a po 1989 roku ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i Rosji. Na nieszczęście Ireny Kamieńskiej-Siuty w zakres jej obowiązków wchodzi nadzór nad handlem oraz... rolnictwem. Na jednym i drugim nie zna się zbyt dobrze.

Gdy w 1980 roku zalegalizowana zostaje Solidarność, w Jeleniej Górze rozpoczyna się czas lokalnych rozliczeń. Ktoś sobie przypomina, że w czasie swojego urzędowania w Karpaczu Kamieńska pozwoliła wyciąć siedem setnych hektara lasu pod budowę wyciągu krzesełkowego i nie dopełniła przy tym wszystkich niezbędnych formalności. Las znajdował się bowiem w otulinie Parku Narodowego, a na jego wycięcie powinno wydać zgodę Ministerstwo Leśnictwa. Sprawą zajmowała się już nawet prokuratura, ale ze względu na „niewielką szkodliwość społeczną czynu” została ona umorzona. Na fali posierpniowych rozliczeń temat jednak powraca, a władze województwa postanawiają złożyć byłą panią burmistrz w ofierze, choć dobrze wiedzą, że kara będzie nieproporcjonalna do winy. Sąd nie wydaje jednak w kwestii postawionych jej zarzutów żadnego wyroku, korzysta za to z prawa ogłoszonej akurat amnestii.

– Zostaje zwolniona z wyroku, którego nigdy nie było – mówi do męża po ostatniej rozprawie. To jednak nie koniec, teraz o Kamieńskiej rozpisują się gazety, nawet te posłuszne władzy – właśnie wtedy zostaje ochrzczonego wampirem, a jej usunięcie staje się jednym z postulatów strajkujących w Gencjanie.

– Mogę na siebie patrzeć, gdy stoję przed lustrem – mówi Ta Zła. – Mam osiemdziesiąt lat, wiem, jak się nazywam, niczego się nie wstydzę. Na to, co o mnie opowiadają, nie mam żadnego wpływu. Szczerze mówiąc, mam to w nosie – zapewniam, ale widać, że nie ma.

Na Zabobrze do dziś są tacy, którzy opowiadają, że niemal siłą wyrzucała ludzi z domów („nas nie, ale sąsiedzi mówili”), że żaden z nich się stamtąd nie chciał ruszyć, że ich domy wcale się nie waliły. Mówią, że coś z tego musiała mieć. Podobno polecenia dostawała z samej Moskwy. Miała być wysłannikiem Sowietów, który zatrze wszelkie ślady po tajnej kopalni uranu. Tyle że w latach siedemdziesiątych przeszłość miasteczka nie była żadną tajemnicą. Zresztą nie była nią już dwadzieścia lat

wcześniej, wtedy gdy po korytarzach kopalni biegał Bronisław Hac i inni studenci geologii.

– Wszyscy wiedzieliśmy, co tam było, ile tego wydobyli, co się działo później – mówi Zbigniew Pawęska, następca doktorowej w fotelu naczelnika gminy. – Oczywiście oficjalnie się o tym nie mówiło, bo trzeba by wtedy też powiedzieć, że ta rabunkowa gospodarka przyjaciół Sowietów spowodowała zawalenie się całego miasta. Ale to nie był żaden sekret, ludzie dziś szukają sensacji tam, gdzie jej nie było.

Ludzie nadal jednak pytają, jakim cudem Kamieńska-Siuta zaszła potem tak daleko? I dlaczego utraciła ją dopiero Solidarność? Andrzej Piesiak na początku lat osiemdziesiątych zakładał jeleniogórskie wolne związki, jako solidarnościowiec brał też udział w posierpniowych rozliczeniach, a potem w negocjacjach w Gencjanie. Stan wojenny przesiedział na internowaniu w Kamiennej Górze. W wolnej Polsce był senatorem trzech kadencji. Kamieńską-Siutę pamięta dość dobrze.

– To były takie nieskomplikowane czasy, że kto był we władzy, ten był zły. To było proste: jesteś tam, jesteś czerwony, jesteś wrogiem. Ja dopiero teraz zaczynam o tym myśleć i pojmować, że wtedy nie było odcieni szarości. Nam się w głowie nie mieściło, że wśród nich mógł się znajdować ktoś przyzwoity. Po wielu latach zdałem sobie sprawę, że niektórzy z nich byli inni, że nie byli tak winni, jak pozostali, ale, wie pan, wtedy to nie miało dla nas żadnego znaczenia. A mogło jedynie przeszkadzać.

Kościół

Najdłużej znikał kościół. Na jedynym kolorowym zdjęciu, które się zachowało, widać, że świątynia miała żółtą elewację, wysokie witraże i wyraźnie górowała nad okolicą. Do wnętrza prowadziły wielkie drewniane drzwi, przed kościołem stały zaś w dwóch równych szpalerach jarzęby szwedzkie. Stoją tam do dziś, tyle że donikąd już nie prowadzą.

Od końca wojny wierni z Miedzianki, a także sam proboszcz parafii w Janowicach ksiądz Matwiejczyk korzystają z katolickiej świątyni stojącej w dolnej części ryneczku. To tutaj odprawia się msze, także tutaj, zgodnie z wieloletnim zwyczajem, w każdą третią niedzielę po Wielkanocy odbywa się odpust. Od zakończenia wojny ewangelicki kościół nie jest więc użytkowany. Pastor Johannes Fiedler, jego ostatni zarządca, wyjeżdżając stąd, zamknął świątynię na kłódkę i masywną sztabę, być może miał nadzieję, że budynek będzie jeszcze komuś kiedyś służył. Nadzieje te okazują się płonne, a zabezpieczenia nie stanowią żadnej przeszkody dla tych, którzy chcą dostać się do środka. A tych nie brakuje.

Najpierw z wnętrza znika najcenniejsze wyposażenie. Wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, trafia stąd na szaberplac w Jeleniej Górze lub wprost na złom. W ten sposób rozebrane zostają także zabytkowe organy, mieszkańcy jeszcze długo będą sobie opowiadać o osobliwych koncertach, które odbywają się wtedy w miasteczku – w każdym z nich bierze udział przynajmniej dwóch grajków – pierwszy niesie na ramieniu wyciągniętą z organów piszczałkę, drugi idzie za nim i z całych sił dmie w jej koniec, wydając w ten sposób piskliwe dźwięki. Takie duety wędrują po miasteczku aż do chwili, gdy z kościoła znika ostatnia piszczałka. Nie trwa to długo.

W ciągu kilku miesięcy wewnątrz świątyni zostaje dokładnie ogołoczone. Zostają tu jedynie wielkie drewniane ławy, w których kiedyś zasiadali wierni, oraz imponujące kryształowe żyrandole zwisające z sufitu. Te pierwsze są zbyt ciężkie i nieporęczne, by do czegokolwiek je wykorzystać, do tych drugich nie bardzo wiadomo, jak się dostać, nie łamiąc sobie przy okazji karku. Wiszą wszak na środku sali, z dala od którejkolwiek ze ścian, i są dość wysoko. Przez kilka następnych lat właśnie te ogołoczone ściany, puste ławy i nietknięte żyrandole będą witać każdego, kto zdecyduje się tu zajrzeć. Przez wysokie witraże sączyć się zaś będzie do wnętrza kolorowe światło, tworzące wraz z panującą tu ciszą dość nierzeczywiste i przygnębiające połączenie.

Ten stan nie trwa jednak wiecznie. Sposób na dostanie się do kryształowych żyrandoli wynajdują dzieci. Jest chyba połowa lat pięćdziesiątych, gdy na środku świątyni zostaje wzniesiona przedziwna konstrukcja. Do jej zbudowania użyto wszystkich ław i całego drewna, które wałało się w okolicy. Konstrukcja chyboce się groźnie, jednak to nie zniechęca wyrostków do wspinaczki na górę. Tam czeka nagroda w postaci kryształowych paciorków, które chłopcy kiściami zrywają z żyrandoli. Na dole czekają już na nich dziewczynki, które z tych zdobyczy robią sobie naszyjniki i tak przystrojone paradują po miasteczku. Wśród nich jest Marysia Kaczmarska, córka górnika zabitego przez UB, ta sama, która nie tak dawno zajrzała do grobu Ueberschaera i uciekła stamtąd z piskiem. W tym, co robią w świątyni, nie widzi nic złego, matka stanowczo zabroniła jej tylko wchodzić na kościelną wieżę. Nikt nie wie, w jakim jest ona stanie.

Wieża trzyma się jednak całkiem nieźle, jest doskonałym punktem schadzek starszej młodzieży. W sześćdziesiątym drugim wspina się tam Baśka Spiż. Właśnie skończyła szkołę podstawową, jest już prawie dorosła. Na wieżę łatwo się dostać, prowadzą na nią kręte schody, które tylko w dolnej części są nieco zniszczone. Dalej droga jest łatwa i prosta. To właśnie na szczycie kościelnej wieży Baśka Spiż zapala swojego pierwszego w życiu papierosa. Podobną tytoniową inicjację przeżywa w tym miejscu wiele jej koleżanek i kolegów ze szkoły.

W tym samym czasie w miasteczku zaczynają pojawiać się pierwsze poważne zniszczenia górnicze. Rysują się także mury świątyni. To nie zniechęca jednak nikogo do zaglądania tam w poszukiwaniu darmowego drewna. Ktoś rzuca plotkę, że pod drewnianą podłogą Niemcy ukryli swoje kosztowności. Podłoga zostaje więc natychmiast zerwana, ku rozczarowaniu wszystkich poszukiwaczy skarbów udaje się pod nią odkryć jedynie kilka niemieckich monet, które zapewne przed laty wpadły w szpary między deskami i nie było ich jak stamtąd wydostać. Po podłodze przychodzi czas na schody wiodące na balkon znajdujący się tuż nad wejściem. Od połowy lat sześćdziesiątych dostać się na górę będzie można tylko po podpierających balkon, kunsztownie rzeźbionych przyporach. Coraz trudniej wejść także na kościelną wieżę, z biegiem lat znikają stamtąd kolejne schody, dotarcie na górę wymagać więc będzie wkrótce iście małpich umiejętności. Znajdują się i tacy, którzy drewnem z wraku świątyni próbują handlować. Milicja usiłuje walczyć z tym procederem, kilku mieszkańców musi dokładnie wytłumaczyć, skąd pochodzą deski zalegające na tyłach ich domów. Nikogo to jednak nie zniechęca. Zresztą w podobny sposób traktuje się tu także opuszczone domy.

Jedynymi przedstawiającymi jakąkolwiek wartość przedmiotami w kościele są jeszcze figury wkomponowane tu i ówdzie w resztki wyposażenia świątyni. Zdobia one poręcze schodów, okolice ołtarza, kiedyś witały także wchodzących do wnętrza wiernych. Jakimś cudem przetrwały całe lata dewastacji budynku, teraz walają się w zrujnowanym wnętrzu. Szabrownicy pewnie nie mieli odwagi ich zabrać, być może brakowało im też pomysłu, co z nimi zrobić. Kościołów nikt przecież w Polsce Ludowej oficjalnie nie urządza. Tak się przynajmniej może wydawać, prawda okazuje się bowiem nieco inna.

Jest początek lat siedemdziesiątych, zima, właśnie minęły święta Bożego Narodzenia i huczny sylwester. Jak co roku po domach wiernych pielgrzymuje proboszcz parafii z Janowic. Z wizytą trafia też do domu Ireny Wędzel. Irena wraz z mężem i jego bratem Władkiem mieszka niemal w rynku, z okien widzą zrujnowaną świątynię, martwią się nawet niekiedy, że pękające mury staną się kiedyś przyczyną tragedii. Skoro śpiewa ich

dom, to i pewnie pod kościołem ziemia nie jest zbyt pewna. Od słowa do słowa ksiądz prosi Wędzlów o przysługę – w zrujnowanej świątyni zostały jeszcze piękne drewniane figury, doskonale komponowałyby się one w kościele w Janowicach. Tyle że duszpasterzowi szabrować w świątyni ewangelików nie wypada, więc gdyby oni mogli... Zapada niezręczna cisza, Wędzlowie nie wiedzą, co powiedzieć, sami niedawno przeganiali z kościoła dzieciaki rzucające kamieniami w witraże. W końcu Irena Wędzel mówi nieśmiało:

– Chyba musi ksiądz proboszcz poszukać pomocy u kogoś innego.

Wizyta dobiega końca, ksiądz wychodzi, wkrótce z kościoła znikają też drewniane figury. W janowickim kościele nigdy się jednak nie pojawiają.

Jeszcze zanim wyjadą stąd ostatni mieszkańcy, Józef Kluba, pracownik janowickiego kamieniołomu i mieszkaniec Miedzianki, w pijanym widzie zdąży wygrać zakład, że wejdzie na poprzeczkę krzyża wieńczącego kościelną wieżę. Baśka Kluba, gdy zobaczy, gdzie wlaźł jej ojciec, pobiegnie do matki z krzykiem:

– Mamo, mamó, tata na krzyżu! – Ale tę anegdotę ludzie opowiadać sobie będą już na Zabobrze.

Zaraz potem pod ziemię zapada się jedna ze ścian. Po prostu którejś nocy ziemia otwiera się i pochłania kawałek kościoła. Rano nieliczni mieszkańcy ze zdumieniem stwierdzają, że teraz do zrujnowanego wnętrza świątyni można zajrzeć nie tylko przez powybijane kamieniami okna. Już nikt nie ma jednak odwagi wejść do jej wnętrza. W 1974 roku w Miedziance pojawia się kilkudziesięciu żołnierzy. Okolicę kościoła otaczają szczelnym kordonem, zaś pod samym budynkiem zakładają ładunki wybuchowe. Wkrótce potem rozlega się głucha eksplozja. Ci, którzy stoją w bezpiecznej odległości i przyglądają się całej operacji, powiedzą później, że cała świątynia zawisała na kilka chwil w powietrzu, by zaraz potem zamienić się w kupę gruzu. Wśród tych gapiów jest Stanisław Izbiński. Gdy w Miedziance działała kopalnia, był tam pierwszym sekretarzem zakładowego komitetu partii, teraz mieszka w Janowicach. Izbiński przygląda się wysadzaniu kościoła w ponurym milczeniu. Gdy w latach

dziewięćdziesiątych opowie o całym zajściu dziennikarzowi lokalnej gazety, w jego oczach pojawiają się łzy.

Wśród gapiów jest także kilkunastoletni Zdzisiek Jankowski, ten sam, który kilka lat temu po włamaniu się do grobu Ueberschaera wyciągnął stamtąd szablę i paradował z nią po miasteczku. Jeszcze niedawno sam wchodził do kościoła i wyrywał ostatnie deski, nosił je później swojemu nauczycielowi historii, który w zamian obiecał mu promocję do następnej klasy. Teraz Zdzisiek wraz z rodzicami mieszka już w Janowicach, jego ojciec stracił nogi, a przydział na Zabobrze dostali na ostatnim piętrze bez windy. Zamienili się więc na mieszkania z rodziną z Janowic i mieszkają raptem dwa kilometry od Miedzianki. Wieści szybko się rozchodzą, gdy do Zdzińska w Janowicach dotarła wieść, że na Miedziankę idzie kompania wojska, rzucił wszystko i pobiegł popatrzeć.

Gdy tylko opada wzniesiony przez eksplozję pył, Zdzisiek rusza w ruiny i jako pierwszy wyciąga stamtąd metalową kulę wieńczącą kościelną wieżę. Wie, że znaleźć w niej można pamiątki, włożone tam przez budowniczych świątyni. Wraz z kolegami uciekają z cenną zdobyczą w las. Po otwarciu kuli okazuje się, że w środku jest kilka monet i pisane niemieckim gotykiem dokumenty. Nie zdążą nawet wszystkiego dokładnie obejrzeć, gdy jak spod ziemi wyrasta przy nich dwóch milicjantów. Skarb zostaje odebrany, chłopcy trafiają zaś na posterunek w Janowicach, gdzie muszą się gęsto tłumaczyć z tego, co zrobili. Kilka dni później o Zdzińsku Jankowskim, młodym chuliganie z Miedzianki, znów napisze gazeta.

Tego dnia, w którym zburzono kościół, Krystyna Dudek jak co dzień wraca zmęczona z pracy do domu. Mieszka na obrzeżach Miedzianki, tam gdzie nigdy żadnych zniszczeń górniczych nie było. Gdy wysiedlano sąsiadów, jej ojciec z łatwością przekonał władze, że on wyprowadzać się nie musi. Mieszkają tam teraz całą rodziną, mimo że okolica w ciągu zaledwie kilku miesięcy stała się całkiem odludna i posępna. Krystyna znów spóźniła się na autobus, przyjechała pociągiem, z dworca kolejowego w Janowicach idzie do miasteczka piechotą. Po drodze mija rozbawionych żołnierzy, są młodzi, mają na sobie przykurzone drelichy, palą papierosy

i na pustej szosie dokazują jak kilkuletni chłopcy. Na widok Krystyny idącej w kierunku miasteczka jeden z nich rzuca:

– Czegoś tam wam na Miedziance od dzisiaj brakuje.

A potem odchodzą w swoją stronę.

Pałac

Następnie zawalił się pałac. W pięćdziesiątym trzecim po raz pierwszy pękają mury i krzywią się okna. Gdy zamykają kopalnię, z pałacu wyprowadza się też wojsko. Budynek przez chwilę stoi pusty, potem przejmuje go Państwowa Straż Pożarna i organizuje tu kolonie dla dzieci swoich pracowników. Wraz z nastaniem wakacji pałacowy dziedziniec i otaczający go park znów zaczynają tętnić życiem. Tak jest przez kilka sezonów.

Któregoś lata, pod koniec lat pięćdziesiątych, magazyn żywnościowy znajdujący się w prawym skrzydle pałacu zapada się pod ziemię. W nocy nikt tego nie zauważył i gdy rano kucharki przychodzą po prowiant, stają jak wryte na krawędzi wielkiej dziury w ziemi. Śniadania dziś na pewno nie będzie.

W takich warunkach kolonii organizować się nie da, zawalone skrzydło pałacu zostaje więc ogrodzone, ośrodek zlikwidowany, jednak o burzeniu budynku nikt nie myśli. W czynnej części kwateruje się kilka rodzin, mieszkają tu przez kilka lat, potem wyprowadzają się do Jeleniej Góry. Budynek znów stoi pusty, od czasu do czasu baraszkują w nim tylko dzieciaki z miasteczka i okolic. Jak wszyscy tutaj, szukają skarbów – gdzie się da i jak się da. Nic nie znajdują, zostawiają jednak po sobie chaos i zniszczenie. Nie wiedzą, że za kilka lat w pałacu przyjdzie jeszcze komuś zamieszkać.

Tym kimś jest Elżbieta Jachimowska z domu Grzyb wraz z dziećmi. Chciałoby się dodać: „i mężem” jednak Henryk znów wpadł w alkoholowy ciąg i Elżbieta nie chce go nawet szukać. Jest rok 1974 lub 1975,

w Miedziance nie ma już prawie nikogo, w rynku straszą zrujnowane budynki, z których mieszkańcy okolicznych wiosek pozyskują cegły na swoje budowy. Pałac ma się więc całkiem dobrze, zwłaszcza jeśli porównać go z pozostałą częścią miasteczka. Elżbieta postanawia się tam przeprowadzić razem z dziećmi, może tutaj Henryk ich nie znajdzie, zresztą do tej pory gnieździła się z maluchami kątem u rodziców. Nie byłoby tam nawet i źle, gdyby nie fakt, że ojciec ciągle się do niej dobierał. Jakoś sobie z tym radziła, przyzwyczaiła się od dzieciństwa odpierać jego ataki, teraz jednak musi się troszczyć także o swoje dzieci i nie chce, by spotkał je ten sam los. Pałac w Miedziance jest więc dla niej i dzieci bezpiecznym azylem.

Azyl ten okazuje się jednak zimny i nieprzytulny. W pustych mieszkaniach szaleją przeciągi, okna pozbawione są szyb, zasłaniają je więc czym się da – kocami, starymi kołdrami i gazetami. Oprócz nich w budynku mieszka Halina Zagrodna i rodzina Romów. Ci ostatni zajmują parter pałacu i zajmują się tam osobliwym procederem. Organizują tu bowiem końską rzeźnię, ubijają konie przyprowadzane przez gospodarzy z Janowic, Ciechanowic i Mniszkowa. Od czasu do czasu Elżbietę Jachimowską i jej dzieci budzi jeżący włos na głowie kwik zarzynanego konia. Lato jeszcze jakoś wytrzymują, gdy przychodzi jesień, w pałacu robi się coraz zimniej. Elżbieta idzie do Haliny Zagrodnej i namawia ją, by razem wybrać się do gminy i prosić o nowy lokal.

Naczelnikiem gminy jest Zbigniew Pawęska, sekretarzem gminnego komitetu partii Szymon Młodziński. Obaj wysłuchują kobiet, nic jednak nie mogą poradzić, gmina nie dysponuje wolnymi lokalami.

– Jak to nie dysponuje, skoro w Miedziance co drugi dom stoi pusty! – krzyczy Jachimowska.

– W Miedziance nikogo zakwaterować nie możemy, wy w pałacu zamieszkałyście nielegalnie – odpowiada naczelnik.

Nie dają za wygraną, postanawiają jechać do komitetu partii w Jeleniej Górze. Nie są umówione, nikt ich nie chce wpuścić. Siadają w pluszowych fotelach w holu i mówią, że nie ruszą się stamtąd, dopóki ktoś z nimi nie porozmawia. Wygrywają uporem. W końcu ktoś ich przyjmuje, słucha

o domu bez okien i przeciągach, łapie za słuchawkę, dzwoni do gminy. Wracają w glorii zwycięstwa. Kilka dni później pod pałac w Miedziance przyjeżdża traktor z przyczepą. Najpierw przesiedlają Zagrodną, zamieszka w ładnym domku na Nadbrzeżnej w Janowicach. Potem traktor wraca po rodzinę Jachimowskiej. Jadą do Radomierza, tam rozpoczną wszystko od nowa.

Wkrótce potem z pałacu wyprowadza się też rodzina Mirgów i budynek popada w zupełną ruinę. W czasie ostatecznej rozbiórki miasta w połowie lat siedemdziesiątych jego resztki zostają zrównane z ziemią. Gdy w 2009 roku w pałacowym parku pojawiają się archeolodzy, znajdą tylko krzaki, drzewa i kilka rozrzuconych bezładnie kamieni. Uda im się w nich rozpoznać fragmenty renesansowego portalu tej części pałacu, którą wznosił jeszcze w XVI wieku sam Dippold von Burghaus. Przewiozą je do pobliskiego Siedlęcina, by nie kusily domorosłych poszukiwaczy skarbów. W swoim opracowaniu stanowiska archeolodzy napiszą:

„Dojście: Przez dawne centrum osady prowadzi szosa z Janowic Wielkich do Ciechanowic i Marciszowa. Punktem orientacyjnym jest dawny kościół parafialny (można przy nim zostawić samochód). 50 metrów na wschód od świątyni widać szczątki bramy parkowej, zdziczały drzewostan dawnego parku i zarośnięte zaroślami ruiny dworu, tworzące kopiec, wystający z ziemi około 0,5-1,0 metra. Zejście do piwnic, częściowo zagruzowanych i niedostępnych, znajduje się po północnej stronie gruzowiska, ale przy penetracji wewnątrz trzeba zachować szczególną ostrożność (osypująca się ziemia i gruz!)”

Browar

Z browarem poszło szybko. W siedemdziesiątym trzecim do gabinetu naczelnika Zbigniewa Pawęski przychodzi Stefan Spiż. Nie zapowiadał się, sprawia wrażenie, jakby akurat przechodził obok i postanowił na chwilę wstąpić. Rzecz o tyle dziwna, że choć obaj panowie oczywiście się znają, to bliższych kontaktów ze sobą nigdy nie utrzymywali. Spiż nie zdejmuje nawet płaszcza, siada na podstawionym mu krześle, przez chwilę milczy. W końcu mówi:

– Niech mi pan pomoże uruchomić ten browar jako prywatną inicjatywę.

Zbigniewowi Pawęsce oczy robią się okrągłe ze zdumienia. To, o co prosi go Stefan Spiż, przekracza nie tylko możliwości skromnego naczelnika niewielkiej gminy, lecz także wszelkie granice zdrowego socjalistycznego rozsądku. Prywatna produkcja piwa! Ta zbitka słów już sama w sobie brzmi nierealnie. Pawęska próbuje to Spiżowi wytłumaczyć, jednak żadne argumenty do starego piwowara nie docierają.

– Jeśli nie spróbujemy, to się nie dowiemy. A to jest całe moje życie.

Pawęska mięknie, następnego dnia ma jechać do powiatu, obiecuje zapytać, czy jest jakakolwiek szansa. Po drodze pytanie, które ma tam zadać, powtarza sobie na głos.

– Nigdzie indziej o to, człowieku, nie pytaj, bo cię wezmą za wariata i jeszcze robotę stracisz – słyszy krótką, acz wyczerpującą odpowiedź. W drodze powrotnej zajeżdża do Miedzianki. Stefan Spiż wychodzi mu na spotkanie.

– Panie Stefanie, wyśmiali mnie. To jest niemożliwe.

Spiż kiwa głową.

– Nie pańska wina.

Likwidacja browaru zaczyna się kilka miesięcy później. Oficjalnym powodem są zniszczenia górnicze w miasteczku, jednak akurat w tym przypadku powód ten jest wyssany z palca. Ziemia pod zakładem ani nawet w jego bezpośrednim otoczeniu nigdy się nie zapadła, ceglane mury stoją zaś niewzruszone od ponad stu lat i mogłyby pewnie powstać jeszcze drugie tyle. Mimo to produkcja w zakładzie zostaje zatrzymana, a zapasy piwa rozwieszone po okolicznych knajpach i sklepach. Pracownikom władze proponują posady w innych zakładach. Większość podwładnych Stefana Spiża nie ma jednak ochoty na dalekie dojazdy, zmieniają więc fach i zatrudniają się w papierni w Janowicach albo zakładach lnianarskich w Marciszowie. Werka Butyńska znajduje pracę w janowickiej szkole.

– Werko, zostań, może nas nie zamkną – prosi ją pewnego dnia Spiż, jakby zupełnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się dookoła.

Bogdan Spiż zostaje kierownikiem słodowni w pobliskich Ciechanowicach, ma możliwość zatrudnienia tam ojca jako głównego majstra. Ten układ jest idealny, Bogdan może zająć się zarządzaniem zakładem, ojciec zaś będzie dbał o prawidłowy przebieg całego procesu technologicznego. Lepszego fachowca niż Stefan Spiż w okolicy z pewnością nie ma.

W siedemdziesiątym czwartym w browarze pojawiają się robotnicy. Wymontowują dwadzieścia miedzianych tanków i toczą je drogą w kierunku Janowic. To pamiętna chwila, oto po stu dwudziestu sześciu latach kończy się w Miedziance historia browarnictwa. Kończy się z dudniącym łoskotem blachy toczonej po mokrym asfalcie. Owo toczenie nie jest łatwe, pochyłość jest spora, nad ważącymi po kilkaset kilogramów kadziami nietrudno stracić kontrolę. U góry robotnicy zapewniają, że tanki pojedą do browaru w Lwówku, na dole okazuje się, że takie pogniecione nadają się tylko na złom. Stefan Spiż obserwuje to wszystko w milczeniu. Stara się trzymać fason. Oczywiście na tyle, na ile to możliwe. Ludzie widzą, że jest nieco przygaszony, ale on nigdy nie był wulkanem energii. Ci, którzy znają go słabiej, mogą nawet uznać, że widok toczących się w kierunku Janowic tanków nie robi na starym kierowniku żadnego

wrażenia. Dopiero w domu Stefan całkowicie się rozkleja, po latach Baśka wspomni, że nigdy wcześniej nie widziała tak rozbitego i płaczącego ojca.

Browar jest pusty. Przez kilka lat gmina trzyma tu zapasy warzyw i siana. Potem większa część budynku zostaje rozebrana, a reszta zamknięta na cztery spusty. Staw, z którego zimą pozyskiwano lód do chłodzenia piwa, wysycha i zarasta zielskiem. Wkrótce stanie się też wysypiskiem śmieci dla miejscowej ludności.

W połowie lat osiemdziesiątych Werka Butyńska spotyka w Janowicach Stefana Spiżę. Witają się serdecznie, rozmowa jednak się nie klei. Na odchodnym Stefan obdarza ją swoim lekko uwodzicielskim uśmiechem, którego nie stracił mimo upływu lat, i żartuje:

– To co, Werko, jutro na popołudnie, będziesz miała dyżur w słodowni.

– Tak jest, panie kierowniku – odpowiada rozpromieniona Werka. Ona kierownikowi Spiżowi odmówić nie potrafi.

Fotografie II

Wyschnięty staw pełen gałęzi i śmieci, resztki browaru, parterowa ruinka z wybitymi oknami. Zaglądam do środka, wzrok przez chwilę przyzwyczajając się do mroku, w końcu wychwytuje pierwsze kształty – potłuczone akwaria, stoły, krzesła, bańki na olej i walające się wszędzie siano. Z żółtej willi wychodzi jakaś kobieta, mówi, że o miasteczku nic nie wie, nawet tego, że było. Nie wie też, gdzie kiedyś były szyby i sztolnie.

– Bo tego pan szuka?

Chcę wejść do jej domu i zobaczyć miejsce, w którym Georg Franzky jadał obiady, a Stefan Spiz kłócił się z Heleną. Kobieta staje jednak w progu. Z jej twarzy znika życzliwość.

– Niech pan już idzie, ja naprawdę nic nie wiem.

Idę.

Pani Jadwiga leży na łóżku i ma łzy w oczach. Powinienem słuchać dlaczego, więc robię, co mogę, by słyszeć. Rozglądam się jednak po jej pokoju, wchłaniam każdy szczegół, który z zagraconego i zimnego mieszkania staruszki pomoże mi odtworzyć wnętrze szkoły. Gdzie była tablica, gdzie ławki, gdzie kto siedział. Którędy wchodzili, czy szurali krzesłami. Jadwiga Płaksa ciągle mówi, a ja naprawdę staram się słuchać, po pokoju chodzi jej syn i dopala kolejnego papierosa. Jeszcze nie wiem, jak stąd wyjdę, podobno z łańcucha urwał się ich pies, wredne bydlę, biega teraz po obejściu, lepiej na niego uważać.

– Zdjęcia jakieś macie? – pytam.

– A po co nam zdjęcia?

- Różne rzeczy ludzie trzymają.
- Chwila ciszy.
- Nie mamy.

Zdjęcia. Powykręcane kartoniki nie większe od dłoni. Hanna Gębuś każe mi zabrać wszystkie, na których jest choćby kawałek Miedzianki. Nie uporządkowała ich, fotografie z ubiegłorocznych imienin mieszają się tu z tymi z jej młodości. Przebieram bezradnie w pudełku, ale skąd mam wiedzieć, czy to, co widać w tle, jest miasteczkiem. Nigdy tam nie byłem, nie widziałem, nic nie wiem. Chyba nie chcę ich brać, ale nie dlatego, że nie chcę ich w ogóle. Bardzo chcę. Tyle że jej nie zostanie już nic.

– Ja umrę i ktoś je wyrzuci. Panu się przydadzą.

Jedenaście fotografii, na dziewięciu ona. Była bardzo ładna, musiała mieć powodzenie. Na jednym ze zdjęć idzie z chłopcem drogą do Janowic. Są eleganccy, on obejmuje ją ramieniem, przysuwa twarz do jej twarzy. Śmieją się. Ona patrzy prosto w obiektyw. Jest chyba wczesna wiosna, drzewa nie mają liści, świeci słońce, jest dość ciepło, bo mają na sobie cienkie płaszcze. Na odwrocie drugiej fotografii napisała: „Stefan, mój brat z wojska, Miedzianka – 1965 rok. Stefan” Imię powtórzyła dwa razy. Dziwne. To wygląda na wrzesień albo chłodniejszy sierpień. Słońce przeświecało jej twarz, widać tylko, że trzyma brata pod rękę, patrzą na siebie, znów droga do Janowic. Jest jeszcze jej portret w ogrodzie, jak siedzi przy stole zbitym z jednej deski i jakiegoś kołka. Może to tam, gdzie była ta jej ławeczka, może przed chwilą na niej stała i patrzyła na Śnieżkę.



Trudno znaleźć polskie zdjęcia z połowy lat sześćdziesiątych, na których byłoby widać domy w Miedziance. Na tle ruin mieszkańcy fotografują się najrzadziej. Wśród tych fotografii, które dała mi Hanna Gębuś, kawałek rynku widać tylko na dwóch zdjęciach. Jan Majka pokazał mi jeszcze jedno, stoi na nim z kolegą Marianem Sztamą i mocują się w pozorowanej walce o bagnet, który przed chwilą znaleźli na strychu jednego z domów. Marian Sztama trzyma Janka za nadgarstek i uśmiecha się do obiektywu. Obaj noszą swetry i koszule z jasnymi kołnierzykami. Widać tyły domów, bałagan wiejskich podwórek, płotki, szopy i sznury z suszącym się praniem. Wszystko to, co było tu, zanim miasteczko zniknęło – codzienność, proza.

Ale jak to wyglądało? Chcę wiedzieć – nie uwierzę, dopóki nie zobaczę. Ratuje mnie Karl Heinz Friebe. Ktoś przyjechał tu z Niemiec w 1967 roku i zrobił zdjęcia rynku. Kolorowe! Karl Heinz ma ich odbitki starannie posegregowane w albumie. Patrząc na lekko przyblakłe elewacje, puste oczodoły okien, gruz wysypujący się przez drzwi na ulice. Od razu widać, że tych zdjęć nie robił nikt stąd, mieszkańcowi fotografować to wszystko byłoby pewnie trochę wstyd, a może po prostu nie widziałby celu w robieniu zdjęć ruinom. Te kolorowe fotografie wykonał ktoś, kto przyjechał sprawdzić, czy miasteczko jeszcze istnieje i jak się ma. Jest na nich raptem kilkoro ludzi siedzących na ławeczce przed zrujnowanym domem, są jakieś dzieciaki. Dowody na to, że ktoś jeszcze tu mieszka. Ruina, kurz i słońce w zenicie, przepalające jaśniejsze części kadru. A w tym wszystkim skrzynka na listy przykręcona do ściany jednego z rozsypujących się domów. Tak, ktoś jeszcze tu żyje.

Mam jeszcze zdjęcia z browaru, które dali mi Słowińscy. Czysta inwentaryzacja – na większości z nich są urządzenia, których nie umiem nawet nazwać. Fotografował Jerzy Słowiński, gdy na kilka miesięcy przejmował zakład. Są więc niewyraźne fotografie budynków i ogrodu, są zdjęcia tanków i jakichś instalacji. Płatanina rurek, baniek i zegarów.



Prosty przegląd wyposażenia. Ale wśród tych zdjęć jest też jedno, na którym stoją pracownicy. Wyszli tylko na chwilę, na ziemi leży jeszcze śnieg, musiało być dość zimno. Werkę Butyńską poznaję od razu, stoi z przodu, w białej chustce na głowie, trochę dumna, trochę zadziorna. Tożsamości reszty mogę się tylko domyślać albo ją sobie wymyślić na poczekaniu. Wszyscy patrzą w obiektyw, tylko kierownik przygląda się im z uśmiechem. Są lekko rozbawieni. W tle mają browar wysoki na dwa piętra. To jest zdjęcie inwentaryzacyjne. Opis mógłby brzmieć: budynek browaru od strony południowej, zmiana poranna, pracownicy w czasie przerwy śniadaniowej, stan na rok 1963 – fotografia nieaktualna.

Wszystkie skarby Miedzianki

– Zwykle odbywało się to tak, że przyjeżdżali do gospodarza i stawiali na stole flaszkę albo dwie. Dzieciakom dawali jakieś słodczy i zaczynali biesiadowanie. Oni mają głowy mocne, tylko tak udają, że niewiele mogą. Potem wszyscy szli spać. A jak się rano gospodarze budzili, to nie było ani ich, ani ścianki działowej czy komina. Tylko wielka dziura i bałagan. Tak to oni swoje skarby odzyskiwali.

– Gdy wprowadziliśmy się pod dwudziesty siódmy, to tam już nie było podłóg ani boazerii, a na strychu zdarte były wszystkie deski aż do dachówki i porozbijane ściany. I jak to wszystko zobaczyliśmy, to wiedzieliśmy, że przed nami byli tam poszukiwacze skarbów i my nic wartościowego po Niemcach już tutaj nie znajdziemy.

– Byli tacy, którzy przyjeżdżali do miasteczka zaraz po wojnie, osiedlali się, mieszkali przez chwilę, a potem nagle wyjeżdżali. Po jakimś czasie było wiadomo, że jak ktoś stąd wyjeżdża, to dlatego, że mu się trafił dom z poniemieckim skarbem i on ten skarb znalazł. I żeby ludzie nie zazdrościli, to takie rodziny od razu wyjeżdżały.

– W czasie wojny w zamku w Karpnikach Niemcy trzymali dzieła sztuki zrabowane na wszystkich frontach. Mówiło się, że tam są największe skarby i nikt do tego zamku zbliżyć się nie mógł, bo żołnierze od razu strzelali. Jak Ruscy przeszli Odrę, to tamten zamek i te wszystkie skarby ewakuowano do Niemiec, ale kilka ciężarówek szkopy skierowali na Miedziankę.

I tutaj w kopalniach to wszystko poukrywali, bo tylko oni znali dokładny rozkład tych tuneli.

Potem, jak wkroczyli Rosjanie i otworzyli kopalnię uranu, to po kolei te skarby w chodnikach znajdowali i razem z rudą wywozili do siebie. Podobno górnicy to bali się wchodzić do starych chodników poniemieckich, bo te ze skarbami były zaminowane. Poza tym Ruscy likwidowali wszystkich świadków, więc żaden górnik, co te skarby widział, już nie żyje.

Tych skarbów było tyle, że Rosjanom nie udało się wszystkiego stąd wywieźć, a że uran się skończył, to musieli zamknąć kopalnię. Więc jak ją zamykali, to wyłączyli wszystkie pompy i te wszystkie chodniki ze skarbami zalała woda.

– W dole, nad którym stał wychodek, znaleźliśmy całą wannę wypełnioną po brzegi porcelanową zastawą. Część tych rzeczy się potłukła w ziemi, ale dużo było całkiem dobrych i korzystaliśmy z nich jeszcze przez lata. Moja siostra, która mieszkała w domu obok, miała mniej szczęścia, bo znalazła tylko jedną srebrną cukiernicę. Miała mi nawet trochę za złe, że my tą naszą porcelanę nie chcieliśmy się z nią podzielić.

– Wszystkie piwnice w Miedziance miały ceglane podłogi, żeby pod domy nie podchodziła wilgoć. Jak się kilka lat po wojnie po tych piwnicach chodziło, to nie było ani jednej, w której te cegły nie byłyby zerwane, a ziemia przekopana. Ludzie potem próbowali te cegły układać na nowo, ale im to zupełnie nie wychodziło, i podłogi w tych piwnicach się koślawiły, pojawiała się wilgoć, a ziemniaki pleśniały. O tym, żeby ktoś tam jakieś skarby kiedykolwiek znalazł, to ja nigdy nie słyszałem. Ale pewnie, jak ktoś coś znalazł, to się nie przyznał.

– Od czasu do czasu z ziemi wyłaziły jakieś przedmioty, które Niemcy tam ukryli, ale to żadnej specjalnej wartości nie miało i zbierali to potem kolekcjonerzy. Złota czy biżuterii to tutaj nikt nigdy nie znalazł.

– Było na Miedziance kilka takich rodzin, którym nagle zaczęło się lepiej powodzić. I ludzie najpierw się trochę zastanawiali, skąd oni mają pieniądze, skoro nikt z nich nawet w kopalni nie pracował, ale potem wszyscy się połapali, że to przez te niemieckie skarby. Zresztą ich dzieciaki czasem się chwaliły, więc to się po miasteczku dość szybko roznosiło, jak ktoś coś znalazł.

– W naszym domu przed wojną mieszkał chyba jakiś kolekcjoner piwnych etykiet, bo cały strych mieliśmy zawałony właśnie nimi. Były spakowane w takie niewielkie paczki przewiązane gumką. Ojciec używał ich czasem jako rozpałki w piecu, bo one na tym strychu wyschły na wiór. A potem w miasteczku pojawił się Antek Szmaciarz i skupował te etykiety po cenie makulatury, tośmy mu je wszystkie sprzedali, a ojciec w piecu rozpalał starymi gazetami.

– Jak wyburzano pałac, nikomu nie wolno było się do niego zbliżyć, a porządku pilnowali żołnierze z KBW. Kiedyś z kilkoma chłopakami udało nam się tam wejść. W tym pałacu Niemcy musieli pochować mnóstwo skarbów, bo jak my tam weszliśmy, to te wszystkie schowki były już opróżnione. Robotnicy, którzy rozbierali pałac, zrywali najpierw podłogi i rozbijali ściany, żeby się do tych kosztowności dostać. I my już tylko takie opróżnione schowki widzieliśmy, ale żadnych skarbów sami nie znaleźliśmy.

– Czaplowie znaleźli puszkę z dolarami i wyjechali za to całą rodziną do Australii.

– Przyjechali Niemcy, zapytali, czy mogą rozbić namiot pod drzewem i przenocować kilka dni. Nam to nie przeszkadzało, więc im pozwoliliśmy. Przychodzili czasem po wodę, ale głównie to siedzieli w tym namiocie. Jak wyjechali, to tam poszliśmy i się okazało, że w miejscu, gdzie stał ten ich namiot, jest wielka dziura w ziemi.

– Był taki jeden dom na Miedziance, który Rosjanie od razu przejęli. Wszystkie okna i drzwi zabili deskami i zabronili komukolwiek tam wchodzić. W całym miasteczku było wiadomo, że Rosjanie tam trzymają skarby, które zdobyli na Niemcach. Tylko niektórzy mówili, że Ruscy zamknęli ten dom, bo on się cały rysował i groził zawaleniem.

– Ludzie się już uśmiechali później, bo jak w okolicy pojawiał się bus na niemieckich numerach, a na przyczepie miał taką małą kopareczkę, to już było wiadomo, po co oni przyjechali. Jechali gdzieś w pole albo pod jakieś drzewo, kopali chwilę i odjeżdżali. Nikt im specjalnie w tym nie przeszkadzał, bo to w końcu ich było, a tylko oni znali dokładne miejsca

ukrycia tych skarbów. Myśmy całe życie szukali i nic poza śmieciami nie znaleźliśmy.

Nie ma miasteczka

Mieliśmy dom – goście przychodzili i odchodzili
Dziś te izby są puste, nikt już nas nie zna
Trująca cykuta czeka za bramą ogrodu
I trawa rośnie u wejścia, do kolan wysoka
Chociażbym szukał, nie znajdę
Śmieci i kurz przysłaniają to, co dawne
W szczelinach murów przemykają cienie
I znużonym ruchem skrzydeł fruną wrony
ponad opuszczonymi miejscami
I nikt tam nie wie, kim jestem

Ruth Storm¹⁹

Gdyby Karl Heinz Friebe zapłakał, stojąc na środku upstrzonej krowimi plackami łąki, która kiedyś była rynkiem jego ukochanego miasteczka, byłoby to pewnie zbyt melodramatyczne. Mógłby jednak być wściekły, rozczarowany, smutny, mógłby dyszeć nienawiścią. Wszystkie te rzeczy dałoby się jakoś wytłumaczyć. Nic z tego – Karl Heinz stoi w pokrzywach i spokojnie pokazuje parasolem:

– Tam była restauracja Breuera, tam apteka Haenisch. Tutaj, gdzie stoimy, był salon mojej babci, wychodziło się wtedy do sieni i dalej, na zewnątrz, pod piękną jabłoń. Kupferberg był kiedyś piękny i zielony.

Teraz jest tylko zielony.

Miedzianka

Jeszcze przed tym, jak runęła żelazna kurtyna, a Karl Heinz Friebe mógł bez problemu przyjechać do Polski, w Miedziance pewien człowiek zapadł się pod ziemię. Nazywał się Zbigniew Antoni Sieroń i był elektrykiem. To była późna jesień, początek lat osiemdziesiątych. Po miasteczku na szczycie wzgórza nie pozostał już żaden ślad, w kilku domkach rozsianych po okolicy żyła jedynie garstka najbardziej wytrwałych mieszkańców. Tylko przy drodze do Janowic, w blaszanym budynku działały warsztaty jeleniogórskiego SIMET-U. Pracowało tu kilkanaście osób dowożonych specjalnie z Jeleniej Góry. Któregoś wieczoru Zbigniew Antoni Sieroń wyruszył stąd do Janowic, żeby Władkowi Trepie, staremu górnikowi, a potem pracownikowi browaru, naprawić telewizor. Wracał późną nocą, trochę mu się spieszyło, więc wybrał drogę na skróty. Do warsztatów jednak nie dotarł.

Gdy zapadła głęboka noc, ktoś w zakładzie zauważył brak Sieronia. Zaczęli go szukać – w ciemności i mgłę, która jak każdej jesieni spowiła wzgórze. W końcu go znaleźli. Razem z fragmentami ogrodzenia leżał i jęczał na dnie wielkiego rozpadliska, które otworzyło się tuż obok drogi wiodącej do zakładu. Próbowali go wydostać, jednak nigdzie w pobliżu nie było na tyle długiej drabiny, żeby do niego dotrzeć. Związali więc kilka lin i tak zeszli na dół. Sieroń był potłuczony i przerażony, ale cały. Nie bez trudu wyciągnęli go na powierzchnię. Gdy doszedł do siebie, opowiadał z przejęciem, że ziemia chciała go żywcem pochłonać. Śmiali się potem długo, że pewnie sobie na to zasłużył.

Tak, ziemia pod Miedzianką co chwila o sobie przypomina. Niemal po każdym większym deszczu na polach robią się tu rozpadliska i niecki, do których chłopci zwożą potem całymi tygodniami ziemię. Od lat osiemdziesiątych kopalniane korytarze zapadały się coraz częściej, już nikt przy zdrowych zmysłach tam nie wchodził, mimo że w okolicy nadal są tacy, co wiedzą, gdzie są poszczególne sztolnie i jak się do nich dostać. Wiedział też Bogdan Markowski, dobry przyjaciel Bogdana Spiża, w latach osiemdziesiątych pracownik janowickiej mleczarni. Podziemny labirynt pod Miedzianką postanowił wtedy wykorzystać jako magazyn serwatki, z której utylizacją w mleczarni były ciągłe problemy. Wraz z kilkoma

pracownikami Markowski zabrał więc cysternę i pojechał aż pod Mniszków. Tam znajduje się jedno z wejść do kopalni. Nie zajrzeli nawet do środka, wtłoczyli tylko serwatkę do wnętrza góry i zadowoleni odjechali. Afera wybuchła kilka dni później, gdy czternaście kilometrów od Mniszkowa woda w Bobrze zrobiła się biała i cuchnąca.

– Wtedy do mnie dotarło, co tak naprawdę kryje się pod tą górą – wspomina Markowski.

Jeśli przejrzeć gazety z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, okaże się, że w Miedziance żadnej kopalni uranu nie było. „Wprawdzie w latach 1948-1952 próbowano wznowić jeszcze roboty górnicze i określić opłacalność wydobywania, ale po odkryciu złóż w Lubinie trzeba było zakończyć je definitywnie” – piszą „Wierchy”

Inne gazety nie pozostają „Wierchom” dłużne. „Karkonosze” dodają, że Miedzianka zapadła się już w 1945 roku, „Nowiny” że od wojny nic tu pod ziemią nie znaleziono, więc górnictwo umarło śmiercią naturalną. Potem Miedzianka popada w zapomnienie i już żaden dziennikarz się nią nie interesuje.

Gdy otworzyły się granice, w okolicy zaczęło pojawiać się coraz więcej Niemców, chcących sprawdzić, czy zdołają poznać jeszcze swoje rodzinne strony. Któregoś dnia w gabinecie dyrektora Ośrodka Zdrowia w Janowicach Wielkich staje postawny jegomość o iście arystokratycznych manierach. Przedstawia się jako Eberhardt zu Stolberg Wernigerode, potomek Christiana Stolberga, ostatniego hrabiego na Miedziance, Janowicach i Trzcińsku. W skład majątku Stolbergów wchodził też pałac, w którym obecnie znajduje się janowicka przychodnia.

Dyrektor jest podejrzliwy, niemieckich przebierańców o nazwisku Stolberg było już tu kilku, żaden nie był jednak na tyle przekonujący, by wpuścić go do środka.

– A skąd ja mam, miły panie, wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje? – pada więc pytanie.

– Stąd, szanowny kolego, że jeśli nie zmieniłeś pan zamku w drzwiach swojego gabinetu, to ja nadal posiadam do niego klucz! – słyszy w odpowiedzi dyrektor, po czym następuje stosowna demonstracja.

Osobą, która przypatrywała się tamtej scenie, była Irena Kamińska-Siuta. Na dobre zapomniała już o politycznej działalności i poświęciła się pracy przewodnika dla niemieckich turystów odwiedzających te strony.

– Stolberg bywał w kontaktach z Polakami wyniosły, niekiedy nawet oschły, nie okazywał emocji, nigdy jednak nie przekroczył granicy uprzejmości i dobrego wychowania – wspomina pani doktorowa. – Ruiny Miedzianki, a zwłaszcza miejsce, w którym był ich pałac, a teraz nie ma nic, oglądał w posępnym milczeniu. W ciszy wracaliśmy do Jeleniej Góry. Potem kontakt zaczął się urywać.

Karl Heinz Friebe wrócił do Miedzianki w 1989 roku. Gdy zobaczył, co z niej zostało, prawie pękło mu serce. Postanowił, że już nigdy tu nie przyjedzie. Wrócił po roku, wraz z żoną. I tak wraca do dziś. Na początku parkował nieopodal miejsca, w którym stał niegdyś jego dom, i tam nocował. Potem objeżdżał wszystkie stare kąty, żył jak bezdomny tam, gdzie kiedyś były domy. Pewnego dnia zobaczył, jak drogą do Janowic idą dzieci.

– Gdy stąd wyjeżdżałem po wojnie, byłem wprawdzie szkrabem, ale miałem poczucie, że to nieporozumienie, że to trzeba wyjaśnić. To przekonanie zostało we mnie na wiele lat, chciałem to wszystko odwrócić. Gdy zobaczyłem te dzieci, zrozumiałem, że tak, jak jest teraz, będzie już zawsze.

W 1999 roku Friebe zdecydował się postawić niewielki obelisk przypominający o tym, że kiedyś było tu miasteczko.

Namówili go do tego inni mieszkańcy Kupferbergu rozsiani teraz po całych Niemczech. Zrobili zrzutkę, wybrali miejsce. Pierwotnie kamień miał stanąć obok istniejącego do dziś katolickiego kościoła. Na to jednak nie wyraził zgody proboszcz janowickiej parafii. Karl Heinz Friebe nie zapytał go dlaczego.

– Nie chciałem znać tej odpowiedzi. A on nie musiał mi przecież odpowiadać.

Kamień stanął więc na cmentarzu, tutaj ksiądz nie bardzo mógł protestować, oficjalnie wszak tego cmentarza nie ma. Skromna uroczystość

odsłonięcia pomnika odbyła się 11 lipca 1999 roku. Na pamiątkowej tabliczce napisali w dwóch językach:

*RUHET IN FRIEDEN
IHR SEID UNVERGESSEN*

SPOCZYWAJCIE W POKOJU
JESTEŚCIE NIEZAPOMNIANI

Był wójt gminy, było kilkoro Niemców, byli polscy mieszkańcy Miedzianki. Z Cieplic przyjechał też pastor, w swoim kazaniu powiedział, że nad grobami Polacy i Niemcy powinni podać sobie ręce. W krótkim artykule o tych wydarzeniach, który ukazał się potem w „Schlesische Bergwacht” Karl Heinz Friebe napisał: „Miałem uczucie, jakby Boże Narodzenie i Wielkanoc nastąpiły razem, jednego dnia”.

Ale do Miedzianki wracają nie tylko Niemcy. Trafiają tam także niekiedy i ci, którzy mieszkali tu po wojnie. Hanna Gębuś mieszka w Blachowni pod Częstochową. Ma tu trzy domy, w jednym żyje wraz z mężem, dwa postawiła dla córek, które jednak wybrały emigrację i na razie nie zamierzają wracać.

– Pod każdym z tych domów leży kamień z Miedzianki – mówi konspiracyjnym szeptem. W miasteczku zajmowali budynek po aptece Haenisch. To ona wynosiła ze strychu poroża ustrzelonych przez starego pana Rottera jeleni. Wróciła tam na początku lat dziewięćdziesiątych, z trudem odnalazła miejsce, w którym stał ich dom.





– Trafiłam tam właściwie dzięki dwóm dębom, które rosły na podwórzu. Między nimi mieliśmy ławeczkę, jak się na niej stanęło, można było zobaczyć Śnieżkę.

Po domu nie pozostał żaden ślad, po ławce jedynie delikatne blizny na drzewach. Ta jedna wizyta to i tak było dla Hanny Gębuś za dużo. Nigdy potem już tam nie wróciła, kontakt ze swoimi dawnymi sąsiadkami nadal utrzymuje, a gdy chcą z nią jechać do Miedzianki, stara się grzecznie, acz stanowczo odmawiać.

Wałbrzych – Wrocław-Katowice

– Chłopięce marzenie, nic innego – mówi skromnie Bogdan Spiż, pokazując starodawny saturator stojący w ciemnej komórce. – Kiedyś w wolnej chwili go wyremontuję i znów będę robił lemoniadę.

Pomieszczenie, w którym stoi przykurzony saturator, znajduje się w Katowicach i jest częścią wielkiego tanecznego klubu, którego klienci mogą zamówić piwo warzone na ich oczach. To jedno z najbardziej modnych miejsc na całym Śląsku. Klub należy do Bogdana Spiża. W jego prowadzeniu pomaga mu czasem najmłodsza siostra Hania.

Do Bogdana należy też restauracja na wrocławskim rynku. Tę prowadzi druga siostra, Barbara. Można tutaj usiąść i zamówić piwo, które kelner nalewa z wielkiej kadzi wprost do kufla i przynosi do stolika. Knajpa Spiża jest dla wielu turystów obowiązkowym punktem programu wycieczki po Wrocławiu. Wychodzą stąd często obładowani kuflami, które sprzedaje się tutaj niejako przy okazji produkcji piwa. Na każdym z nich widnieje wyraźnie stylizowane logo, ze słowem „Spiż” w środku. Jest jeszcze pałac w Miłkowie z salami bankietowymi na sto osiemdziesiąt osób i restauracją. Tutaj Bogdan Spiż stara się odpoczywać; nie zawsze mu to wychodzi, ciągle jest bowiem coś do zrobienia.

Bo Bogdanowi Spiżowi się udało. Na liście stu najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost” znalazł się już w 1991 roku, dwa lata później zajmował tam trzynaste miejsce. Zaczynał od jednego saturatora i niewielkiej rozlewni lemoniady założonej jeszcze w latach osiemdziesiątych w Legnicy. Wcześniej był kierownikiem słodowni w Ciechanowicach i dyrektorem legnickiego browaru. Cały czas chciał jednak zrobić coś swojego. Gdy w Polsce nastał kapitalizm, Bogdan postanowił wstąpić na drogę do realizacji swych marzeń i zostać jego rekinem. Na rekina jednak zupełnie nie wygląda, jest raczej spokojny i cichy, ludzie mówią, że muchy by nie skrzywdził. Sam piecze faworki i przynosi swoim pracownikom, a gdy poprosić, by przypomnieli sobie Miedziankę, robi rozmarzoną minę.

Gdy zaczęło mu się dobrze powodzić, pomyślał, że kupi rodzicom domek w Wilkowie pod Legnicą. Nie chciał, żeby mieszkali w żółtej willi na odludziu, którym stała się Miedzianka. Zadatek na dom był już zapłacony, gdy Bogdan pojechał ogłosić dobrą nowinę matce. Helena nie chciała go słuchać, powtarzała tylko, że z Miedzianki się już nie ruszy i do żadnego Wilkowa się nie przeprowadzi. Domku nawet nie pojechała oglądać.

– Sprzeciwić się matce to byłaby głupota – śmieje się Bogdan. Starzy Spiżowie mieszkali więc w Miedziance do końca. Przeżyli miasteczko. Stefan zmarł w 1995 roku. Pod koniec życia pomieszały mu się zmysły, kilka razy Helena znajdowała go błądzącego w pidżamie po ruinach browaru. Brała go za rękę i prowadziła do domu. Mawiał wówczas:

– Daj spokój, Helena, ja tylko jedną warkę wezmę i zaraz wracam do łóżka.

Bogdan Markowski, znajomy Spiżów, wspomina, że na starość Stefan Spiż czytał w kółko tylko jedną i tę samą książkę -*Ludzi bezdomnych*.

– Gdy docierał do ostatniej strony, zamykał ją na chwilę, a potem zaraz otwierał i zaczynał czytać od nowa.

Helena Spiż umarła w 2000 roku. Podobno do końca życia paliła papierosy i przygotowywała najlepsze nalewki w całej okolicy. Spiżowie pochowani są na dwóch różnych cmentarzach w Janowicach. Ludzie mówią, że to dlatego, żeby się nie kłócili.

Barbara nosi po mężu nazwisko Mudry i jest nieustannie w drodze między Wałbrzychem a Wrocławiem. W tym pierwszym pomieszkuje, w tym drugim prowadzi Bogdanową restaurację na rynku. Zapytana o Miedziankę łapie się za głowę.

– Tylko budynek z fontanną można nazwać willą. My mieliśmy taką w ogrodzie, właśnie tam, w Miedziance. A potem wszystko przepadło!

Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych zrozumiała tak naprawdę rozpacz swojego ojca. Mieszkała wtedy w Wałbrzychu, tuż obok kopalni Victoria. Górnictwo właśnie upadało w całym regionie, kopalnie były zamykane jedna po drugiej. Jej mąż był w Victorii górnikiem, teść dyrektorem całego zakładu. Gdy gruchnęła wieść, że i ta kopalnia będzie zamknięta, obaj płakali jak dzieci. Gdy Barbara Mudry spacerowała z psem po opuszczonym terenie kopalni, poczuła ten sam ból, który musiał czuć jej ojciec.

– Cała rodzina mojego męża, a przez to i ja, byliśmy z Victorią związani. Ona była tuż za oknem, było ją słyszeć, było ją czuć, ona pozwalała nam żyć. Przez to wszystko stała mi się bliska. Gdy ją zamknęli, poczułam wielką stratę. Mój ojciec przeżywał to samo w Miedziance, ale ja byłam za młoda, żeby to zrozumieć, dla mnie liczyła się wtedy przyszłość. Gdy to wszystko do mnie dotarło, było już jednak trochę za późno.

Jelenia Góra

W 1966 „Nowiny Jeleniogórskie” ogłosiły konkurs literacki pod tytułem „Moje marzenia o roku 2000”. W ciągu kilku tygodni do redakcji przyszło kilkadziesiąt prac najmłodszych mieszkańców miasta.

„Jest ukończona budowa pięknej dzielnicy Zabobrze, znajduje się ona pod olbrzymim kloszem, który nie przepuszcza śniegu i deszczu. Zbudowano kilkukilometrowy tunel podziemny łączący śródmieście Jeleniej Góry ze śródmieściem Zabobrza. Przed wejściem w ten kraj bajki, czyli Zabobrza, jest wielka płaskorzeźba przedstawiająca jelenia nad wodospadem” – Waldek Rutkowski.

„W mieszkaniach będziemy mieć kolorową telewizję i nigdy nie będzie brakowało wody. Ludzie będą grzeczniejsi i nie będzie chuliganów” – Basia Wirska.

„Na budynkach zostaną umieszczone specjalne automaty, które po naciśnięciu guziczka wydadzą smaczne słodyczne i inne drobiazgi. W budkach telefonicznych będzie telefon zaopatrzony w ekranik. Prowadząc rozmowę za pośrednictwem tego aparatu, widzimy na ekranie twarz naszego rozmówcy” -Marta Sałata.

„Sklepy będą dobrze zaopatrzone w odzież, pościel i obuwie we wszystkich rozmiarach” – Krysia Gałach.

„I żeby na czterech lokatorów przypadały trzy pokoje, piękna duża kuchnia i łazienka wykładana kafelkami. Żebyśmy na piętra jeździli windami i żeby nasze balkony były obszerne” -Ewa Cymara.

Nie wszystkie marzenia dzieci sprzed ponad pięćdziesięciu lat się spełniły. Z automatami na słodyczne i telefonami z ekranem nie ma wprawdzie większego problemu, Zabobrze jednak nie zostało przykryte szklanym kloszem, nie ma tunelu łączącego je z centrum, a wiadukty nad torami nieustannie zatykają się w godzinach szczytu. „Nowiny Jeleniogórskie” nadal się ukazują, na początku 2010 roku nazwały Zabobrze „dzielnicą strachu”, w której młodociani bandyci wyrywają starszym paniom torebki i włamują się do mieszkań. Redaktorzy „Nowin” przesadzili, Zabobrze to raczej dość senne osiedle zamieszkane głównie przez emerytów. Przestępców ani tu więcej, ani mniej niż gdzie indziej.

– Miedzianka jest dziś na Zabobrze – śmieje się Barbara Majka, niegdyś najpiękniejsza pracownica browaru.

W którąkolwiek ze ścian swojego M3 by zapukała, odpowie jej sąsiad z Miedzianki. W bloku przy Karłowicza 45, w którym mieszkają Majkowie, tych, którzy nie są z miasteczka, można policzyć na palcach jednej ręki. Reszta to starzy znajomi – są Żurkowie, których poddasze śpiewało najgłośniej, jest Irena Wędzel, co nie chciała wynosić świętych figur z ruin kościoła. Jest też Irena Barwicka, która na widok Miedzianki popłakała się z rozpaczy. Pod czterdziestym trzecim mieszka Jadwiga Chuturko, która z miasteczka wyprowadziła się jako ostatnia. Z tej okazji była nawet

w telewizji, redaktorzy przyszli zapytać, jak się mieszka bez strachu, że sufit spadnie jej na głowę. Powiedziała, że dobrze. Blok dalej są Szymczykowie i Mądreccy, jest też Czesław Plesiak, który, gdy go zagadnąc o Miedziankę, stanie w milczeniu na środku pokoju i pokręci tylko zrezygnowany głową. Wreszcie, w bloku pod jedenastym, mieszka ostatni dyrektor szkoły Kazimierz Milcuszek. Do Miedzianki zajrzał tylko raz, pojechał z żoną, nie znalazł swojego domu i się zniechęcił. Piętro wyżej, w tej samej klatce, żyje Janek Kluba, on jeździ tam niemal co tydzień.

– Strasznie mi tęskno – mówi nieśmiało.

Wszyscy oni mają numery swoich telefonów zapisane w starodawnych notesikach („wie pan, w tej komórce trudno to potem znaleźć”), kłaniają się sobie uprzejmie podczas spacerów, niekiedy przysiadą na ławce, by zamienić kilka słów. Wiedzą o sobie wszystko, kto umarł, kto chory, kto zaraz będzie dziadkiem. Proszą, by tą wiedzą z nikim się nie dzielić. Miedziankę wspominają z rzadka i tylko niektórzy.

– Z roku na rok wspomnienia o miasteczku mamy piękniejsze – śmieją się, bo ludzka pamięć tak już ma, że odsiewa to, co złe, a zatrzymuje tylko piękne obrazy.

Tak, nie da się ukryć – Miedzianka jest dziś na Zabobrze, upchnięta do czterech bloków na Karłowicza i kilku następnych na Paderewskiego, Elsnera, Różyckiego. Miedzianka z wielkiej płyty, na pewnym gruncie; Miedzianka znów zielona, wśród drzew i z wrzaskiem dzieciarni w tle. Wszystko to siedemnaście kilometrów od walącego się wzgórza, które zarasta krzakami i trawą. Od miejsca, w którym było całe miasto, ale dziś go nie ma, a jedynym dowodem jego istnienia jest nienaturalny kościół na pustkowiu, kilka osamotnionych chałupek i cegły, o które można się potknąć, idąc na przełaj przez łąkę.

Na Zabobrze dość łatwo o tym wszystkim zapomnieć. Żeby więc wspomnienia przywołać, trzeba w poniedziałek, środę lub piątek stanąć w ogonku do kasy pobliskiego sklepu, a na pytanie: „Który chlebek?”, odpowiedzieć, jak zawsze:

– Ten od Mirosiów poproszę.

Janowice Wielkie

Są jeszcze ci, którzy zostali w pobliżu. Mieszkają niemal w cieniu tej góry, prawie nigdy tam jednak nie chodzą. Nie chcą, nie po drodze im, trochę się boją tego, że jakieś wspomnienie wybudzone po latach uśpienia może ich ukłuć.

Barbara Wójcik, która nie umarła pięć razy, żyje do dziś ze swoim drugim mężem na obrzeżach Janowic, tam gdzie droga przeciska się pod starym, ponemieckim mostem i wijąc się wzdłuż brzegu Bobru, biegnie do Trzcińska. To jest najładniejsza droga w całej okolicy. Ich dom jest ostatni we wsi, stoi na niewielkim wzgórku, otoczony warzywnymi ogródkami i pasieką.

Zanim pochowała pierwszego męża, stłukła go na kwaśne jabłko – nie z zemsty (on ją bił regularnie), ale po to, by uchronić go przed śmiercią. Chorował na białaczkę, gdy przyszedł koniec, byli na weselu. W pewnej chwili zasłabł i osunął się na ziemię. Barbara Wójcik w kilka chwil była przy nim, by okładać jego twarz silnymi ciosami.

– Do słabych nigdy nie należałam – mówi skromnie – mamusia powiedziała mi kiedyś, że jedynym sposobem na wypędzenie śmierci z umierającego jest właśnie bicie go. On był dla mnie strasznym draniem, ale człowiekowi nie wolno pozwolić tak po prostu umrzeć, więc musiałam to zrobić. Umarł dopiero w szpitalu, kilka miesięcy później.

Teraz Wójcikowa mieszka w swoim domu na wzgórzu razem z Józkiem Chęcińskim. Podrywał ją kilka razy, ale ona go nie chciała. Tak długo się starał, że się do niego przekonała.

– Chodziłem za nią jak natręt – przyznaje Chęciński. – Tak już miałem, że jak jakaś baba ważyła więcej niż sto kilo, to ja się w niej zakochiwałem.

Józef Chęciński jest pasierbem Józefa Ostrowskiego, milicjanta, który latem 1945 przyjechał zaprowadzać porządek w Janowicach.

– Jeździłem z tatą na motocyklu, widziałem wszystko, o czym później pisali w gazetach.

Gdy poprosić go, by coś opowiedział, Chęciński często zaczyna:

– Prawda jest jedna i innej prawdy nie ma...

W najbliższej położonej Miedzianki części Janowic – tak zwanych Starych Janowicach – żyje Stanisław Kopczyński, który lał komunistów po mordach, ale się do tego nie przyznawał, oraz Staszek Gruszka, który wódki nie pił, a w kopalni pracował tylko dwa lata, dlatego żyje. Na Zamkowej jest jeszcze Karolina Burzawa z domu Kolis. O kopalni rozmawia niechętnie. Oni i Baśka Wójcik to właściwie wszyscy żyjący dziś w okolicy górnicy z kopalni rudy uranu w Miedziance. Więcej jest ich na obydwu janowickich cmentarzach i ciągle przybywa tam kolejnych. Wielu umarło na nowotwory, tak jak Franek Krupa, któremu na starość wycięli krtań. Póki żył, doglądał zniszczeń górniczych. Kiedyś był górnikiem w kopalni, potem dbał, by dziury w ziemi nie straszyły zbyt długo. Zadanie to powierzyły mu władze kopalni miedzi w Legnicy, której formalnie podlegał teren pokopalniany w Miedziance. Krupa miał z tym całkiem sporo pracy, jednak nie narzekał, do dziurawego jak sito wzgórza miał też bowiem sentyment. O kopalni nie chciał nigdy opowiadać, a gdy stracił krtań, już nie mógł. Pisał jedynie na kartkach to, co chciał przekazać. Te kartki czytała na głos jego żona. Tak rozmawiało się z Frankiem Krupą pod koniec jego życia. Umarł w 2010 roku.

Nigdy nie wykazano związków wysokiej zachorowalności na raka wśród górników z warunkami, w jakich przyszło im pracować. O tym, że dzieć się może tu coś złego, alarmował już Stanisław Siuta, kierownik janowickiego ośrodka zdrowia.

– W całej okolicy, a zwłaszcza w Janowicach i Miedziance, zachorowalność na raka, głównie wśród ludzi stosunkowo młodych, była wtedy wyższa niż gdzie indziej. Ściągałem nawet specjalistów, żeby przyjrzeni się tym przypadkom, ale jakichś bardziej ogólnych prawidłowości nie ustalono.

Dziś wiadomo, że pylica – choroba zawodowa wszystkich górników – miała w kopalniach uranu o wiele cięższy przebieg, gdyż była pylicą promieniotwórczą. Przynajmniej przez okres całkowitego rozkładu

pierwiastków radioaktywnych znajdujących się we wdychanym przez górników pyłe. Ile ten okres trwał, trudno ustalić, u niektórych wystarczająco długo, by zwiększyć zachorowalność na choroby nowotworowe. Gdy w Polsce upadł komunizm, losem górników z kopalni R-1, do których należała Miedzianka, zainteresował się solidarnościowy senator Andrzej Piesiak. To on doprowadził do powstania parlamentarnej komisji mającej zbadać, jakie straty poniosła Polska w wyniku działalności kopalni uranu wydobywających ten surowiec na użytek Związku Radzieckiego. Jednocześnie parlamentarzyści przyjrzeni się też losom pracowników R-1. Do jeleniogórskiego biura senatora Piesiaka co chwila przychodzili dawni górnicy kopalni i opowiadali o warunkach, w jakich przyszło im pracować. Te zeznania posłużyły później jako dowód w roszczeniach o odszkodowania i renty. Niewielu z nich je dostało, z R-1 zniknęła spora część dokumentacji medycznej, a bez niej trudno było górnikom udowodnić, że schorzenia, których nabawili się na starość, powstały bezpośrednio na skutek warunków pracy w kopalniach uranu.

W Janowicach żyje też Zdzisiek Jankowski, dziś blisko sześćdziesięcioletni jegomość z więziennymi tatuażami, kiedyś miejscowy łobuz, który wyciągnął szablę z grobu Ueberschaera i ukradł kulę z wysadzonego w powietrze ewangelickiego kościoła. Gdy Zdzisława Jankowskiego zapytać o Miedziankę, zniknie na chwilę w swoim mieszkaniu, a po chwili wróci ze szkolnym zdjęciem.

– To jestem ja, a to nasz nauczyciel pan Milcuszek. No tak, wtedy jeszcze nie rozrabiałem.

Tuż obok mieszka Werka Butyńska. Nadal potrafi przekląć, gdy coś wyprowadzi ją z równowagi. Dopiero niedawno przestała palić. Po wysprzątany na błysk mieszkaniu na tyłach dawnego hotelu Klugera porusza się z trudem i o kulach. Na wspomnienie o Stefanie Spiżu uśmiecha się od ucha do ucha:

– Złoty człowiek był.

Werka nie narzeka, na stare lata wie dzie jej się dobrze, odcho wała dwóch synów i córkę. Ten, którego kładła na kozuchach w suszarni, jest dziś

właścicielem firmy budowlanej. Werka, gdy o nim mówi, nie umie powstrzymać łez.

– A tak niewiele brakowało, żeby ani mnie, ani jego nie było. Chłop jak dąb mi z niego wyrósł. Taka strata by była.

Miedzianka

Zdarzyło się parę razy, że Paweł Nowak stawał na środku tej łąki i wyobrażał sobie kamienice, strome uliczki, dwie wieże kościoła, gwar wydobywający się z okien gospody, krzyk dzieci wybiegających ze szkoły czy wesołe pokrzykiwania kamieniarzy z zakładu. Wszystko w niemieckiej wersji językowej. Potem otwierał oczy i nie widział już nic poza kępą zieleniny i śmieciami w przydrożnym rowie. Bo Miedzianki po prostu nie ma. Kilkadziesiąt kamieniczek, pałac, rozlewnia wody starego Gliszczyńskiego, kościół z żółtą elewacją – to wszystko zniknęło, zniszczone, rozgrabione, zrównane z ziemią, wywiezione, zaorane, zapadnięte.

Czasem przy kościele Paweł Nowak widział samochód na niemieckich blachach, chciał nawet podejść i powiedzieć, żeby tu nie parkowali, nie dalej jak kilka lat temu ziemia między szosą a świątynią zapadła się na kilkanaście metrów w głąb, aż strach było patrzeć w tę czeluść. Kościół tylko cudem to przetrwał. Paweł ma jednak swoją teorię na temat jego przyszłości. Odkąd jeżdżą tędy ciężarówki wyładowane skaleniem z kamieniołomu w Karpnikach, dni świątyni wydają się policzone:

– Wszystko się wtedy trzęsie. Jeszcze naszą Miedziankę obejrzysz w telewizji, jak nam kościół pod ziemię wpadnie.

Paweł mówi „nasza Miedzianka”, choć sam mieszka w Janowicach. Kiedyś dziadek pokazał mu kilka pocztówek z miasteczkiem, którego nie ma. Spodobały mu się, więc zaczął szperać w książkach i starych dokumentach. Pewnego dnia w jeleniogórskim archiwum ktoś poklepał Pawła po ramieniu i powiedział:

– Pan się interesuje Kupferbergiem? Pan musi ją poznać.

„Ona” to Dora Puschmann.

Pochodziła z Jannowitz, w 1945 roku była wychowawczynią w tutejszym przedszkolu. Ewakuowano ją wraz z dziećmi w pierwszej kolejności, zaraz po tym, jak Rosjanie przełamali front przed Wrocławiem. Wróciła po blisko czterdziestu latach. To, co zobaczyła, skłoniło ją do napisania swojej kroniki Janowic, a potem także i Miedzianki, miasteczek, w których spędziła młodość, ale w których nie mogła umrzeć. Pierwsze zdanie kroniki Miedzianki brzmiało: „*Kupferberg ist verschwunden*”, „Miedzianka znikła”.

Kronikę Dory Puschmann na początku lat osiemdziesiątych publikowało w odcinkach czasopismo „Schlesische Bergwacht” skupiające mieszkańców tych stron wysiedlonych po II wojnie światowej. To nie jest lektura pojednania. Pełno tu gorczy i żalu, a niekiedy nawet złości o to, co się stało. Dora Puschmann pisze, że „ziemi tej godny jest jedynie niemiecki pług”, że właściwie całe zło, którego doświadczyli Niemcy po wojnie, pochodziło od „pijanych Polaków”. Naziści pojawiają się tam sporadycznie, miasteczko wydaje się niemal idealnie odseparowane nie tylko od wojennej zawieruchy, lecz także od ideologii, która tę zawieruchę rozpętała. Niekiedy w tym wszystkim gubią się też fakty – księżę Bolko to dla niej hrabia von Bolz, a zamek Bolczów jest Bolzensteinem. Słowo „nasza ojczyzna” odmienia przez wszystkie przypadki.

„W maju 1987 roku stałam na Krzyżnej Górze pod wysokim krzyżem, patrzyłam na Karkonosze i daleko w śląski kraj. Wymarzone domki Karpnik, Strużnicy i Mniszkowa, rozrzucone między kwitnącymi łąkami i drzewami, jak gdyby nic się nie zdarzyło, nie poruszył się rozwój ludzkości. [...] Przed 156 laty postawiono krzyż ochraniający na Górach Sokolich, okropności wojny zostały dolinie zaoszczędzone, jednak wypędzenie dotknęło ciężko wielu ludzi. Trudne jest pożegnanie z tym wspaniałym, tak ukochanym skrawkiem ojczyzny”.

Paweł Nowak nigdy nie poznał Dory Puschmann osobiście, ale korespondował z nią przez kilka lat, otrzymał od niej dziesiątki zdjęć, pocztówek i dokumentów dotyczących Miedzianki i Janowic. Ci, którzy

Dorę Puschmann znali osobiście, mówią, że stroniła od spotkań z Polakami, żywiła do nich głęboką urazę. A mimo to z Pawłem korespondowała.

– Nie wiem dlaczego, może wyczuła, że mi o nic więcej nie chodzi poza tym, że chcę się po prostu jak najwięcej dowiedzieć – mówi Paweł. Gdy umarła, postanowił jej kronikę przetłumaczyć i umieścić w internecie. Do dziś odbiera maile, w których ludzie mu za to złorzeczą.

Jest w Miedziance takie stare drzewo, do którego Paweł Nowak prowadzi tylko niektórych. Trzeba minąć browar, a potem zaraz za zakrętem zejść z szosy na polną drogę prowadzącą do jednego z gospodarstw. Przy niepozornej, zdziczałej śliwie należy się zatrzymać.

– Chcę, aby drzewo rosło sobie w spokoju – mówi Paweł. Jeśli dokładnie przyjrzeć się pniu tej śliwy, dostrzeże się z pewnością blaszaną tabliczkę, przykręconą w taki sposób, żeby nie było jej widać z drogi. Aby ją zobaczyć, trzeba wejść w pokrzywy. Na tej tabliczce, nie większej od paczki papierosów, ktoś napisał:

ERINNER DIE LEUTE VON KUPFERBERG

– Czyli: „Pamięci ludzi z Kupferbergu” – mówi Paweł. -Wyobrażam sobie to tak: przyjechali, rozejrzeli się, poznali tylko to drzewo. Wyobraż sobie: ze wszystkiego, co tutaj było, z tych domów, kościołów, restauracji rozpoznali tylko jedno drzewo. Nic więcej. Więc zostawili to i odjechali.

Paweł nie mówi o tym zbyt często, ale gdy się z nim po Miedziance chodzi, widać, że myśl ta ciągle kołaczy się w jego głowie. To jest pytanie, czy gdyby wszystko potoczyło się inaczej, a Niemcy tu zostali, to czy Miedzianka istniałaby nadal? Owszem, takim pytaniem można obudzić demony. Co więcej, takiego pytania nikt nie chce słyszeć, podobnie zresztą jak i odpowiedzi na nie. Ale za tym pierwszym pytaniem jest zaraz drugie, równie ważne, równie mocno kołaczące się w głowie. Czy cena za przetrwanie Miedzianki nie byłaby zbyt wysoka?

Takich pytań nie zadają sobie emeryci z Zabobrza, one pojawiają się w głowie świeżo upieczonego ojca, wiecznie zapracowanego trzydziestolatka w wypasionej srebrnej tigrze na aluminiowych felgach,

który nie parkuje pod kościołem, bo wie, że mu ta tigra może tam kiedyś wpaść pod ziemię.

Hildesheim

W 1999 roku Karl Heinz Friebe przeczytał w gazecie o starej nauczycielce, która gdzieś nieopodal Hildesheim uczy tureckie dzieci języka niemieckiego. To była Gisela Franzky. Nawet dziś, gdy o niej mówi, oczy robią mu się okrągłe ze wzruszenia, a stojąca u jego boku żona uśmiecha się zakłopotana.

– Nie martw się, kochanie, Gisela była moją pierwszą miłością, a ty jesteś drugą i ostatnią – zapewnia Karl Heinz i gładzi ją po dłoni.

Spotkali się następnej wiosny u Giseli w domu. Przygotowała wspaniałą śląską ucztę. Nie wiedzieli, od czego zacząć, więc Karl Heinz zwierzył jej się ze swojego młodzieńczego uczucia. Potem opowiedział o ich miasteczku, które zniknęło. Gisela płakała.

Jelenia Góra-Poznań 2010



Wybrana literatura

Benz Wolfgang, *Die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten: Ursachen, Ereignisse, Folgen*, Frankfurt am Main 1995.

Bochnak Władysław, Ks. Jan Marcin Stulpe (1686-1753) i początki kultu Najświętszego Serca Pana Jezusa w diecezji wrocławskiej, „Wrocławskie Wiadomości Kościelne” 1983, nr 7-9.

Boćkowski Daniel [red.], *Niemcy w Polsce 1945-1950. Wybór dokumentów*, t. 4, Warszawa 2001.

Chądyński Wojciech, *Wędrówki po Dolnym Śląsku i jego stolicy*, Wrocław 2006.

Chojnacki Mieczysław, *Mokotowskie więzienie – rozprawa – wyrok – pobyt w ogólnej celi śmierci*, „Zeszyty WiN-u” 1992, rocznik 1.

Chorowska Małgorzata i in., *Zamki i dwory obronne w Sudetach. Tom II. Księstwo jaworskie*, Wrocław 2009.

Czerner Olgierd, Herzig Arno [red.], *Dolina Zamków i Ogródów. Kotlina Jeleniogórska – wspólne dziedzictwo*, przeł. Mariusz Bednarski i in., Jelenia Góra 2003.

Czerwiński Janusz, Mazurski Krzysztof R., *Sudety. Sudety Zachodnie. Góry i Przedgórze Izerskie – Rudawy Janowickie*, Wrocław 1983.

Davies Norman, Moorhouse Roger, *Mikrokosmos*, Kraków 2007.

Dobkiewiczowa Kornelia, *Róże w błękitnym polu. Podania i opowieści o zamkach Dolnego Śląska*, Wrocław 1982.

Dokąd wywożono polski uran? Ludzie odchodzą z poczuciem krzywdy, „Życie Warszawy” 7.06.1991, nr 132, niepodpisana notka prasowa.

Dokumentation der Vertreibung der Deutschen Ost-Mitteleuropa. Gesamtausgabe: Das Schicksal der Deutschen in Ungarn: Dokumentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mitteleuropa, Bundesministerium Für Vertriebene, München 2004.

Dolata Bolesław, *Wyzwolenie Dolnego Śląska w 1945 roku*, Wrocław 1985.

Dziekoński Tadeusz, *Wydobywanie i metalurgia kruszców na Dolnym Śląsku od XIII do połowy XX wieku*, Wrocław 1972.

Dziewit Piotr, *Uranowi ludzie*, „Panorama” 1991, nr 14.

Franzky Georg, *Erinnerungen an Kupferberg*, niepublikowany maszynopis.

„Gazeta Robotnicza”, rocznik 1969.

Geiger trzeszczał, „Życie Warszawy” 5-7.06.1991, nr 133, niepodpisana notka prasowa.

Gołębiowski Bronisław [wybór i oprac.], *Tu jest nasza ojczyzna. Z pamiętników mieszkańców Ziemi Zachodnich i Północnych*, Poznań 1981.

Hirsch Helga, *Zemsta ofiar. Niemcy w obozach w Polsce 1944-1950*, przeł. Maria Przybyłowska, Warszawa 1999.

Janczak Julian, *Spotkania z Duchem Gór. Sudeckie szkice historyczne*, Wrocław 1991.

—, *Z tamtej strony historii, czyli wrocławskie i dolnośląskie legendy, podania, baśnie i niesamowite wydarzenia*, Wrocław 1993.

Januszewski Józef, Koszarski Włodzimierz, Miśkiewicz Jerzy, *Skarby Ziemi Dolnośląskiej*, Wrocław 1979.

Jastrzębski Włodzimierz [red.], *Ludność niemiecka na ziemiach polskich w 1939-1945 i jej powojenne losy. Materiały z konferencji*, Bydgoszcz 1995.

Jonca Karol, *Francuscy i belgijscy więźniowie w akcji „Noc i mgła” na Dolnym Śląsku*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 1975, t. 2.

Kapałczyński Wojciech, Napierała Piotr, *Zamki, pałace i dwory Kotliny Jeleniogórskiej*, Wrocław 2005.

Kersten Krystyna, Szarota Tomasz [red.], *Wieś polska 1939-1948. Materiały konkursowe*, Warszawa 1967.

Klementowski Robert, *Wydział IX Departamentu IV MBP. Wydział IX „K” WUBP we Wrocławiu z siedzibą w Kowarach. Struktura, działalność, obsada personalna, „Aparat represji w Polsce Ludowej”* 2006, nr 4.

—, *Skazani na uran. Kopalnie rudy uranu we wspomnieniach Żołnierzy Batalionów Pracy*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2009, nr 21.

—, *Uranowe mity. Kopalnictwo uranu w Polsce w społecznej świadomości*, [w:] Głowiński Tomasz, Kościk Elżbieta [red.], *Gospodarka i społeczeństwo w czasach PRL-u (1944-1989)*, Wrocław 2009.

Konieczny Alfred, *Ewakuacja obozu koncentracyjnego Gross Rosen w 1945*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 1975, nr 2.

Kwaśniewski Krzysztof, *Legendy i podania dolnośląskie*, Poznań 2006.

Lippóczy Piotr, Walichnowski Tadeusz, *Przesiedlenie ludności niemieckiej z Polski po II wojnie światowej w świetle dokumentów*, Warszawa-Łódź 1982.

Nitschke Bernadetta, *Wysiedlenie czy wypędzenie. Ludność niemiecka w Polsce 1945-1949*, Toruń 2001.

Majewski Ryszard, *Dolny Śląsk 1945. Wyzwolenie*, Warszawa-Wrocław 1982.

Maroń Jerzy, *Wojna trzydziestoletnia na Śląsku. Aspekty militarne*, Warszawa 2008.

Mazurski Krzysztof, *Likwidacja i rekultywacja Miedzianki*, „Wierchy” 1976.

Mistewicz Eryk, *Uran ponad wszystko*, „Reporter” 1989, nr 6.

Mońko Michał, *Gułag Miedzianka*, „Odra” 1995, nr 4.

„Nowiny Jeleniogórskie”, roczniki 1959-1981.

Olczak Mariusz, *Kampania 1813. Śląsk i Łużyce*, Warszawa 2004.

Pasierb Bronisław, *Migracja ludności niemieckiej z Dolnego Śląska w latach 1944-1947*, Wrocław 1969.

Primke Robert, Szczerepa Maciej, Szczerepa Wojciech, *Wojna w Dolinie Bobru. Bolesławiec-Lwówek Śląski-Jelenia Góra*, Jelenia Góra 2009.

- Puschmann Dora, *Kronik über Kupferberg*, niepublikowany maszynopis.
—, *Kronik über Jannowitz*, niepublikowany maszynopis.
- Romanow Zenon, *Ludność niemiecka na ziemiach zachodnich i północnych w latach 1945-1947*, Słupsk 1972.
- „Schlesische Bergwacht”, roczniki 1980-2010.
- Springer Filip, *I nikt tam nie wie, kim jestem*, „Magazyn Turystyki Górskiej N.P.M” 2009, nr 2.
- , *Nie ma miasteczka*, „Polityka” 10.10.2009, nr 41(2726).
- Staffa Marek, *Słownik geografii turystycznej Sudetów. Rudawy Janowickie*, Wrocław 1998.
- Szoka Henryk, *Miasto, które przestało istnieć – Miedzianka*, „Karkonosze” 1986, nr 3/103.
- Tęcza Krzysztof, *Kamienne obiekty dawnego prawa na Ziemi Jeleniogórskiej*, Zgorzelec 1992.
- Uran i sprawiedliwość*, „Życie Warszawy” 5.04.1991, nr 81, niepodpisana notka prasowa.
- Urban Thomas, *Utracone ojczyzny. Wypędzenia Niemców i Polaków w XX wieku*, przeł. Agnieszka Kowaluk, Warszawa 2007.
- Urbanek Mariusz, *Blask uranu*, „Przegląd Tygodniowy” 28.04.1991, nr 17.
- „Wanderer im Riesengebirge”, nr: 8/1888, 7/1890, 9/1890, 2/1896, 1/1906, 5/1936.
- Wąsacz Józef, *Szlakiem wspomnień żołnierzy-górników z lat 1949-1959*, Wrocław 2002.
- Wytyczak Roman, *Podzwonne dla Miedzianki*, „Wierchy” 1972, nr 40.
- Zdulski Mirosław, *Instytucja totalna w monocentrycznym łańdźie społecznym*, Zielona Góra 2000.
- , *Źródła do dziejów kopalnictwa uranowego w Polsce*, Warszawa 2000.

Podziękowania

Mógłbym tylko chodzić po tym, co zostało z Miedzianki, i nawet nie wiedzieć, jaka historia się tam kryje, gdyby nie wielka i wszechstronna pomoc kilku osób. Książka ta nie powstałaby bez Pawła Nowaka, mieszkańca Janowic Wielkich, wielkiego pasjonata historii i kolekcjonera starych pocztówek. Bez jego pomocy merytorycznej, trzeźwego spojrzenia na pewne sprawy oraz determinacji w kontaktowaniu mnie z kolejnymi osobami nie napisałbym ani słowa.

Dziękuję też Bogdanowi Spizowi i Barbarze Mudry za poświęcony mi czas oraz Stanisławowi Tadrakowi za nieocenioną pomoc przy tłumaczeniach niemieckich tekstów.

¹ Wspomnienia pastora znam z drugiej ręki, przywołuje je Dora Puschman w maszynopisie *Kronik über Kupferberg*; przekład Pawła Nowaka i Stanisława Tadraka.

² Słowa tego pastora przywołuje Dora Pushmann.

³ Relację hrabiny znam z tego samego źródła.

⁴ Od połowy XIX wieku stara nazwa Johannesdorf zostaje zastąpiona nową – Jannowitz im Riesengebirge. W przewodniku po okolicy z 1845 roku już stosowana jest nazwa Jannowitz. Okoliczni mieszkańcy nadal jednak będą mówić „Johannesdorf”, zdarzać się to będzie nawet w połowie XX wieku. Także w części wspomnień spisanych przez Niemców bojkotują oni oficjalną nazwę. W tekście używane są jednak nazwy oficjalne, wyjątkiem są cytaty.

⁵ Pierwszy, trzeci, czwarty i piąty cytat w tym rozdziale pochodzą z rękopisu *Chronik über Kupferberg* autorstwa Dory Puschmann, pozostałe zaś z rozmów, które przeprowadziłem z Niemcami.

⁶ Psalm 70, Biblia Tysiąclecia.

⁷ Zygmunt Dulczewski, Andrzej Kwilecki, *Pamiętniki osadników Ziemi Odzyskanych*, Poznań 1970.

⁸ Rozkaz Dowództwa 2. Armii Wojska Polskiego z 24 czerwca 1945 roku, pisownia oryginalna.

⁹ Daniel Boćkowski [red.], *Niemcy w Polsce 1945-1950. Wybór dokumentów*, t. IV, s. 134. Stenogram z zebrania zorganizowanego dla wysiedlanej ludności niemieckiej przez komendanta wojennego Jeleniej Góry majora Smirnowa (pisownia oryginalna). Do dziś nie wiadomo, w jaki sposób tłumaczenie tego protokołu znalazło się w polskich rękach.

¹⁰ Daniel Boćkowski [red.], *Niemcy w Polsce 1945-1950. Wybór dokumentów*, t. IV, s. 285-288.

¹¹ Pismo pułkownika Carrolla z 14 maja 1946 roku do Polskiego Reprezentanta CRX w Berlinie w sprawie przypadków nadużyć przy wysiedlaniu ludności niemieckiej (Archiwum Akt Nowych, MZO, 73, k. 85). Większość skarg na władze polskie przechodziło przez Misję Angielską w Kaławsku (dziś Lublińcu).

¹² Oficjalnie przez kilka pierwszych miesięcy 1945 roku miasteczko nazywało się Miedzianą Górą, co było dosłownym tłumaczeniem nazwy niemieckiej. Mieszkańcy wspominający tamte czasy używają jednak często współczesnej nazwy.

¹³ Pismo z dnia 22.01.1971 [w:] *Akta osobowe górników Zakładów R-1 nr 184447*, Państwowa Agencja Atomistyki, Oddział w Jeleniej Górze.

¹⁴ Piotr Dziewit, *Uranowi ludzie* [w:] „Panorama” nr 14/1991.

¹⁵ Michał Mońko, *Gułag Miedzianka* [w:] „Odra” nr 4/1995.

¹⁶ Robert Klimientowski, *Uranowe mity. Kopalnictwo uranu w Polsce w świadomości społecznej*. Maszynopis udostępniony przez autora.

¹⁷ Dane szczegółowe dotyczące warunków pracy żołnierzy-górników pochodzą z artykułu Roberta Klementowskiego, *Skazani na uran. Kopalnie rudy uranu we wspomnieniach Żołnierzy Batalionów Pracy* [w:] „Studia nad faszyzmem i zbrodniami hitlerowskimi” nr 21/2009.

¹⁸ Mieczysław Chojnacki, *Mokotowskie więzienie – rozprawa – wyrok – pobyt w ogólnej celi śmierci* [w:] „Zeszyty WiN-u”, R-1/1992.

¹⁹ Cytuję za *Kronik über Jannowitz* autorstwa Dory Puschmann w tłumaczeniu Pawła Nowaka i Stanisława Tadraka.